ROZMOWA „DO RZECZY”

Minister Piotr Gliński o trudnych rozmowach z Ukraińcami

Opozycja po wyborach straci władzę w Senacie – prognozuje Ziemkiewicz

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 29/536 17–23 LIPCA 2023

CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

PTASIA GRYPA U KOTÓW, CZYLI CIĄG DALSZY ZABAWY W PANDEMIĘ

Pasjonująca historia fałszerza z PRL-owskiej bezpieki

Czy będzie wojna o świątynię?

PROJEKT WZNIESIENIA ŻYDOWSKIEJ TRZECIEJ ŚWIĄTYNI NAKRĘCA KONFLIKT

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

9 772299 850000 29 >

Nakład: 52 000 egzemplarzy

Codzienne pasmo z najnowszymi informacjami z Polski i ze świata.
Komentarze, dyskusje i rozmowy na tematy społeczno-polityczne.
Najlepsi eksperci, politycy, dociekliwi dziennikarze prowadzący
oraz serwisy informacyjne o 12:00, 13:00 i 14:00.

REPUBLIKA

DZIEŃ
Z REPUBLIKĄ

codziennie
od **12:00**
do **15:00**

zapraszają
Ilona Januszewska
Emilia Wierzbicki
Piotr Nisztor
Aleksander Wierzejski
Marcin Bąk

RepublikaTV | @RepublikaTV | Telewizja Republika | @RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

eprasa.pl 847107cd88

W RZECZY SAMEJ

Kandydatka dobra na wszystko

PAWEŁ LISICKI

Trudno mieć pewność, czy podane przez brytyjską gazetę „The Telegraph" informacje, zgodnie z którymi Waszyngton chciałby, żeby nowym sekretarzem generalnym NATO została obecna przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen, się potwierdzą. Jednakże w sprawach sojuszu atlantyckiego Brytyjczycy zwykle są dobrze poinformowani, a sama gazeta uchodzi za poważną. Zresztą zapytana o te doniesienia von der Leyen nie zaprzeczyła, że dostała propozycję. Według doniesień „The Telegraph" po tym, jak Waszyngton odrzucił kandydaturę ministra obrony narodowej Wielkiej Brytanii Bena Wallace'a na następcę Jensa Stoltenberga, obecnego sekretarza generalnego, Ursula von der Leyen ma największe szanse objąć to stanowisko. Najciekawsze, że Niemkę ma forsować prezydent USA Joe Biden. Kadencja Stoltenberga została przedłużona do 1 października 2024 r.

Skąd pomysł z szefową KE? Biden i von der Leyen mieli zbudować „silną więź" w związku z umacnianiem transatlantyckich więzi w obliczu wojny na Ukrainie, polityki prowadzonej przez Chiny czy walki ze zmianami klimatycznymi – tyle doniesienia medialne. Brzmi to całkiem prawdopodobnie, z pewnością tak w kwestiach politycznych, jak ideologicznych prezydent USA i szefowa KE nadają, jak to się mówi, na tych samych falach. Sama von der Leyen stwierdziła, że znalezienie się na liście potencjalnych kandydatów jest dla niej zaszczytem, ale że do końca 2024 r. nigdzie się nie wybiera. Ponoć Waszyngton ma nadzieję, że von der Leyen zmieni zdanie po wyborach do Parlamentu Europejskiego. Być może tak się stanie. Jednak z kilku powodów, niezależnie od sympatii prezydenta USA do szefowej KE, kandydatura pani von der Leyen jest osobliwa.

Byłby to wybór polityka skrajnie zideologizowanego, który to w pełni bezkrytycznie akceptował wszelkie postulaty globalistyczne, klimatystyczne i tęczowe. Od kiedy von der Leyen była jedną z najbardziej radykalnych postaci feministycznego skrzydła CDU, nic się nie zmieniło. Zastanawiam się, która z tych idei – genderyzm czy klimatyzm – ma cokolwiek wspólnego z pierwotnymi ideami sojuszu atlantyckiego? Ponadto przypomnę, że Ursula von der Leyen odeszła ze stanowiska ministra obrony Niemiec w atmosferze podejrzeń i skandalu. Do tej pory nie udało się wyjaśnić zarzutów korupcyjnych z czasów, kiedy nadzorowała armię, a jej wojskowa niekompetencja była przysłowiowa. W 2015 r. niemieccy żołnierze mieli używać mioteł w charakterze karabinów maszynowych, aby ukryć braki sprzętu.

Co do zarzutów korupcyjnych, to przypomnę też wielce osobliwy, używając najłagodniejszego języka, tryb podejmowania decyzji w sprawie zakupów za miliardy euro szczepionek od Pfizera przez Unię Europejską. Śledztwo w tej sprawie się ślimaczy, a sama szefowa Komisji twierdzi, że najważniejszy dowód w sprawie – korespondencja SMS-owa z szefem Pfizera, kiedy to uzgodniono warunki umowy – niespodziewanie wyparowała. Do tej pory zatem największym sukcesem niemieckiej polityk jest zapewnienie gigantycznych zysków amerykańskiemu gigantowi farmaceutycznemu.

Kandydatura ta byłaby wyjątkowo niewygodna dla polityków PiS. Gdyby faktycznie to Joe Biden parł do powierzenia funkcji pani von der Leyen, byłby to kolejny dowód na bliskość relacji amerykańsko-niemieckich. To coś, czego w Polsce nie tyle się nie dostrzega, ile wręcz wypiera. Pisałem o tym po wizycie kanclerza Olafa Scholza w Waszyngtonie, gdzie prezydent USA dziękował mu za pomoc Ukrainie i przyznał mu zaszczytną rolę pierwszego wasala w Europie, z czego niemiecki polityk był bardzo ukontentowany. Większość polskich polityków i publicystów uważa tymczasem, że wskutek rosyjskiej inwazji pozycja Niemiec w oczach amerykańskich uległa drastycznemu osłabieniu. Pojawienie się w gronie poważnych kandydatów niemieckiej szefowej KE jest kolejnym znakiem, że ta wizja to przykład chciejstwa. Biden chce mieć poręczne narzędzie prowadzenia polityki, a do tego Niemka nadaje się idealnie.

Dodatkowym problemem dla Warszawy jest też to, że Ursula von der Leyen w czasie, gdy przewodniczyła Komisji, wykazała się wiele razy brakiem bezstronności i wspierała antypolską politykę unijną. To ona raz za razem atakowała Polskę za rzekome gwałcenie praworządności. Nie dotrzymała słowa w sprawie KPO. Za każdym razem, kiedy to było możliwe, przedkładała interesy wielkich unijnych potęg, szczególnie Niemiec, nad korzyści mniejszych państw Europy Środkowej, Polski czy Węgier. Ostatnim jej wyczynem było przyjęcie przez Komisję projektu przymusowej relokacji, który to całkiem jawnie łamie zasadę suwerenności państw członkowskich Unii.

Jeśli za to wszystko miałaby zostać wynagrodzona kolejną funkcją, to byłaby to swoista ironia losu. Byłby to też czytelny znak pokazujący, jak realnie wygląda pozycja Polski w NATO i w oczach amerykańskich. Pochwały i pochlebstwa to jedno, decyzje polityczne to coś całkiem innego. ©℗

eprasa.pl 847107cd88

TEMAT TYGODNIA

14 ROZMOWA Z KS. PROF. WALDEMAREM CHROSTOWSKIM
TRZECIA ŚWIĄTYNIA. UTOPIA CZY ZAGROŻENIE DLA CHRZEŚCIJAN?
Rozkręcanie konfliktu

17 WITOLD REPETOWICZ
ŻYDOWSKA WOJNA O AL-AKSĘ

KRAJ

20 ROZMOWA Z PROF. PIOTREM GLIŃSKIM
MAMY OBOWIĄZEK GODNIE POCHOWAĆ OFIARY ZBRODNI WOŁYŃSKIEJ
Domagamy się, by sprawa Wołynia szła do przodu

23 MAREK JUREK
NATO: PIERWSZY SZCZYT PO ZEITENWENDE

26 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
OPOZYCJA BEZ SENATU?

28 TOMASZ ROWIŃSKI
KARDYNAŁ Z DRUŻYNY FRANCISZKA?

30 ŁUKASZ ZBORALSKI
PEŁNE WIĘZIENIA

34 JERZY KARWELIS
KOCIE MORDY PANDEMII

36 ZUZANNA DĄBROWSKA
CEJROWSKI KONTRA GDAŃSK

KULTURA

38 PIOTR GOCIEK
OSTATNI ŻART
Milan Kundera (1929–2023)

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

46 PIOTR SEMKA
KROK PO KROKU
Wolę politykę cierpliwości

49 ŁUKASZ WARZECHA
TAŃCE WOKÓŁ MASAKRY

HISTORIA

52 GRZEGORZ MAJCHRZAK
PRZYPADKI FAŁSZERZA OD WAŁĘSY
Kariera Tadeusza Maraszkiewicza

ŚWIAT

58 ROZMOWA Z HERMANNEM TERTSCHEM
NIE BĘDZIE PRAWICOWEGO RZĄDU BEZ VOX
Europoseł VOX: Konserwatyści w Hiszpanii prą do zmian

61 JACEK PRZYBYLSKI
GAMBIT ERDOĞANA

64 JAN BOGATKO
DAMA NA MANEWRACH

67 MACIEJ PIECZYŃSKI
WARSZAWSCY SŁUDZY KIJOWA

EKONOMIA

70 JAKUB WOZINSKI
WIECZNIE WSCHODZĄCA POTĘGA
Prognozy dla Polski

„DO RZECZY" NA WAKACJE

74 RADOSŁAW WOJTAS
YERBA BIAŁO-CZERWONA
Polskie ślady na świecie

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ŻEBROWSKI, KOPER (56), PRZYBYLSKI (57), GABRYEL, WARZECHA (73), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), ROSZKOWSKI (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 847107cd88

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Brukselа)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Kamila Gala, Zofia Magdziak, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło.**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Adobe Stock**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek,** tel.: 508 040 664, pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829, Nakład 52 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.
PRENUMERATA: **Prenumerata realizowana przez RUCH SA:**
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Teologia Johna Templetona", dr Michał Chaberek O.P., „DRz" nr 27/2023

Szanowna Redakcjo,
świetny artykuł w „Do Rzeczy" nr 27/2023 dr. Michała Chaberka O.P. „Teologia Johna Templetona" to wprowadzenie do znanego mi, wiem, powierzchownie, świata idei współczesnych. Pierwsze wrażenie dysonansu: poczciwa twarz bohatera zestawiona z jego przemyśleniami... Ten człowiek pewnie muchy by nie skrzywdził, ale niezliczone umysły i dusze to i owszem. Działalność filantropijna nie przeszkadza mu w niszczeniu świata pojęć i idei. Prawo przyrody, ciągła zmienność, panta rhei została przeniesiona do świata aksjomatów... Sformułowanie „prawdy alternatywne" jest przerażające, a jednocześnie łagodzi je taktyka cierpliwej, powolnej destrukcji uznanego porządku świata. Zadawanie pytań tak, aby nowe rozstrzygnięcia miały pozory racjonalności. Udzielane odpowiedzi, gdzie dziś nigdy nie dotrwa do jutra, mają dać poczucie, że płynność to jedyna (prawdziwa?) rzeczywistość. Dziękuję Autorowi i Redakcji za tę publikację.

Z wyrazami szacunku
J. Sarosiek

Odpowiedź na sprostowanie Kancelarii Prezydenta RP z „DRz" nr 28/2023

W chwili, gdy udzielałem wywiadu, na stronie prezydent.pl – w kalendarzu patronatów – były informacje o wielu patronatach, ale żadnej o patronatach nad upamiętnieniem ofiar ludobójstwa. Informacja taka ukazała się dopiero parę dni później.

ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski

eprasa.pl 847107cd88

ROMAN FORUM 2023

„Niebezpieczeństwa ideologii transhumanistycznej" – to tytuł wystąpienia redaktora naczelnego „Do Rzeczy" Pawła Lisickiego wygłoszonego podczas Roman Forum. W tym roku ta prestiżowa międzynarodowa konferencja odbywała się we Włoszech pod hasłem „Chrześcijaństwo i pogaństwo: stare i nowe" od 6 do 17 lipca. Cykl Roman Forum zapoczątkował w 1968 r. filozof i teolog katolicki Dietrich von Hildebrand nazywany przez papieża Piusa XII „XX-wiecznym Doktorem Kościoła". ***(jap)*** ©℗

SAAKASZWILI DZIĘKUJE POLAKOM

„Panie premierze Morawiecki, dziękuję, że nie pozostawił pan przyjaciela w potrzebie. Jestem wdzięczny Narodowi Polskiemu. Dziękuję za wysłanie do mnie zespołu wysoko wykwalifikowanych medyków. Gruzja i Polska na zawsze razem" – napisał były gruziński prezydent Micheil Saakaszwili w reakcji na decyzję szefa polskiego rządu o wysłaniu do Gruzji lekarzy w celu przeprowadzenia kompleksowych badań byłego przywódcy tego kraju. Były prezydent w 2021 r. został skazany na sześć lat więzienia „za nadużywanie władzy na stanowisku głowy państwa". Zarówno sam Saakaszwili, jak i jego zwolennicy uważają, że wyrok był motywowany politycznie. ***(jap)*** ©℗

O „OPERACJI POLSKIEJ" NKWD

Antypolskie plakaty sowieckie z lat 1919–1921 ze zbiorów antykwariusza Wojciecha Lizaka obejrzeć będzie można 9 i 10 sierpnia br. w ratuszu w Kołobrzegu (ul. Armii Krajowej 12). Tam też 9 sierpnia o godz. 17.30 rozpocznie się konferencja naukowa o „operacji polskiej" NKWD w 1937 r. 10 sierpnia w Kołobrzegu odsłonięte zostaną pomnik antypolskich czystek 1937 r. oraz monument ku czci Polaków Nadberezyńców. ***(PS)*** ©℗

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

„Pan Samochodzik" wypatroszony

Należę do pokolenia, które wychowało się na serialu „Pan Samochodzik i templariusze" z 1971 r., w reżyserii Huberta Drapelli. W roli głównej występował opromieniony wówczas „Stawką większą niż życie" Stanisław Mikulski. W roli pięknej Karen obsadzono emanującą seksem Ewę Szykulską. Słowem – serial był skazany na sukces. I swej szansy nie zmarnował.

Gdy oglądałem na nowo ten stary serial parę lat temu, poruszony byłem tym, ile subtelnych smaków i smaczków na temat epoki wczesnego Gierka zdołał umieścić w filmie autor scenariusza – Zbigniew Nienacki. Dlatego z ciekawością obejrzałem remake „Pana Samochodzika" produkcji Netflixa. I powiem szczerze, odgrzewany kotlet z pana Tomasza wypada bardzo kiepsko. Realizatorzy stanęli wobec dylematu, czy umieścić nową wersję serialu w dzisiejszych realiach – co byłoby całkiem uzasadnione – czy też trzymać się realiów PRL.

W rezultacie mamy jakąś dziwaczną hybrydę. Akcję umieszczono w PRL i superwóz pana Tomasza ma maskę fiata „kanciaka" oraz chłodnicę z ciągnika Ursus. A tytułowy bohater przypomina komiksowego kapitana Żbika. Ale przedstawiony świat przypomina raczej Zachód z lat 70. Po ulicach jeżdżą głównie mercedesy, saaby, włoskie fiaty 600, tylko czasem migną warszawa, garbus czy syrena. W tym wymyślonym świecie nie ma żadnych problemów z kupieniem czegokolwiek, drogi są wspaniałe, milicjanci to służbiści, ale w sumie całkiem sympatyczni. Najbardziej razi sama koncepcja pana Tomasza. To zakochany w sobie egot, który bardziej przypomina Jamesa Bonda niż sympatyczny pierwowzór z produkcji z 1971 r. Owszem, potrafi skupić wokół siebie grupę młodych harcerzy, ale robi to niechętnie, niemal cały czas stofuje młodych adeptów poszukiwania przygód mówiąc, że są dla niego niczym piąte koło u wozu.

Filmowa Karen, która w produkcji z lat 70. była dość skomplikowaną postacią, rozdartą między podkochiwaniem się w panu Tomaszu a chciwością łowcy skarbów, tutaj jest prymitywną kobietą terminatorem, która pomyka ryczącym motorem i tłucze wrogów jak mistrz karate z tanich koreańskich filmów. I wreszcie najbardziej głupkowaty motyw: wciśnięcie na siłę wątków emancypacyjnych. Zamiast trojga sympatycznych harcerzy mamy drużynę koedukacyjną (nie było takich w latach 70.) z druhną feministką, a Sokole Oko to sierota z domu dziecka, która przeżywa swoje traumy przez cały film. I tylko przesłanie filmu – dzieci to największy skarb – brzmi trochę konserwatywnie.

Po co było umieszczać w remake'u tak sympatycznego filmu liczne sceny mordobicia i pseudopsychoanalityczne problemy głównego bohatera? I dlaczego nie można było dodać parę skrzeczących realiów PRL? Choćby dającą się wyobrazić scenę, w której pan Tomasz goni swym wehikułem przestępców, ale gdy próbuje zatankować na stacji CPN, okazuje się, że akurat tego dnia benzyny nie dowieźli. Widać, że młodzi scenarzyści nie wyobrażają sobie świata lat 70., gdzie problemem był zakup rolki papieru toaletowego. W sumie filmu nie ogląda się aż tak źle, ale za dużo tu małpowania Indiany Jonesa, a za mało ducha starego serialu. Może młodsi nie mają z tym problemu. Ale po nowej wersji niech na dokładkę obejrzą oryginał. Zobaczą, co zaginęło w przekładzie. ©℗

eprasa.pl 847107cd88

dwaj panowie g

Uwaga, wskazujemy nowe ważne miejsce na mapie Europy. To warszawska restauracja U Wieniawy. Chwalą ją goście jak kontynent długi i szeroki, doceniają oprócz kuchni obfite i efektowne wykorzystanie broni siecznej. Dopisujemy więc kolejny sukces do listy osiągnięć europarlamentarnej frakcji Europejskich Konserwatystów i Reformatorów.

Wyjaśniamy: dobrym obyczajem EKR są odbywające się raz na pół roku spotkania wyjazdowe frakcji poświęcone zacieśnianiu wzajemnych stosunków i rozluźnianiu krawatów. Ostatnio padło na Warszawę. Ucztowano hucznie, ale w kuluarach padło też trochę gorzkich słów. Pilnie się starano, by nie wypowiadać ich po włosku i w obecności gości z Włoch.

A wszystko przez włoską premier Giorgię Meloni. U bywalców Brukseli i Strasburga narasta przekonanie, że mówi ona dwoma językami. Nie w sensie, że jest poliglotką, tylko w sensie „blada twarz mówi dwoma językami", czyli mija się z prawdą. Nie tylko w sprawie europejskich planów migracyjnych przymusów. Meloni co innego mówi w Warszawie, co innego w Rzymie, a co innego w Brukseli. Na tym, co prawda, polega współczesna polityka, ale faktycznie z przyjaźnią trzeba uważać. Bo gdy Giorgia mówi, że podziwia premiera Mateusza, to nie wiadomo, czy tylko mówi czy tylko podziwia.

Niektórzy polscy politycy znaleźli w sobie śmiałość, by nieoficjalnie wytknąć Giorgii Meloni skłonność do Brukseli kosztem Warszawy. Na co wykonała ciekawy unik, twierdząc, że nie ma z tym nic wspólnego i że to wszystko wina złego Antonia Tajaniego, obecnie szefa MSZ, a wcześniej przewodniczącego Parlamentu Europejskiego. Nasze wiewiórki z Forza Italia mówią co innego: od czasu śmierci Silvia Berlusconiego signore Tajani ma tylko jedno słoneczko, za którym wiernie podąża. Tym słoneczkiem jest Giorgia.

Skoro już o imprezach. W maju prezydentowi Andrzejowi Sebastianowi stuknął 51. rok życia. Zdarza się. I nie odnotowalibyśmy tej rocznicy, gdyby nie to, że osoba głowy państwa dotrzymała swojego postanowienia, które sobie powzięła rok temu, na pięćdziesiątkę. Otóż Andrzej Sebastian postanowił wtedy zupełnie odstawić alkohol. I trwa w tym postanowieniu, mimo licznych pokus, jakich doświadczają osoby na tak eksponowanych stanowiskach. A trzeba wam wiedzieć, że zwykle różne osobistości z kraju i zagranicy, składając wizytę głowie państwa, w prezencie przywożą absolutnie najlepsze trunki, z jakich słyną ich kraje czy okolice. Pocieszające jest, że owe trunki z biegiem czasu tylko zyskują na szlachetności. Ktoś, kto odziedziczy kiedyś piwniczkę prezydencką, będzie miał więc wiele radości. Tym bardziej rozumiemy dyskusję w PiS na temat kolejnego kandydata w wyborach prezydenckich.

Skoro już o abstynencji – czy my wspominaliśmy w naszej poczytnej rubryce, że prof. Ryszard Legutko rzucił palenie? Chyba nie wspominaliśmy. Po przeczytaniu kolejnej notki może znów zacząć. Jest ona bowiem i polityczna, i akademicka.

Otóż już niebawem na Macieja Stuhra będziemy mówić „Wasza Magnificencjo". Jest najpoważniejszym kandydatem na nowego rektora Akademii Teatralnej w Warszawie. Na następcę zaczął go namaszczać obecny rektor, czyli Wojciech Malajkat. Nic to, że Stuhr nie spełnia nawet najmniejszych wymogów ustawy o szkolnictwie wyższym, by objąć tę zaszczytną funkcję. Nie ma ani pełnego statusu na tej szanownej uczelni, ani wymaganego prawem stopnia naukowego. Wszystko to ma zostać nadrobione z małą pomocą przyjaciół, w ciągu krótkiego czasu, jaki został do wyborów rektorskich. My tę kandydaturę z całego serca popieramy. W różnych kostiumach już Maćka widzieliśmy, ale w gronostajach jeszcze nie. I rozumiemy – emerytura profesorska, a tym bardziej rektorska, jest zdecydowanie tłustsza niż jakiegoś tam komedianta.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

À propos komediantów: Trzecia Droga to smutne miejsce. Sojusz świnek z kurkami (copyright Piotr Zgorzelski) może nie dotrwać do wyborów. U świnek, tzn. w Peezelu, rośnie niezadowolenie z mariażu z Płaczliwym Szymonem. Kurki, czyli Hołownia 2050, w odróżnieniu od Peezelu nie mają właściwie struktur terenowych. Ma natomiast apetyt na jedynki, które trzeba byłoby odebrać starym chłopskim działaczom. Na dodatek żywe są obawy, że jeśli nawet Trzecia Droga wejdzie do Sejmu, to Szymek i tak wyprowadzi swoją drużynę do osobnego koła poselskiego, zabierając ze sobą część kasy. A kto jak kto, ale chłopi kasę umieją liczyć.

Być może niektórzy nie zauważyli, ale z roboty odeszła redaktor naczelna „Faktu" Katarzyna Kozłowska. Oficjalna wersja to powody rodzinne, ale na wszelki wypadek postanowiliśmy uruchomić wiewiórki. No i ciekawa sprawa: w polskim Ringierze Szpryngierze omawiano ostatnio na najwyższych szczeblach i w sekrecie nową strategię dla poczytnego dziennika. Kozłowska zobaczyła strategię, złapała się za głowę i oświadczyła, że pod tymi bzdurami się nie podpisze. No i się nie podpisała.

Jedni odchodzą, innych czekają nowe zadania. Łukasz Jasina, formalnie wciąż pracownik MSZ, otrzyma takie w służbie zagranicznej. Niebawem ma się przenieść do Londynu, gdzie obejmie funkcję szefa tamtejszego Instytutu Polskiego. Jeden z Panów G., który jest także literatem, już się cieszy na wieczory autorskie nad Tamizą. ©℗

ewasa.pl 847107 d88

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Tylko spokój

Centrum Sztuki Współczesnej w Warszawie, wernisaż wystawy Claudii Clare. Na sztuce się nie znam, ale tym, co powiedziała tam brytyjska artystka, muszę się podzielić: „Polska jest dziś jedynym miejscem w Europie, gdzie mogę wystawić swoje prace. W moim kraju i wszystkich krajach zachodnich zostałam zakazana przez cenzurę". Gdyby 40 lat temu powiedział mi ktoś, że dożyję czasów, gdy brytyjski artysta będzie uciekał przed polityczną cenzurą do Polski…

Co tak strasznego jest w ceramice Clare, że gdy raz zaproszono ją na krótki wykład do londyńskiej Tate Gallery, omal nie skończyło się to wyrzuceniem z pracy jej szefowej? Otóż artystka twierdzi, że islam źle traktuje kobiety, że „sex working" to nic fajnego, tylko handel ludźmi, uprzedmiotawianie kobiet i wyzysk. No i najgorsze: oprotestowuje pojęcia takie jak „lesbijka z penisem". To się rewolucjonistom nie podoba, a logika cenzury, szalejącej dziś na Zachodzie, jest prosta: jeśli coś komuś się nie podoba, to „wywołuje niepokój", a treści „wywołujące niepokój" muszą zostać z debaty publicznej usunięte.

Dla niektórych może być szokiem, że gdy Angielka w Polsce wystawia prace na Zachodzie niecenzuralne, we Francji cenzura dotknęła polskiego filmu za to, że przedstawia Holokaust jako zbrodnię. Nie, proszę nie przecierać oczu, tak właśnie jest: film „Polański. Horowitz. Hometown" nie może być wyświetlany właśnie dlatego, że historia dwóch wybitnych artystów, którzy przeżyli Zagładę, „wzbudza niepokój" antysemitów. Francuscy kiniarze wiją się jak piskorze, usiłując kancelację filmu wytłumaczyć zastrzeżeniami wobec artystycznej strony filmu, ale wyziera z tego wicia się prosty i oczywisty powód: „Spaliliby nas!". No jasne: jeśli przeżarte „wokeizmem" zachodnie demokracje dały się sterroryzować stosunkowo nielicznej grupie dziwadeł, „lesbijek z penisem", to co mówić o „chronionej mniejszości", która potrafiła w kilka dni spalić prawie 300 budynków publicznych i narobić zniszczeń na miliard euro?

Gdyby mi ktoś powiedział 40 lat temu, że tak skończy zachodnia demokracja… ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Dziwny znak tożsamości

Na Ukrainie uruchomiono prace legislacyjne nad wprowadzeniem do prawa „partnerstw" homoseksualnych. Inicjatywa wyszła od ugrupowań liberalnych, ale ku zaskoczeniu projektodawców znalazła również osobliwe poparcie na centroprawicy. Sensację wywołało oświadczenie posła z Batkiwszczyny, gen. Andrija Kożemjakina: „Popieram wszystko, czego nienawidzą nasi wrogowie. Powinni widzieć, że wspieramy i mamy to, czego nigdy nie będzie w Rosji, tak powinniśmy pokazać naszą odmienność. Ta ustawa to uśmiech do Europy i środkowy palec pokazany Rosji". Poetyka specjalna i specjalny profil prawicowego posła. Generał Kożemjakin swą drogę zaczynał w (sowieckim) KGB, w którym działał (w odniesieniu do takich organizacji nie używam określenia „służba") również jego ojciec.

Ten kontekst biograficzny to tylko drobna socjologiczna uwaga. Im bardziej naród był uciemiężony przez komunizm, tym trudniej mu wyłonić autentyczną elitę i tym bardziej zasługuje na solidarność w odbudowie tożsamości. To w tym kontekście abp Światosław Szewczuk mówił, że głównym zadaniem nowego Uniwersytetu Katolickiego we Lwowie jest „kształtować nową inteligencję w duchu chrześcijańskim i tym samym nową klasę polityczną, której nam brakuje".

Deklaracja gen. Kożemjakina to również dobry motyw do autorefleksji dla naszej radykalnej centroprawicy. To oni powinni się zastanowić, czy – w całym swoim zapale – zrobili cokolwiek, by jakiś ukraiński poseł śmiało zawołał: „Wojna nam pokazała prawdziwych przyjaciół i prawdziwe wartości. Jeśli czegoś nie ma w Polsce – to nie chcemy tego i na Ukrainie!".

A jeśli nasi przywódcy uważają, że to nie temat na czas wojny, to niech to najpierw powiedzą tym na Zachodzie, którzy wykorzystują dramat dotkniętego najazdem narodu, by narzucać mu rewolucję, której przez całe lata nie chciał. ©℗

eprasa.pl 847107cd88

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

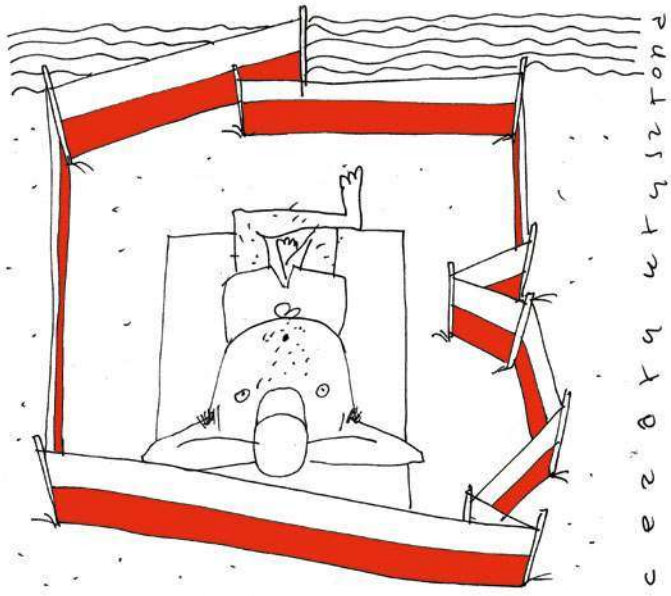

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O włoskich sędziach, prokuratorach i mediach

We Włoszech sąd kasacyjny w piątek 7 lipca uniewinnił rodziców byłego premiera Matteo Renziego, którzy zostali skazani w pierwszej instancji na półtora roku więzienia za przestępstwa finansowe. Uznano, że oskarżenia były całkowicie bezpodstawne, czyli – wymysłem prokuratorów.

Matteo Renzi był objawieniem i nadzieją, że wreszcie lewica będzie miała charyzmatycznego przywódcę i to na wzór i podobieństwo Tony'ego Blaira. Renzi miał w sobie młodzieńczy wdzięk i entuzjazm. Był elokwentny i błyskotliwy. W 2014 r. stanął na czele postkomunistycznej Partii Demokratycznej, a niebawem na czele rządu. Rozpoczął z werwą reformowanie swojej partii. Zapowiadał, że „zezłomuje" leciwych i ortodoksyjnych działaczy. I tak też zrobił. Na własną zgubę. Chciał zreformować włoski parlament na wzór niemiecki, ograniczając prerogatywy senatu. Okoniem stanęło wielu partyjnych towarzyszy. Przegrał referendum w tej sprawie i honorowo złożył rezygnację. Wystąpił również z partii i założył własną. Stał się wrogiem ludu i towarzyszy.

Do akcji, jeszcze gdy był premierem, ruszyli sojusznicy zezłomowanej lewicy w wymiarze sprawiedliwości. Matteo Renzi był kryształowy, ale rodzice zajmowali się biznesem. Siedem lat temu wybuchła bomba: prokuratura poinformowała, że przeciwko nim toczy się śledztwo. Równocześnie ruszyła nagonka we włoskich mediach. Cytowano tajne na tym etapie dokumenty prowadzonego dochodzenia, które przeciekły w całej obfitości z prokuratury do mediów. Z sążnistych artykułów i analiz w TV wynikało, że państwo Renzi to para arcyoszustów, którzy mogli działać bezkarnie, bo syn był premierem.

W sobotę, nazajutrz po uniewinniającym wyroku kasacji, uczestnicy haniebnej nagonki na Renzich, w tym „Corriere della Sera" i „La Repubblica", nie znaleźli dla tej informacji miejsca na swoich łamach. Milczała telewizja publiczna RAI. Naturalnie do dziś nikt nie przeprosił. Pod ziemię zapadli się prokuratorzy i sędziowie, którzy skazali Renzich na więzienie. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 847107cd88

ZUZANNA DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

ŹLI KSIĘŻA NA PORODÓWKACH

Na początek temat trudny i delikatny. Choć i taki, jak się okazuje, celebryci potrafią sprowadzić do poziomu „zero". Aleksandra Żebrowska, żona aktora Michała Żebrowskiego, poruszyła na Instagramie kwestię złego traktowania ciężarnych kobiet na polskich porodówkach. „Znam towarzyszący porodowi stres, poczucie bezsilności, zmęczenia, rozczarowania, smutku, a nawet samotności. Jako kobiecie i mamie bardzo ciężko jest mi zaakceptować fakt, że w XXI w., do tej mieszanki wybuchowej tak często dolewane jest naganne zachowanie personelu medycznego – w tym lekceważące teksty, poniżanie, przekraczanie granic, a nawet łamanie prawa. Dziękuję wszystkim położnym i lekarzom, którzy są inni" – pisze Żebrowska. Niestety, pani Ola nie powstrzymała się przed lekceważącym przytykiem pod adresem Kościoła. Po co? Nie wiadomo. „Nie dziękuję tym, którym w ważnych momentach brakowało empatii, szacunku i zrozumienia (w tym księdzu, który bez pukania wchodzi na salę poporodową i oferuje spowiedź i komunię wietrzącym się kroczom)" – czytamy. Pod wpisem Żebrowskiej pojawiło się wiele komentarzy. Jedna z internautek zwróciła uwagę, że choć gwiazda domaga się szacunku, to sama okazuje jego brak wierzącym, pogardliwie odnosząc się do tych świeżo upieczonych mam, które mają potrzebę spotkania z kapłanem. „A mnie ksiądz, który przyszedł na salę poporodową z Panem Jezusem, przyniósł spokój, poczucie bezpieczeństwa i nadzieję. Pani zaś musiała w takim poście wyrazić swoją niechęć dla Kościoła oraz obśmiać i obrazić ludzi wierzących poprzez sugerowanie, że spowiedź i Komunię oferuje się »wietrzącym się kroczom«... To jest dopiero z Pani strony szacunek, zrozumienie, empatia, tolerancja dla inności, szyk i klasa..." – stwierdziła gorzko autorka komentarza. Brawa dla tej pani.

FOT. PIOTR MOLECKI/EAST NEWS

BRAWO, SEBA!

Brawa należą się również Sebastianowi Karpielowi-Bułecce. Muzyk poczynił wyznanie nieczęste w polskim show-biznesie. Przyznał, że chodzi do Kościoła, wiara pomaga mu w życiu i wbrew panującej modzie nie zamierza się od katolicyzmu odcinać. – Ja lubię chodzić do Kościoła i mnie jest dobrze, jak chodzę do Kościoła. Znajduję tam jakąś wspólnotę i lepiej mi się żyje, mi pomaga to, widzę w tym sens. Ja nie będę tego zmieniał, nie będę nikogo oceniał, bo tak samo są ludzie dobrzy w Kościele, jak i poza Kościołem, podejrzewam. I tak samo są ludzie źli poza Kościołem, jak i w samym Kościele, więc wrzucanie kogoś i szufladkowanie nie ma sensu – stwierdził lider zespołu Zakopower w podcaście Żurnalisty. Góral to jednak góral.

FANTAZJE SZPILI

„Przedwyborcze odmęty szaleństwa". W tym tygodniu przed państwem ulubienica gwiazdobzdurowych zapisków, czyli ekofeministyczna pisarka Agnieszka Szpila. „Szpila ze swoimi najnowszymi opowiadaniami postporno była gościnią IX Festiwalu Góry Literatury. Spotkanie, które prowadził Michał Nogaś, było emocjonujące i pełne zaskakujących zwrotów i deklaracji. Skończyło się na podeście, gdzie oboje odśpiewali piosenkę Miley Cyrus »Flowers«" – relacjonuje wałbrzyska „Wyborcza". Relacja pęka w szwach od smakowitych absurdów. Szpila postuluje np. „rewolucję queer" w całej Polsce. Co zrobić jednak z Konfederacją, która tak chętna „queer" nie jest? – Oni są głównie jakby incelami – stwierdziła autorka „postporno". – Boją się jednak w ogóle seksu. Co można im zaproponować, jeśli się boją, utyskują, co wynika z badań? Trzeba zrobić takie gry... takie postporno, co by podprogowo sączyć im treści uzdrawiające wyobraźnię. Oni powinni stać się queerem jak najszybciej – przekonuje pisarka. Nie zabrakło też – nomen omen – szpili wbitej PiS. Dla niezorientowanych – Agnieszka Szpila to mama dwóch niepełnosprawnych córek (zanim świat poznał ją od strony „ekofeministycznej", występowała jako aktywistka na rzecz ich praw). Ma więc ona na swoim koncie krótki epizod „współpracy" z rządzącymi, w kwestii praw osób niepełnosprawnych i ich opiekunów właśnie. Teraz chlubi się, że PiS bardzo chciałby nadal konsultować z nią różne rzeczy, ale ona już nie chce. – Najśmieszniejsze jest to, że ten PiS mnie kocha. Im bardziej ja im dopierniczam, tym bardziej oni się o mnie upominają: „Dlaczego nie ma pani Agnieszki?", „Dlaczego pani Szpila nie przyszła?", „My ją tak bardzo lubimy". A ja po prostu naprawdę nie szczędzę w słowach i te teksty moje są straszne. To jest nieprawdopodobne. Oni są moim zdaniem SM (sadomasochizm). Albo nawet BDSM (krępowanie, dominacja, sadomasochizm). Chcą dostawać łomot i wtedy kochają – mówiła podczas festiwalu w Wałbrzychu. Pytanie, czy festiwal literacki to najlepsze miejsce na prezentowanie swoich fantazji. Niech każdy odpowie sobie sam. ©℗

eprasa.pl 847107cd88

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, pojawiły się pierwsze zwiastuny filmu pt. „Napoleon" i uważamy, iż jest to bardzo niepokojące zjawisko, takie grzebanie w historii, pokazywanie postaci na wpół legendarnych (czy zachowało się jakieś nagranie Napoleona, mamy pewność, iż naprawdę istniał?).

Jednocześnie jako osoba dyktatorska Napoleon nie jest wzorcem, który warto byłoby popularyzować, biorąc pod uwagę dzisiejszy marsz fashsymu przez Europę. Dla wielu młodych osób mogłoby to być interesujące, a taka promocja cesarstwa itp. nie jest czymś, czym powinny zajmować się młode umysły skoncentrowane na social mediach i poszukujące swej tożsamości płciowej.

Poza tym wiecie, nie chcemy się mieszać w wewnętrzne sprawy Francji przechodzącej obecnie przez pewne trudne okoliczności. Ale czy człowiek tytułujący się „Cesarzem Francuzów" nie dzieliłby obecnych obywateli Republiki na prawdziwych Francuzów i nieprawdziwe osoby napływowe bądź osoby uchodźcze? Jeśli czyta nas Pan Macron, to może warto byłoby się zastanowić nad zakazem dystrybucji tego filmu we francuskich kinach.

No i jeszcze widzimy niebezpieczeństwo dotyczące powielania tych wzorców na naszym podwórku (w sensie w tym kraju). Napoleon, jak wiadomo, był bowiem niski i – jak wspominaliśmy – miał zapędy dyktatorskie. Sami wiecie, z kim nam się to kojarzy, a filmu o Kaczafim w polskich kinach byśmy już nie znieśli, wtedy już na pewno musielibyśmy emigrować.

Ponieważ trwają wakacje i w związku z tym, jak co roku, czynimy pewne socjologiczne obserwacje, znaleźliśmy kolejną ciekawą: otóż zdaniem eksperta Polacy nie potrafią wypoczywać.

Mamy więc kolejną rzecz do kolekcji, której Polacy nie potrafią robić. Z ciekawości wpisaliśmy w Google „Polacy nie potrafią" i otrzymaliśmy 118 tys. wyników. Natomiast dla frazy „Niemcy nie potrafią" wyników było już tylko 36 tys., a „Europejczycy nie potrafią" zaledwie 4 tys.

Jaki z tego wniosek? No oczywiście, iż przeciętny Polak jest mniej utalentowany niż przeciętny Niemiec, o przeciętnym Europejczyku już nie wspominając. W sumie nie jesteśmy zaskoczeni.
A czego Polacy nie potrafią? Jeździć, grać w piłkę, rozmawiać, cieszyć się, negocjować podwyżek, no i of kors odpoczywać.

No bo sami widzicie: zamiast pojechać sobie medytować na jakąś spokojną wyspę, zostawiając na ten czas osobodzieci w jakiejś placówce, gdzie można przechowywać osobodzieci (istnieją takie wgle?), to oni pchają się całymi rodzinami „na Chorwację", potem spędzają dnie na gotowaniu, bo nie chcą chodzić do restauracji, a w dodatku muszą prowadzić swojego starego poloneza na olej po 12 godzin w jedną stronę.

A jak zostaną w domu, to poświęcą urlop na malowanie, remonty albo siedzenie na działce i grillowanie. I of kors nie mówimy tu o jakiejś działce deweloperskiej lub chociaż działce pod miastem z domem letniskowym i basenem, a o zwykłym ogródku działkowym, gdzie jedną ręką na grillu obracają karkówkę, a drugą pielą grządkę ziemniaków.

No i sami widzicie, Polacy nie potrafią i tyle. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Nie mów do mnie „Jędrek"!

Jędrek, o co ci właściwie chodziło z tym bieganiem z widłami? Że niby ksiądz z widłami biega? Czy Tusk może?

Mati, nie mów do mnie Jędrek!

Dobra, nie krzycz, przepraszam. To niby jak mam mówić? „Panie prezydencie"?

Nie, po prostu Andrzej. Jędrek to wiejskie takie.

Ale ty przecież chyba lubisz wieś.

Nienawidzę! Jak muszę tam jechać, to mnie skręca!

To skąd ci się te widły wzięły?

Wideł też nienawidzę! I gnojówki, i krów, i tego wszystkiego.

Ale jutro masz podobno jakieś spotkanie z rolnikami. I to na wsi. Jakieś targi narzędzi rolniczych. To i widły pewnie będą.

Idź już. Jak się nie napiję, to tego nie przetrwam. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Pogonienie Rydzyka, choć nie będzie go na listach razem z PiS-owcami, to będzie okazja, której nie można zmarnować".

TOMASZ LIS, *publicysta, na Twitterze*

eprasa.pl 847107cd88

„ZAMORDOWANI PRZEZ NIEMCÓW ZA RATOWANIE ŻYDÓW” – NOWA LOKOMOTYWA NA TRASIE DO BERLINA

Na Dworcu Centralnym w Warszawie zaprezentowano lokomotywę, która będzie jeździła na trasie Warszawa Gdańska – Berlin Hauptbahnhof, a następnie, do 4 września, na trasie Przemyśl – Wrocław – Zielona Góra – Frankfurt nad Odrą – Berlin. Na lokomotywie została naklejona okolicznościowa grafika związana z planowaną na 10 września beatyfikacją ośmiorga członków polskiej rodziny Ulmów: Józefa, jego żony Wiktorii, sześciorga narodzonych dzieci oraz nienarodzonego dziecka – niemieccy policjanci rozstrzelali całą rodzinę w 1944 r., gdy Wiktoria była w siódmym miesiącu ciąży. W okupowanej przez Niemców Polsce kara śmierci groziła każdemu, kto pomagał Żydom.

Na bokach lokomotywy umieszczono napisy „Ulmowie. Nie ma większej miłości”, „Zamordowani przez Niemców za ratowanie Żydów podczas II wojny światowej” oraz „Beatyfikacja rodziny Ulmów 10.09.2023”. Projekt został zrealizowany we współpracy Kancelarii Prezydenta RP, Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, IPN, Biura Niepodległa oraz spółek PKP S.A. oraz PKP InterCity.

Tego samego dnia w holu głównym Dworca Centralnego została otwarta wystawa „Samarytanie z Markowej”, poświęcona rodzinie Ulmów.

(jap) © ℗

FOT. PAWEŁ SUPERNAK/PAP, PRZEMYSŁAW KELER/KPRP

Ulmowie
Nie ma większej miłości
SIEMENS
Samarytanie
z Markowej
Zamordowani przez Niemców
za ratowanie Żydów
podczas II Wojny Światowej

FOT. ADOBE STOCK

Z ks. Waldemarem Chrostowskim, profesorem nauk teologicznych, biblistą
rozmawia Paweł Chmielewski

Trzecia Świątynia.

Utopia czy zagrożenie dla chrześcijan?

PAWEŁ CHMIELEWSKI: Część żydowskich środowisk w Izraelu myśli o odbudowie Świątyni Jerozolimskiej. Świątynie były jednak dwie. Jak – w największym skrócie – można przedstawić ich historię?

KS. WALDEMAR CHROSTOWSKI: Dzieje starożytnego Izraela są dzielone na dwa zasadnicze etapy: okres Pierwszej Świątyni (Ha-Bait ha-Rišon) i okres Drugiej Świątyni (Ha-Bait ha-Šeni). Pierwsza Świątynia, zbudowana w połowie X w. przed Chrystusem w Jerozolimie przez króla Salomona, w 586 r. przed Chrystusem została zburzona przez Babilończyków, po czym nastał czas wygnania babilońskiego. Kiedy Persowie pokonali Babilończyków, pozwolili w 539 r. na powrót żydowskich wygnańców do ojczyzny. Po kilkunastu latach marazmu przystąpiono do budowy Drugiej Świątyni, konsekrowanej w 515 r. przed Chrystusem, która w ostatnich dekadach ery przedchrześcijańskiej została rozbudowana i upiększona przez Heroda. Przetrwała do 70 r. i podczas oblężenia Jerozolimy została zburzona przez Rzymian.

Czy od tego czasu Żydzi próbowali ją odbudować?

Tak, podjęto kilka znaczących prób jej odbudowy. Najpierw w latach 132–135, podczas drugiego powstania żydowskiego przeciw Rzymianom pod wodzą Bar Koch-

eprasa.pl 847107cd88

by, które dramatycznie upadło. Następnie w latach 360–362, za panowania Juliana Apostaty, który obiecał Żydom swoją zgodę na odbudowę za cenę wsparcia w jego wyprawie przeciwko Persom. Zgromadzono budulec i rozpoczęto przygotowania, ale gwałtowne trzęsienie ziemi w maju 362 r. położyło kres tym planom, a kilka tygodni później cesarz Julian tragicznie zmarł. W 610 r. Palestynę, wtedy pod rządami Bizancjum, najechali Persowie. Przez dwa lata trwały silne prześladowania chrześcijan, w których Żydzi sprzymierzyli się z Persami w ponowionej nadziei na odbudowę świątyni. Po raz pierwszy od powstania Bar Kochby wznowiono składanie ofiar ze zwierząt. Jednak Persowie zostali wyparci i te plany spełzły na niczym. Podbój Palestyny przez Arabów i ekspansja islamu sprawiły, że na Wzgórzu Świątynnym pod koniec VII w. wzniesiono Kopułę Skały (bądź Kopułę na Skale), znaną jako Meczet Omara, a w jej pobliżu meczet Al-Aksa. Nadzieje na odbudowę odżyły dopiero pod koniec XVIII w., gdy Napoleon Bonaparte obiecał ją za okazanie wsparcia finansowego w wyprawie na Bliski Wschód i wojnie z Turkami. Przegrał bitwę pod Hajfą i nie spełnił swej obietnicy. W 1948 r. zostało utworzone państwo Izrael, lecz jerozolimskie Stare Miasto, a w nim Wzgórze Świątynne, zostało zajęte przez wojsko izraelskie dopiero w 1967 r. Szlomo Goren, główny rabin wojska izraelskiego, naciskał na zburzenie świętych budowli islamu, jednak rozmaite względy i obawy polityczne sprawiły, że do tego nie doszło. Później podjęto jeszcze kilka, mniej czy bardziej spektakularnych, prób odbudowy.

Jak Żydzi tłumaczą sobie zburzenie Drugiej Świątyni? Chrześcijanie głoszą, że po Chrystusie świątynia jest już niepotrzebna.

Przez cztery dekady I w. Kościół apostolski istniał i ewangelizował w sytuacji, gdy wciąż istniała Świątynia Jerozolimska. Zarazem kształtowała się świadomość, co widać zwłaszcza w Liście do Hebrajczyków, że męka i zbawcza śmierć Jezusa Chrystusa sprawiły, że świątynia, z jej kultem ofiarniczym, spełniła już swoją funkcję. Ponawiane próby odbudowy świadczą, że Żydzi nie pogodzili się z jej brakiem. Zburzenie Drugiej Świątyni postrzegają, analogicznie jak Pierwszej Świątyni, jako karę za niewierność wobec Boga, która, chociaż trwa kilkanaście wieków, ma charakter przejściowy.

Dlaczego Żydzi kładą taki nacisk na odbudowę świątyni? Z perspektywy zewnętrznego obserwatora może to zaskakiwać: mają przecież gdzie się modlić, mają synagogi…

Świątynia była nie tylko, a nawet nie tyle, miejscem modlitwy, bo już w ostatnich stuleciach ery przedchrześcijańskiej tę rolę przejęły synagogi. Była miejscem składania ofiar ze zwierząt, określanych nazwą „krwawe ofiary", oraz ofiar z pokarmów, a także miejscem dorocznego, sprawowanego w Jom Kippur, przebłagania Boga za grzechy arcykapłana, kapłanów i całego ludu. Trudno powiedzieć, czy plany zbudowania Trzeciej Świątyni (Ha-Bait ha-Šeliši) mają na celu wznowienie ofiar, lecz jedno nie ulega wątpliwości: ma to być centralne miejsce integracji i konsolidacji świata żydowskiego. W podtekście dają też o sobie znać resentymenty konfrontacyjne. Odbudowa świątyni ma być znakiem i potwierdzeniem żywotności i trwałości religii żydowskiej.

Nie wszyscy Żydzi popierają ideę budowy Trzeciej Świątyni. Jak przebiegają w tym względzie podziały w judaizmie?

Tym, co integruje świat żydowski, są jego silne zróżnicowanie i niezgoda. Pewna część religijnych Żydów odrzuca ideę budowy świątyni przed oczekiwanym przyjściem Mesjasza. Idą za naukami Talmudu, który głosi, że odbudowa, nawet gdyby nie było tam muzułmańskich sanktuariów, powinna być podjęta pod kierunkiem proroków Aggeusza, Zachariasza i Malachiasza, którzy zabiegali o budowę Drugiej Świątyni i sprawowanie w niej kultu. Inni podzielają to stanowisko, dodając, że tylko Mesjasz może wskazać miejsce ołtarza ofiarnego, a obecność świątyni oznaczałaby przedsmak lub zwiastun ery mesjańskiej. Powstrzymują się przed wejściem na Wzgórze Świątynne, aby tak długo, jak długo nie jest znana dokładna lokalizacja sanktuarium, nie zaciągnąć rytualnej nieczystości. Przeważa jednak pogląd, który wyraził Majmonides (1138–1204). Uznając, że Bóg sprawił odejście od ofiar na rzecz modlitwy jako wyższej formy okazywania Mu czci, mimo to zapowiadał wznowienie ofiar i określił, w jaki sposób powinny być składane. To stanowisko przyjmuje judaizm ortodoksyjny. Jego przedstawiciele widzą w odbudowie świątyni ogromną szansę na ożywienie żydowskich pielgrzymek do Jerozolimy oraz impuls do rozwijania turystyki. Szacują, że liczba turystów wzrośnie z obecnych 3–4 do 10 mln, co na pewno się opłaci.

Kto mógłby jednak odbudować świątynię? Czy państwo Izraela ma w ocenie ortodoksyjnych Żydów wystarczający autorytet, by zainicjować i przeprowadzić taki projekt?

Wystarczy, że państwo Izraela nie będzie przeszkadzało w realizacji tej inicjatywy, tak jak zablokowało ją w 1967 r. w obawie przed reakcją muzułmanów i światowej opinii publicznej. Fundusze na ten cel są gromadzone od dawna, a ewentualnym większym potrzebom da się szybko i skutecznie sprostać. Utworzono wiele instytucji, które temu służą. Bodaj najważniejsze to Instytut Trzeciej Świątyni oraz Temple Mount and Eretz Yisrael Faithful Movement. Sojusznikami w tych sprawach są niektóre organizacje chrześcijańskie, szczególnie protestanckie, które działają pod szyldem Christians for Israel albo Christians for Jerusalem.

Załóżmy, że Trzecia Świątynia rzeczywiście powstanie. Czym byłby wtedy judaizm? Czy z perspektywy samego judaizmu zmieniłaby się jego relacja do chrześcijaństwa?

Zostawiając na boku karaimów, religią Żydów jest judaizm rabiniczny. W relacji do judaizmu biblijnego, który istniał do 70 r., opiera się on na trzech filarach: świątynię zastąpiły synagogi, kapłanów składających ofiary zastąpili rabini jako nauczyciele Tory, a ofiary zostały zastąpione przez czytanie i rozważanie Tory. Zawsze jednak istniała silna duchowa i emocjonalna więź Żydów ze świątynią, podtrzymywana w tradycji („Na przyszły rok w Jerozolimie") oraz pobożności karmionej psalmami i codzienną modlitwą Amidah. Już utworzenie państwa Izrael i umocnienie się go w granicach terytorium określonego w Biblii hebrajskiej skutkuje nową relacją do chrześcijaństwa i wytykaniem, że fiasko poniosła „teologia zastępstwa". Budowa Trzeciej Świątyni wzmocniłaby te nastroje, stawiając teologię chrześcijańską wobec nowych wyzwań.

Część Żydów łączy odbudowę Trzeciej Świątyni z przyjściem Mesjasza. Dlaczego i co przez to rozumieją?

Żydowskie koncepcje mesjańskie są tak zróżnicowane, że trzeba wiele miejsca, by choć trochę je wyjaśnić. We współczesnym judaizmie istnieją cztery główne nurty:

eprasa.pl 847107cd88

ortodoksyjny, konserwatywny, reformowany i liberalny. Różnice między nimi są większe niż te, które w chrześcijaństwie dzielą prawosławną kobietę modlącą się w cerkwi w Irkucku od lesbijki pełniącej funkcję pastora w protestanckiej kongregacji w Sztokholmie. Można odnieść wrażenie, że każdy Żyd ma własny obraz Mesjasza i nie próbuje go uzgadniać z tymi, jakie podzielają jego współwyznawcy.

Kościół prowadzi z Żydami od kilkudziesięciu lat intensywny dialog. Czy kwestia ewentualnej odbudowy Trzeciej Świątyni odgrywa w tym dialogu jakąś rolę?

Na tyle, na ile mi wiadomo – żadnej! To poważny błąd, niejedyny zresztą w tej dziedzinie po stronie katolickiej. Próbowałem zainteresować tą sprawą w 2008 r., podczas kolejnego sympozjum „Kościół a Żydzi i judaizm", które miało miejsce na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Materiały zostały opublikowane – i na tym koniec. Tymczasem, po wcześniejszej próbie podjętej pod wodzą Ariela Szarona we wrześniu 2000 r., która zakończyła się kilkuletnią intifadą, wiosną 2014 r. na teren świątynny wkroczyło ponad 400 Żydów, którzy raz jeszcze zostali powstrzymani. Mimo to jestem przekonany, że pewnego dnia odbudowa świątyni zostanie podjęta. Katolicka teologia judaizmu, zwłaszcza w popularnym przekazie, jest płytka i nastawiona na ugrzecznione spotkania, bez zakorzenienia w obydwu częściach Biblii chrześcijańskiej, czyli Starym i Nowym Testamencie. Nigdy dość podkreślania, że Jezus Chrystus jest „nową świątynią", a Jego wyznawcy, jako „ciało Chrystusa", tworzą tę duchową świątynię, którą jest Kościół.

Czy chrześcijanie powinni przejmować się planami odbudowy Trzeciej Świątyni z perspektywy religijnej? Może jakieś miejsca Pisma Świętego wiążą z tym określone zapowiedzi?

Chrześcijanie nie mogą lekceważyć planów odbudowy świątyni, bo nawet na obecnym etapie są one ważnym przejawem konsekwentnie realizowanej strategii pełnej judaizacji Jerozolimy jako Miasta Świętego. Nastroje antychrześcijańskie są tam silne i coraz częściej dochodzą do głosu, aczkolwiek wiadomości na ten temat są wyciszane bądź zupełnie przemilczane. Z perspektywy religii chrześcijańskiej ten projekt nie ma istotnego znaczenia, bo Świątynia Jerozolimska nie odgrywa

Chrześcijanie nie mogą lekceważyć planów odbudowy świątyni, bo nawet na obecnym etapie są one ważnym przejawem konsekwentnie realizowanej strategii pełnej judaizacji Jerozolimy jako Miasta Świętego

teraz żadnej roli w Bożym planie zbawienia. Co więcej, trudno wyobrazić sobie, że we współczesnym świecie mogłoby być wznowione publiczne składanie ofiar ze zwierząt, a nawet gdyby do tego doszło, na pewno byłby to szok, który stawia pytanie o naturę tak pojętego judaizmu. Najbliższe chrześcijańskiemu jest podejście przyjęte w judaizmie reformowanym: nie ma potrzeby odbudowy świątyni z jej dawnymi funkcjami i przeznaczeniem, bo to sprawa przeszłości, do której nie ma powrotu. Skoro jednak nie brakuje Żydów, dla których to bardzo ważna kwestia, to trzeba obserwować, jak sobie radzą z jej realizacją. Wygląda na to, że w aktualnej sytuacji politycznej nie pozostaje nam nic innego.

Wzgórze Świątynne, na którym mogłaby stanąć Trzecia Świątynia, jest dziś zajęte przez dwa meczety. Odbudowa świątyni byłaby zatem politycznie niezwykle trudna. Czy widzi ksiądz profesor przestrzeń na to, by Żydzi przeprowadzili swoje zamiary bez skrajnego antagonizowania świata islamskiego?

Niemało poczynań podejmowanych przez Izrael i Żydów w innych rejonach świata dowodzi, że na rozmaite sposoby, często bez skrupułów, poradzili sobie z reakcjami wyznawców islamu. Teodor Herzl, twórca syjonizmu, w noweli „Altneuland" widział możliwość wzniesienia świątyni w sąsiedztwie istniejącej Kopuły Skały. Obecnie chyba nikt, po żadnej stronie, nie podziela tej pacyfistycznej wizji. Sytuacja Żydów jest diametralnie inna niż na przełomie XIX i XX w. Plany budowy Trzeciej Świątyni wydają się utopijne, jednak Żydzi dali wiele dowodów, że potrafią przeobrazić utopię w rzeczywistość.

Można zatem przypuszczać, że Jerozolima z odbudowaną Trzecią Świątynią stałaby się miejscem jeszcze silniej naznaczonym nacjonalizmem i wrogością religijną wobec chrześcijan (a także muzułmanów); Żydzi próbowaliby dowodzić, że chrześcijanie się mylili, twierdząc, że czas Starego Testamentu się zakończył?

Niestety, takie obawy nie są bezpodstawne. W ostatnich latach stwierdza się w Izraelu coraz większą radykalizację nastrojów antychrześcijańskich i antyislamskich. Wzrasta też liczba bardzo niepokojących i niebezpiecznych incydentów. Realizacja planów budowy Trzeciej Świątyni może sprzyjać narastaniu nastrojów nacjonalistycznych i wynikających z nich konfliktów, tym bardziej że większość incydentów, a nawet napaści, nie spotyka się z należytą reakcją władz izraelskich.

Co się tyczy drugiej części pytania, to obie strony – wyznawcy judaizmu i chrześcijanie – dobrze wiedzą, że czas Starego Testamentu (chociaż Żydzi nie używają tego określenia) się skończył. Wielkie uproszczenie pokutujące wśród chrześcijan polega na utożsamianiu judaizmu rabinicznego, a zatem także współczesnego żydowskiego życia religijnego, z religią biblijnego Izraela, czyli Starego Testamentu. Jednak judaizm rabiniczny i judaizm biblijny, co usiłuję tłumaczyć i uzasadniać od kilku dziesięcioleci, to nie to samo! Na gruncie religii biblijnego Izraela wyrosły dwie religie: chrześcijaństwo i judaizm rabiniczny, zbratane we wzajemnym oddalaniu się od siebie. Prawdziwy problem dotyczy tego, która z nich stanowi prawowitą kontynuację Starego Testamentu. Co więcej, Żydzi rabiniczni, z czego wielu z nas wcale nie zdaje sobie sprawy, postrzegają i przedstawiają chrześcijan jako pogan (!). Gdyby Świątynia Jerozolimska została odbudowana w jej dawnym kształcie i funkcjach, moglibyśmy więc wejść najdalej tylko na Dziedziniec Pogan. To otworzyłoby nam szerzej oczy na rzeczywiste dylematy i wyzwania relacji Kościoła z judaizmem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

ks. Waldemar Chrostowski
– profesor nauk teologicznych, biblista, specjalista w obszarze egzegezy Starego Testamentu, wybitny znawca judaizmu i relacji katolicko-żydowskich, członek Komitetu Nauk Teologicznych PAN, laureat Nagrody Ratzingera. Autor kilku tysięcy publikacji naukowych i popularnonaukowych.

eprasa.pl 847107cd88

Izraelska policja strzegąca bezpieczeństwa turystów zwiedzających meczet Al-Aksa, Jerozolima, 18 czerwca 2023 r.
FOT. JEWEL SAMAD/AFP/EAST NEWS

Żydowska wojna o Al-Aksa

Witold Repetowicz

Nad Jerozolimą zawisła groźba nowej wojny religijnej, w związku z pomysłami radykalnej prawicy żydowskiej, by przejąć większą część Wzgórza Świątynnego, czyli muzułmańskiej Al-Aksy. Dzieje się to w sytuacji, gdy napięcia izraelsko-palestyńskie i tak sięgają zenitu, a Izrael pogrążony jest w wewnętrznym kryzysie. Nasilają się też ataki na chrześcijan

Od dawna wiadomo, że na kryzys wewnętrzny i spadające poparcie najlepszy jest wróg zewnętrzny, wobec którego można zjednoczyć naród. W teorii nauk politycznych nosi to nazwę syndromu jednoczenia wokół flagi. Tymczasem niezwykle kontrowersyjne plany zmian w systemie sądownictwa, których jak dotąd nie udało się przeforsować izraelskiemu premierowi Beniaminowi Netanjahu, doprowadziły do skrajnej polaryzacji tamtejszego społeczeństwa, a także drastycznego spadku notowań rządzącej partii Likud i jej ekstremistycznych oraz ortodoksyjnych sojuszników. Według ostatnich sondaży rządząca koalicja wybory przegrałaby z kretesem, tracąc nawet 14 mandatów w 120-osobowym Knesecie. Opozycja może też liczyć na wsparcie ze strony prezydenta Joe Bidena i jego administracji, których stosunek do Netanjahu jest bardzo chłodny, a do jego ekstremistycznych ministrów z partii religijno-syjonistycznych – jednoznacznie negatywny. Listę porażek Bibiego, jak tradycyjnie nazywany jest izraelski premier, domyka normalizacja stosunków Arabii Saudyjskiej z Iranem, postępująca stabilizacja Syrii pod rządami Al-Asada oraz sygnały o możliwym kompromisie USA i Iranu w sprawie programu nuklearnego wroga numer jeden Izraela.

MIEJSCE POBŁOGOSŁAWIONE

Trudno zatem zignorować kontekst czasowy prowokacyjnej propozycji deputowanego rządzącego Likudu Amita

eprasa.pl 847107cd88

Halevi, by większość terenu Wzgórza Świątynnego, wraz z Kopułą Skały, została przejęta przez Żydów, a muzułmanom pozostało jedynie 30 proc. obszaru w południowej części, w tym budowla znana jako Al-Qibli. Niemniej sam pomysł nie jest nowy, a spór o ten teren stanowi pewien paradoks, gdyż nad miejscem uznawanym za szczególnie pobłogosławione przez Boga (i to w percepcji trzech monoteistycznych religii: islamu, judaizmu i chrześcijaństwa) ciąży jednocześnie klątwa religijnego konfliktu. Sytuację pogarsza obecnie to, że żydowscy ekstremiści religijno-syjonistyczni, rasistowsko nastawieni do Arabów, a także kierujący się religijnym fundamentalizmem w relacjach z wyznawcami innych religii (nie tylko islamu, lecz także chrześcijaństwa), są obecnie wyjątkowo silni.

Muzułmanie uważają, że cały sporny teren to jeden obiekt – meczet Al-Aksa, do którego wstęp niewyznających islamu powinien być ograniczony

Dla Żydów sporne 37 akrów ziemi, górującego nad Jerozolimą na wysokości 740 m. n.p.m. wzniesienia, to Wzgórze Świątynne, a dla muzułmanów – meczet Al-Aksa. Warto przy tym wyjaśnić, że w dość powszechnej percepcji niemuzułmanów, w tym interpretacji przyjętej przez władze Izraela, meczetem Al-Aksa jest wyłącznie budynek określany przez muzułmanów mianem sali modlitewnej Al-Qibla, podczas gdy druga budowla znajdująca się na wzgórzu, czyli Kopuła Skały, jest odrębnym obiektem, a pozostały teren to park. Muzułmanie widzą to jednak zupełnie inaczej, a nieporozumienie wynika z różnic między funkcją meczetu w islamie a funkcją synagogi w judaizmie czy też kościoła w chrześcijaństwie. Wyznawcy Allaha uważają zatem, że cały sporny obszar to jeden obiekt – meczet Al-Aksa, do którego wstęp osób niewyznających islamu (w tym Żydów) powinien być ograniczony i odbywać się wyłącznie pod kontrolą muzułmanów, a niemuzułmańskie modlitwy powinny być tam zakazane. Taki jest zresztą obecny stan rzeczy, który jednak żydowscy ekstremiści chcą zmienić.

Dla muzułmanów świętość tego miejsca związana jest z nocną podróżą Mahometa, zwaną al-isra, oraz jego wniebowstąpieniem. Poświęcona jest temu 17. sura Koranu, rozpoczynająca się od słów „Chwała temu, który przeniósł swojego sługę nocą z Meczetu Świętego do Meczetu Dalekiego…". Meczet Święty to „Masdżid al-Haram", znajdujący się w Mekce, natomiast Meczet Daleki to właśnie Al-Aksa. Islamski prorok miał odbyć tę podróż na specjalnym rumaku znanym jako Al-Burak, następnie poprowadzić w Al-Aksa modlitwę z udziałem zgromadzonych tam wcześniejszych proroków (którzy w tym celu zstąpili z niebios), a na koniec wstąpić do nieba i otrzymać tam instrukcje dotyczące muzułmańskich modlitw, po czym wrócić do Mekki. Al-Aksa miała też stanowić pierwszą „kiblę", czyli miejsce, w którego kierunku muzułmanie się modlą. Dopiero później Mahomet miał to zmienić, ustanawiając Mekkę jako kiblę. Dlatego Al-Aksa uznawana jest przez muzułmanów za jedno z trzech najświętszych miejsc islamu obok Meczetu Świętego w Mekce i Meczetu Proroka w Medynie.

Żydzi natomiast uważają, że sporny teren to miejsce, w którym stały Pierwsza i Druga Świątynia Jerozolimska. Pierwsza została zbudowana przez króla Salomona w X w. p.n.e. i zburzona po najeździe Babilończyków w 587 r. p.n.e., natomiast drugą zbudowano w 516 r. p.n.e., po tym, jak perski władca Cyrus Wielki wyzwolił Żydów z babilońskiej niewoli. Ostatecznie legła w gruzach za sprawą Rzymian w 70 r. n.e. i pozostał po niej jedynie fragment zachodniej ściany znany dziś jako Ściana Płaczu. Żydzi uważają również, że znajdujący się w Kopule Skały kamień jest miejscem, z którego Bóg rozpoczął stworzenie świata, a później było to tzw. Święte Świętych, czyli miejsce przetrzymywania Arki Przymierza, dostępne wyłącznie raz w roku dla arcykapłana. Na skałę tę Abraham miał również poprowadzić swojego syna, by go złożyć Bogu w ofierze, przed czym, jak wiadomo, ostatecznie powstrzymał go Anioł Gabriel. Inną kwestią jest natomiast to, że według muzułmanów poświęcony miał być Ismail, a nie Izaak.

Obecne zagospodarowanie tego terenu pochodzi z końca VII w., gdy obie budowle, tj. salę modlitewną oraz Kopułę Skały, zbudował tam omajadzki kalif Abd al-Malik. Warto przy tym dodać, że po zburzeniu Drugiej Świątyni Jerozolimskiej miasto było kontrolowane przez pogański, a następnie chrześcijański Rzym. W 614 r. miejscowi Żydzi wsparli jednak Sasanidów przeciwko Bizancjum i gdy armia perska wkroczyła do Jerozolimy, próbowali oni odbudować świątynię. Niemniej, choć Persowie kontrolowali miasto do 625 r., to już w 617 r. cofnęli wsparcie dla Żydów i zamiast tego zaczęli popierać miejscowych chrześcijan. W 638 r. miasto podbiła muzułmańska armia Arabów pod wodzą kalifa Omara i od tego czasu znajdowało się ono pod kontrolą wyznawców islamu, z wyjątkiem lat 1099–1187 i 1229–1244, gdy znalazło się w rękach krzyżowców. Po upadku imperium osmańskiego Jerozolima, a wraz z nią Wzgórze Świątynne znalazły się pod administracją brytyjską w latach 1917–1948, co nie przyniosło istotnych zmian, gdyż Żydzi (a tym bardziej chrześcijanie) nie byli zainteresowani odbudową świątyni, ograniczając się do modłów przy Ścianie Płaczu. Zgodnie z dominującym stanowiskiem ortodoksyjnych judaistów świątynię mógł odbudować dopiero Mesjasz. Ponadto wobec braku dokładnej wiedzy na temat lokalizacji najświętszej części Świątyni Żydzi mogli przypadkowo ją zbezcześcić, więc nie powinni tam przebywać.

O ten teren w Jerozolimie od dawna spierają się muzułmanie i Żydzi

FOT. CHRISTIAN OFFENBERG/ADOBE STOCK

CZAS EKSTREMISTÓW

Po powstaniu Izraela, do wojny sześciodniowej w 1967, tereny te pozostawały pod kontrolą Jordanii. Po zdobyciu

eprasa.pl 847107cd88

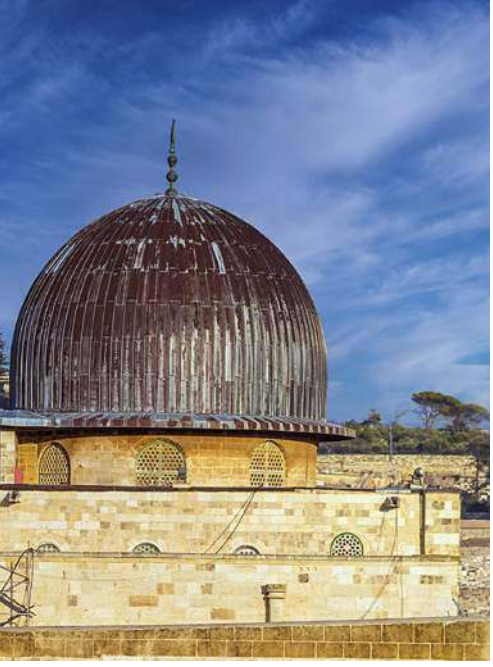

Jerozolimy, na mocy porozumienia między Izraelem a Jordanią, kontrola nad Wzgórzem Świątynnym pozostała w rękach jordańskiej instytucji znanej jako Waqf Jerozolimy. Żydzi, podobnie jak turyści, uzyskali prawo odwiedzania tego miejsca, ale wyłącznie przez Bramę Maghrebinów i bez prawa wnoszenia jakichkolwiek niemuzułmańskich symboli religijnych oraz odprawiania tam jakichkolwiek modlitw. Taki kompromis nie wszystkim jednak pasował, i to po obu stronach. Muzułmanie od początku narzekali na utrudnienia w dostępie do kompleksu, stwarzane przez izraelskie wojsko, a także prowokacje ze strony Żydów. Dochodziło też do wtargnięcia izraelskich żołnierzy do Al-Aksa, zwłaszcza w ostatnim czasie.

Choć po zdobyciu Jerozolimy przez Izrael naczelni rabini Izraela powtórzyli ostrzeżenie przed wchodzeniem na Wzgórze Świątynne jako naruszającym świętość tego miejsca, to pojawiły się też wezwania do pełnego jego przejęcia i odprawiania tam żydowskich nabożeństw, a główny rabin izraelskiego wojska Szlomo Goren domagał się wybudowania na Wzgórzu synagogi. Wówczas do tego nie doszło, jednakże w ostatnich latach wzrosła liczba wtargnięć ultranacjonalistycznych fanatyków żydowskich na teren kompleksu i coraz częściej podejmowane są z ich strony próby złamania zakazu niemuzułmańskich modlitw w jego obrębie. Sytuacja uległa pogorszeniu po tym, jak w końcu grudnia 2022 r. do izraelskiego rządu weszli ultranacjonalistyczni ekstremiści syjonistyczni z wywodzącym się z terrorystycznego nurtu kahanistów Itamarem Ben-Gvirem na czele. W 1994 r. członek partii kahanistycznej Baruch Goldstein zamordował w Jaskini Patriarchów w Hebronie 29 modlących się tam muzułmanów, a jego portret do niedawna wisiał w salonie Ben-Gvira, który już jako minister bezpieczeństwa publicznego wszedł w maju tego roku na teren Al-Aksy, łamiąc obowiązujące zasady. Wywołało to protesty Jordanii oraz groźby ze strony Hamasu.

Dlatego, choć pomysł odebrania muzułmanom kontroli nad większością kompleksu Al-Aksa nie jest niczym nowym, a w obecnej sytuacji może być „tematem zastępczym", to nie można wykluczyć, że religijno-syjonistyczni ekstremiści będą chcieli wykorzystać swoją silną obecnie pozycję, by te zmiany przeforsować. Miałoby to jednak bardzo negatywne skutki. Z jednej strony stanowiłoby złamanie międzynarodowych zobowiązań Izraela – i to zarówno wobec Jordanii, jak i ONZ. W 1980 r. Wzgórze Świątynne, podobnie jak cała Jerozolima, zostało bowiem wpisane na wniosek Jordanii na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO. A to oznacza, że Izrael nie ma wolnej ręki, by dokonywać w tym obrębie jakichkolwiek zmian.

Kompleks Al-Aksa ma tak wielkie znaczenie dla muzułmanów, że próba przejęcia go spowoduje wybuch wojny religijnej

Znacznie poważniejszym problemem może być jednak reakcja wyznawców islamu – i to nie tylko w Jerozolimie i reszcie okupowanej Palestyny, lecz także na całym świecie. Eskalacja ataków terrorystycznych ze strony zdesperowanych nastolatków palestyńskich trwa w najlepsze, a obserwatorzy obawiają się, że 87-letni lider Autonomii Palestyńskiej Mahmud Abbas jest w coraz mniejszym stopniu w stanie kontrolować sytuację. Konsekwencją może być coraz większy chaos i wzrost pozycji Hamasu. Ponadto narasta też terror bojówek żydowskich mieszkańców nielegalnych osiedli na Zachodnim Brzegu, którzy czują się bezkarni pod parasolem ochronnym ministra Ben-Gvira. 21 czerwca, cztery miesiące po pogromie w miasteczku Hawara, zaatakowali oni palestyńską wioskę Turmus Ayya. Z kolei deputowany partii Ben-Gvira Almog Cohen w czasie debaty w Knesecie zagroził, że wysadzi w powietrze obóz dla sierot palestyńskich i izraelskich, organizowany przez izraelską fundację pracującą na rzecz pojednania.

ATAKI NA KSIĘŻY I WIERNYCH

Kompleks Al-Aksa ma tak wielkie znaczenie dla muzułmanów, że jakakolwiek próba przejęcia go w całości lub części przez Żydów spowoduje wybuch wojny religijnej. Problem w tym, że może to mieć wpływ nie tylko na bezpieczeństwo Izraela, lecz także instytucji żydowskich na całym świecie. Co więcej, ponieważ USA i szeroko pojmowany Zachód postrzegane są jako sojusznicy Izraela, zagrożenie terrorystyczne wzrośnie również w krajach, które z prowokacyjnymi krokami żydowskich fanatyków nie mają nic wspólnego. Tymczasem ci syjonistyczno-ortodoksyjni ekstremiści atakują również chrześcijan, którzy z ich perspektywy są bałwochwalcami.

Zdaniem izraelskiej, antyrasistowskiej organizacji Tag Meir od początku 2023 r. widać bezprecedensowy wzrost werbalnych i fizycznych ataków na księży i pielgrzymów na starym mieście w Jerozolimie, dokonywanych przez ultraprawicowych Żydów. Chodzi o opluwanie i popychanie księży i wiernych, a także niszczenie symboli chrześcijańskich, ikon, malowanie obraźliwego graffiti na chrześcijańskich instytucjach itp.

W marcu młody Izraelczyk wtargnął do kościoła Grobu Najświętszej Marii Panny na Górze Oliwnej z żelaznym prętem w ręku i groził osobom tam się modlącym. I nie był to odosobniony przypadek. Tradycyjne autorytety religijne, takie jak naczelny rabin Jerozolimy Szlomo Ammar, potępiają takie incydenty, a eksperci obawiają się, że może to uderzyć w turystykę, która ma ogromne znaczenie dla dochodów Jerozolimy. Tyle że władze Izraela nic nie robią, by temu przeciwdziałać. Jednak czy może to dziwić, skoro tymi władzami jest np. Ben-Gvir?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 847107cd88

Z prof. Piotrem Glińskim, ministrem kultury i dziedzictwa narodowego
rozmawia Tomasz Rowiński

Mamy obowiązek godnie pochować ofiary zbrodni wołyńskiej

TOMASZ ROWIŃSKI: Panie premierze, kiedy możemy się wreszcie spodziewać godnych pochówków Polaków, którzy byli ofiarami zbrodni wołyńskiej?

PIOTR GLIŃSKI: W tej chwili prowadzone są pierwsze poszukiwania, polsko-ukraińska grupa pracuje we wsi Puźniki w obwodzie tarnopolskim. Tam UPA w 1944 r. zabiła ok. 80 osób, większość to były kobiety i dzieci. Dotychczas nie odnaleziono szczątków, ale prace trwają. Uczestniczą w nich przedstawiciele MKiDN i IPN, natomiast głównym podmiotem jest Fundacja Wolność i Demokracja, która formalnie wystąpiła – w porozumieniu z MKiDN – o pozwolenie na te poszukiwania.

Kiedy strona ukraińska zgodziła się na te pierwsze poszukiwania?

Zezwolenie zostało udzielone przez Ministerstwo Kultury i Polityki Informacyjnej Ukrainy 2 listopada 2022 r. Natomiast przygotowania trwały przez cały okres zimowy i dlatego te prace toczą się dopiero od kilku tygodni. Informacja ta została już podana do publicznej wiadomości, pan premier Morawiecki był na miejscu. Trwające poszukiwania są efektem podpisanego 1 czerwca 2022 r., w czasie wizyty polskich władz w Kijowie, memorandum międzyrządowego. Dwukrotnie byłem w Kijowie, w czasie wojny, pierwszy raz w kwietniu 2022 r., byłem też później we Lwowie. Panowie premierzy Kaczyński i Morawiecki byli – jak pamiętamy – wcześniej i cały czas o tych kwestiach wołyńskich ze stroną ukraińską rozmawialiśmy. Podobnie działał pan prezydent. W podpisanym w czerwcu memorandum jest zapis, który jasno wskazuje, że strony deklarują wspólną pracę dotyczącą rozwiązania wszystkich problemów związanych z pamięcią narodową obu państw. W tym kwestii: poszukiwań, ekshumacji, pochówków, upamiętnienia, legalizacji i rekonstrukcji legalnych upamiętnień itd. Precyzyjnie wymienione szczegółowe działania, sprawy wymagające rozwiązania i ich kolejność są bardzo

eprasa.pl 847107cd88

Minister kultury Piotr Gliński i mjr Jakub Nowakowski ps. Tomek (z lewej) podczas uroczystości przed pomnikiem 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej na skwerze Wołyńskim w Warszawie

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

istotne, ponieważ różnią się między sobą pod względem znaczenia. Odszukanie i pochowanie ciała osoby zamordowanej czy zmarłej jest priorytetem, należy do podstawowych zasad naszej cywilizacji, jeszcze od czasów greckich.

A co z upamiętnieniami?

Kwestie upamiętnień, choć niezmiernie ważne, są w naszym kręgu cywilizacyjnym jednak nieco mniej istotne niż sam podstawowy akt odszukania i pochowania ofiary zgodnie z chrześcijańską tradycją. Ta powinność należy zresztą do systemu wartości naszej cywilizacji jeszcze z czasów przedchrześcijańskich. O tym mówią tragedie i eposy greckie, „Iliada" czy „Antygona". Wspominam o tym nieprzypadkowo, ponieważ my zawsze w rozmowach z Ukrainą nasze stanowisko tak właśnie argumentowaliśmy.

Pan także?

Oczywiście. Zostałem delegowany przez polski rząd w 2018 r. do rozmów z Ukrainą na temat Wołynia. Moim partnerem był wtedy wicepremier Pavlo Rozenko. Poza różnymi rozmowami roboczymi odbyły się dwie zasadnicze wizyty. Rozenko był w Warszawie 16 lutego 2018 r., a ja byłem 9 czerwca tego samego roku w Charkowie. Argumentowałem zawsze wprost, że kwestie upamiętnień, które są sporne – także te dotyczące pomników ukraińskich w Polsce – są do rozwiązania w rozmowach bilateralnych, indywidualnie w każdym przypadku. Jeżeli nie dojdziemy do zgody w niektórych przypadkach, to trudno. I nie można od rozwiązania tych bardzo trudnych niekiedy spraw uzależniać kwestii jeszcze bardziej zasadniczych, których rozwiązanie stworzyłoby warunki do dalszego dialogu i ewentualnego porozumienia. Podstawą bowiem jest najpierw znalezienie ciał ofiar. Tak jak szukamy szczątków Żołnierzy Wyklętych, jak szukamy cały czas ciała rtm. Witolda Pileckiego, tak też mamy obowiązek znaleźć i godnie pochować ofiary zbrodni wołyńskiej. I to dotyczy nie tylko nas, Polaków, lecz także przedstawicieli wszystkich innych narodów, w tym oczywiście Ukraińców.

Skoro podjęto już tyle wysiłków, to dlaczego poszukiwania wciąż są w fazie wstępnej?

Niestety, Ukraińcy przez wiele lat nie potrafili przyjąć do wiadomości naszych argumentów. Cały czas przedstawiali nam kwestie spornych interpretacji historycznych, które dotyczą upamiętnień. Dla nas nie to było najważniejsze, bo my po prostu na ogół nawet nie wiemy, gdzie leżą ofiary zbrodni wołyńskiej. Tymczasem problemy związane np. z pomnikami ukraińskimi w Polsce nie polegają na tym, że ciała Ukraińców leżą w nieokreślonym miejscu, gdzieś na polach wschodniej Polski. Tu nie ma symetrii. Powiem jasno, tamte lata były stracone dlatego, że Ukraina nie potrafiła uznać, że istnieją podstawowe wartości cywilizacyjne, które powinny nas łączyć. Z ich strony napotykaliśmy mur, uniki i ucieczki od rozwiązania problemu. Nie chcieli nawet się zgodzić na to, by w miejscach, gdzie Polacy byli zabijani, postawić krzyże, jeśli nie można uzgodnić treści napisów. Chcieliśmy po prostu – zanim zidentyfikujemy kości, co nie będzie takie proste – zostawić czytelny w naszej kulturze znak, że w danym miejscu leżą ofiary. Te podstawowe rzeczy można było zrobić. A w przyszłości pracować dalej nad sprawami upamiętnień. Ukraińcy nie chcieli się jednak na to zgodzić.

Co się właściwie zmieniło w ostatnim czasie?

Trzeba docenić zmiany i gesty, które się dokonują – odsłonięcie Lwów w Panteonie na cmentarzu Łyczakowskim, wydanie pierwszego pozwolenia na poszukiwanie – ale ja nie jestem naiwny, wiele jeszcze wody upłynie w Wiśle i Dnieprze, zanim się ostatecznie porozumiemy. Dzięki podpisanemu w zeszłym roku memorandum mamy wyszczególnione rzeczy, które musimy wspólnie uzgadniać, a także utworzyliśmy wspólną grupę roboczą do rozwiązywania tych spraw. Polska ekipa jest kierowana przez wiceministra Jarosława Sellina, ukraińska przez wiceminister Katerynę Czujewę. Grupy spotkają się jeszcze w tym miesiącu we Lwowie. Przygotowania i korespondencja trwają od dawna. Istotną zmianą – podkreślam jeszcze raz – jest też to, że zostało wydane pierwsze pozwolenie na poszukiwania, i to pomimo tego, że trwa wojna. Oczywiście już występujemy o kolejne pozwolenia i to też będzie przedmiotem rozmów we Lwowie.

Jak zamierzacie przekonywać stronę ukraińską, by na jednej – symbolicznej – zgodzie na poszukiwania się nie skończyło?

Będziemy nadal argumentowali, że nie ma w tych sprawach podwójnej symetrii. Po pierwsze, jeśli chodzi o historię, to nie zaakceptujemy symetrii dotyczącej zbrodni i ofiar na Wołyniu, ponieważ po stronie ukraińskiej miały miejsce systemowa akcja i decyzja polityczna. Być może nie państwa ukraińskiego, ponieważ niepodległej Ukrainy wtedy nie było, ale jakiejś części liderów tego narodu mających legitymację polityczną. Mówię tu o ówczesnych ukraińskich organizacjach nacjonalistycznych. Co do tego raczej historycy już nie będą

eprasa.pl 847107cd88

się spierać. Wiadomo, że taka decyzja była i że 11 lipca 1944 r. miała miejsce w 99 wsiach skoordynowana akcja zabijania Polaków. Wykorzystano niedzielę, gdy ludzie byli na mszach, by przeprowadzić czystkę etniczną, która ze względu na swoją formę i skalę była ludobójstwem. To nie była wojna domowa czy starcie dwóch armii podziemnych, tylko to było mordowanie kobiet i dzieci, mordowanie narodu według kryterium etnicznego. Chciano skorzystać z okazji, także swoistego przyzwolenia niemieckiego okupanta, i pozbyć się Polaków z tych terenów. Co do tego nie ma żadnej wątpliwości. Dlatego mówię tu o braku symetrii. Owszem, były polskie działania samoobronne, także akcje odwetowe – z tym się zgodzę. Czym innym jednak jest akcja odwetowa, a czym innym zaplanowana i systemowa eksterminacja narodu według kryterium etnicznego na jakimś terytorium. Nie zapominajmy też o tej straszliwej nienawiści, która została tam celowo rozpętana przez nacjonalistów ukraińskich, by zmobilizować ludzi do tak okrutnych działań.

Wspomniał pan o dwóch nieuprawnionych symetriach.

Druga symetria to ta, o której już wspomniałem na wstępie. Nie ma symetrii pomiędzy poszukiwaniem, ekshumacją i pochowaniem a upamiętnieniem. Upamiętnienie to jest kolejny etap. Możemy się co do form upamiętnienia nie zgadzać i długo jeszcze o tym dyskutować. Dlatego propozycja szefa ukraińskiego IPN, by ekshumacje i pochówki pomordowanych Polaków miały się odbywać w zamian za zakończenie sporu o tablicę na górze Monasterz, jest nie do zaakceptowania. Powstrzymywanie poszukiwań, ekshumacji i pochówków na poziomie sporów o upamiętnienia to jest coś, co godzi w podstawowe wartości cywilizacyjne. Jeśli Ukraińcy chcą szukać w Polsce swoich ofiar, to my jesteśmy na to otwarci – pochować trzeba każdego, nawet sprawcę. W Polsce są groby żołnierzy niemieckich czy czerwonoarmistów, którzy nie tylko „wyzwalali", lecz także mordowali i gwałcili. Mało tego, nasze prawo rozdziela upamiętnienia cmentarne i te w miejscach publicznych. To jest może gorzkie dla wielu osób, ale takie jest prawo, ono chroni upamiętnienia na cmentarzach. Nie usuwamy tych upamiętnień, które przynależą do cmentarzy. Kto nawołuje wbrew temu prawu, by natychmiast zaorać te rosyjskie cmentarze, mówi językiem Putina i ma tylko jeden cel – wywołać awanturę.

Można jednak odnieść wrażenie, że polski rząd jest po prostu mało asertywny wobec władz Ukrainy.

Nasz rząd, pan prezydent, ja osobiście – od wielu lat staramy się rozwiązać ten problem. Wiadomo, że Ukraina była dotąd w tej kwestii nieprzemakalna, m.in. ze względu na obecność nacjonalistów w różnych rozgrywkach politycznych. A myśmy wcale nie szli na żadne nieodpowiedzialne kompromisy. Stawialiśmy sprawę jasno: Dlaczego mamy ustępować w kwestiach upamiętnienia, jeśli sprawy podstawowe pozostają nierozwiązane? A teraz mamy już pierwsze konkretne działania: prace poszukiwawcze i rozmowy grupy roboczej o dalszych krokach.

W jakiej perspektywie czasowej możemy się spodziewać kolejnych poszukiwań?

Ukraina ma w tym momencie ważny argument – wojnę. Giną ich dzieci, kobiety, ich niepodległość jest zagrożona. A walczą też w naszym interesie. Wołyń nie jest dla nich priorytetem. My jednak się domagamy, by sprawa ta szła do przodu.

Na ile pamięć o Banderze ciągle odgrywa rolę w ukraińskiej polityce?

Na pewno odgrywa, ale mniejszą. I to jest kolejna bardzo ważna zmiana, o której warto powiedzieć. Ukraińcy w tej chwili rozbudowują swój mit tożsamościowy o bohaterów wojny z Putinem. Tymi bohaterami są zarówno Zełenski jako lider, jak i broniący kraju oraz ginący za ojczyznę żołnierze. Ukraina to już jest z powodu trwającej wojny inny świat niż jeszcze dwa lata temu. Oni walczą przecież – jakkolwiek byśmy się temu trochę dziwili – o wartości europejskie, dla nich to jest wielka rzecz. Tak jak u nas za komuny było wielką rzeczą, aby być w Europie. Tam zachodzą teraz olbrzymie zmiany świadomościowe, rola „mitów banderowskich" będzie się na pewno zmniejszała. Co nie znaczy, że zniknie. Karta ta będzie też rozgrywana przez Rosjan. Ale dodatkowo ta zmiana świadomościowa dotyczy także stosunku do Polaków. Według badań naszego Centrum Mieroszewskiego obecnie aż 83 proc. Ukraińców ma pozytywny stosunek do Polaków. A aż 73 proc. po 24 lutego zmieniło swoją opinię o Polakach na lepsze. To jest wielki pozytywny potencjał zbudowany przez nas w ostatnim czasie. I powinien pomóc także w obecnych rozmowach ze stroną ukraińską na tematy wołyńskie.

Czy wypowiedź szefa ukraińskiego IPN, wedle której w zamian za zamknięcie sprawy tablicy na górze Monasterz Ukraińcy zgodzą się na ekshumacje, jest rzeczywistą propozycją czy tylko elementem jakiejś gry?

To nie jest nowa propozycja, ale stary postulat czy element strategii pewnych środowisk, w której polskie i ukraińskie postulaty mają być traktowane symetrycznie. O napisach na ukraińskich tablicach jesteśmy gotowi rozmawiać, ale indywidualnie. Problem polega na tym, że my nawet nie wiemy, gdzie możemy na Ukrainie postawić swoje tablice.

A skąd w ogóle ta wypowiedź?

Tak wygląda środowisko tworzące ukraiński IPN. Z naszego punktu widzenia to jedna z wielu wypowiedzi w tej sprawie. IPN jest tam instytucją niesamodzielną i nie ma takiej pozycji jak u nas. Nie przeceniajmy znaczenia tej wypowiedzi.

Podlega Ministerstwu Kultury.

Tak, podlega, ale nie sądzę, żeby wypowiedź, o której tu mówimy, była uzgadniana z ministrem kultury. Minister kultury jest trochę z innego środowiska, to jest człowiek mediów, dziennikarz, człowiek nowy w polityce. Tymczasem szef IPN to człowiek pochodzący ze środowiska, które blokowało współpracę z Polską także w poprzednich latach.

Jakie nadzieje wiąże pan z pracą polsko-ukraińskiej grupy roboczej?

Obowiązkiem polityka jest optymalizacja działań. Robimy maksymalnie wszystko, co można zrobić w obecnej sytuacji. Liczymy, że Ukraina zgodzi się na kolejne poszukiwania, ekshumacje i wreszcie – godny pochówek ofiar. I będziemy też rozmawiać o upamiętnieniach. Po obu stronach granicy. Nigdy nie spoczniemy w poszukiwaniach naszych ofiar. W tej kwestii nie ustąpimy i strona ukraińska musi to przyjąć do wiadomości.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 847107cd88

NATO: pierwszy szczyt po Zeitenwende

Marek Jurek

Szczyt NATO raz jeszcze pokazał, że w polityce międzynarodowej państwa mają priorytety, w ich współpracy istnieją mniejsze i większe pola solidarności, a niebezpieczeństw unikają nawet najśmielsi. Myśląc o kresie obecnej konfrontacji z Rosją, musimy proponować rozwiązania, które będą zmniejszać i oddalać od nas niebezpieczeństwo następnej rosyjskiej agresji

Każdy szczyt NATO, będącego zarówno sojuszem wojskowym, chroniącym i angażującym bezpieczeństwo sprzymierzonych państw, jak i wielostronną organizacją międzynarodową, z zasady jest sprawdzianem poziomu solidarności. Tym bardziej w sytuacji najbardziej dramatycznej próby w historii, gdy gorąca wojna toczy się na granicach przymierza.

Z wileńskim szczytem wiązano wiele oczekiwań. Ukraińcy chcieli po prostu zaproszenia do przymierza atlantyckiego. Najbardziej popierające Ukrainę środkowoeuropejskie kraje NATO oczekiwały definitywnego odwołania Aktu Stanowiącego NATO-Rosja, zobowiązującego państwa zachodnie nie tylko do nierozmieszczania sił nuklearnych w naszym regionie, lecz także do nieprzysyłania tu znaczących sił wojskowych. Miałoby to iść w parze z większym zaangażowaniem zachodnioeuropejskich państw NATO w Europie Środkowej, czego stale domagają się od europejskich sojuszników Amerykanie, świadomi stale wiszącej nad nimi groźby konfrontacji z Chinami. Od Europejczyków chcieli więc potwierdzenia solidarności również na tym odległym froncie.

AMERYKAŃSKIE PRZESTROGI

Nastroje przed spotkaniem w Wilnie dobrze oddawał artykuł A. Wessa Mitchella, opublikowany w „Foreign Affairs". Mitchell to były zastępca amerykańskiego sekretarza stanu i współprzewodniczący (wspólnie z Thomasem de Maizière, byłym ministrem obrony Niemiec) powołanej przez Jensa Stoltenberga komisji „wysokiego szczebla", która pracowała nad wzmocnieniem solidarności i usprawnieniem działań NATO.

Amerykański dyplomata skarżył się, że dla państw zachodnioeuropejskich „idea wznowienia dialogu z Rosją" jest ciągle atrakcyjna, a ich dozbrojeniowe i solidarnościowe deklaracje realizowane są bardzo ospale. I dodawał, że „porażki wojsk rosyjskich paradoksalnie wzmocniły to nastawienie", bo wielu zachodnioeuropejskich polityków uznało, że nie ma „po co się materialnie wysilać, skoro Ukraińcy działają za nas, a Rosja w przewidywalnej przyszłości pozostanie słaba". W tej sytuacji dziś należy raczej mówić o dwóch przymierzach w jednym, o zdeterminowanych państwach środkowoeuropejskich i zachowujących rezerwę zachodnich. W świetle skali pomocy dostarczonej Ukrainie np. przez Brytyjczyków (ale przecież nie tylko) te oceny mogą wydawać się przesadne, ale A. Wess Mitchell pisze w perspektywie rozstrzygnięcia, a nie jedynie kontynuacji toczącej się wojny. Musimy bowiem być gotowi do odpowiedzi na znacznie większe niż do tej pory, a także na nowe wyzwania.

W ostatnich tygodniach przed wybuchem wojny i w pierwszych po nim pisałem, że musimy brać pod uwagę, że wojna na Ukrainie może zachęcić inne agresywne państwa w świecie do zburzenia porządku międzynarodowego i że jeśli w kontekście globalnego konfliktu (angażującego Amerykanów na Dalekim i Bliskim Wschodzie) doszłoby do agresji rosyjskiej na Polskę, to możemy co najmniej stracić część naszego terytorium narodowego na północnym wschodzie. Uważałem sformułowanie tej niepopularnej przestrogi za obowiązek, skoro obowiązkiem władz Rzeczypospolitej jest w pierwszym rzędzie zachowanie całości terytorium narodowego i troska o społeczeństwo, a nie realizacja wielkich geopolitycznych marzeń i międzynarodowych projektów. Przypominałem więc, że świat współczesny jest pełen skutecznie przeprowadzonych podbojów, żeby wspomnieć choćby takie „definitywnie zamrożone" konflikty, jak północny Cypr, Naddniestrze czy Górski Karabach. Jednak gdy w następnych miesiącach przewodniczący Xi Jinping stał się głównym orędownikiem nieeskalacji nuklearnej

eprasa.pl 847107cd88

i doprowadził w cieniu wschodnioeuropejskiej wojny do odprężenia między Iranem a Arabią Saudyjską – odetchnąłem ze spokojem.

Jednak współprzewodniczący NATO-wskiej komisji wcale taki spokojny nie jest. Pisze, że agresja rosyjska wykazała, jak bardzo zaatakowane państwa są nadal zagrożone trwałą utratą swych ziem, jak trudne jest ich odwojowanie w wypadku obcej okupacji. Wprawdzie reakcją na ten stan była deklaracja Jensa Stoltenberga (powtórzona potem przez Joe Bidena) o „obronie każdego centymetra kwadratowego terytoriów państw sprzymierzonych", ale to przecież – jak przypomina doradca sekretarza generalnego NATO – wymaga nie tylko zwiększonych wydatków na obronę, lecz także zwiększonej obecności, odpowiedniej (a nie tylko symbolicznej) koncentracji sił sprzymierzonych na zagrożonych obszarach.

Tym bardziej że – jak przestrzega Mitchell – „przyszły kryzys na flance wschodniej może przyjść w czasie, gdy Stany Zjednoczone będą unieruchomione w Azji". Jak więc widać, mimo że nasz prezydent zachęcał Amerykanów w czasie wizyty w Waszyngtonie, by „nie lękali się", w Stanach Zjednoczonych widma globalnej eskalacji nie traktuje się jak stracha na wróble.

„Niedawne szacunki zakładają – pisze Mitchell – że Rosja jest w stanie naprawić straty wojenne i odbudować armię nawet w ciągu dwóch lat. W scenariuszu wojny na dwa fronty NATO nadal może liczyć na siły amerykańskie, ale w sposób oczywisty musi w większym stopniu niż dziś zaangażować konwencjonalne siły europejskie". Przygotowanie do tego stanowi, według amerykańskiego dyplomaty, warunek konieczny rzeczywistego funkcjonowania przymierza atlantyckiego. Polskę stawia za wzór, pisząc, że wkrótce będziemy mieli najsilniejsze wojska pancerne na kontynencie, ale jego uznanie nie unieważnia przestróg, które jako pierwsi powinniśmy brać sobie do serca.

OBA BRZEGI ATLANTYKU

Zachodnia Europa groźbę globalnej eskalacji traktuje bardzo poważnie. Dlatego konkluzje szczytu w Wilnie to wypadkowa solidarności z Ukrainą i obaw przed rozszerzeniem wojny. NATO w pełni potwierdziło dotychczasowe formy wsparcia dla Ukrainy, a nawet rozszerzyło jego ramy. Powołano Radę NATO-Ukraina jako forum przygotowań do członkostwa NATO, stałego dialogu politycznego i „organu konsultacji na wypadek kryzysu". Zapewniono Ukrainę o stałej pomocy finansowej i o dostawach broni, o nieuznawaniu aneksji Krymu. Szczyt powtórzył formułę prezydenta Bidena, że Zachód będzie z Ukrainą tak długo, jak będzie trzeba.

Jeśli jednak chodzi o perspektywę dłuższą niż wojna, mimo formułowanych do ostatniej chwili apeli prezydenta Zełenskiego, to rozróżniono wyraźnie życzliwość wobec atlantyckich aspiracji Ukrainy od zobowiązań do ich realizacji. Nie określono nie tylko perspektywy czasowej wejścia Ukrainy do przymierza, lecz także okoliczności politycznych, od których jest to uzależnione. Jens Stoltenberg na konferencji w pierwszym dniu szczytu powiedział wręcz, że zaproszenie do Kijowa zostanie wysłane, gdy sojusznicy wyrażą zgodę, a Ukraińcy spełnią warunki i wygrają wojnę, bo „pełnowymiarowa wojna to nie jest dobry czas, aby Ukraina stała się pełnoprawnym członkiem NATO".

Krótko mówiąc – ich szanse na udział w NATO są tym większe, im ten sojusz będzie im mniej potrzebny, im mniej będzie komukolwiek przeszkadzał. W początkowej części dokumentu końcowego podtrzymano teoretyczną zasadę „otwartych drzwi", zaraz jednak przywołując tak rzadko u nas cytowany art. 10 traktatu waszyngtońskiego, czyli konieczność zgody wszystkich członków przymierza na przyjęcie nowych państw i nowych zobowiązań.

W CIENIU ZEITENWENDE

Ta wstrzemięźliwość to nie tylko kwestia ostrożności, a raczej ta ostrożność to nie tylko polityczny odruch. To konstytutywny składnik strategii politycznej, którą bardzo precyzyjnie wyłożył niemiecki kanclerz Olaf Scholz w doktrynalnym artykule o „Globalnej Zeitenwende, czyli o tym, jak uniknąć nowej zimnej wojny w erze wielobiegunowości?". Zeitenwende to historyczny przełom, a Niemcy chcą wykorzystać go do podjęcia tych celów swej polityki, których przez dziesiątki lat realizować nie mogli.

Przełom dotyczy ich (zainicjowanego z oporami) zaangażowania na rzecz Ukrainy i bardziej aktywnej polityki militarnej. Mylą się jednak ci, którzy (jak np. Robert Kuraszkiewicz w swej książce o „Świecie w cieniu wojny") uważają, że po prostu nadszedł czas nowej niemieckiej solidarności – gotowości wspierania Amerykanów w ich walce w mocarstwami zagrażającymi globalnemu bezpieczeństwu czy Polski i państw Europy Środkowej w czynnym oporze wobec ekspansji Rosji.

Jak Scholz wskazał w samym tytule swojego artykułu – chodzi o uniknięcie nowej zimnej wojny i o konstrukcję

eprasa.pl 847107cd88

Szczyt NATO odbywał się w dniach 11–12 lipca w Wilnie

FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

świata „wielobiegunowego". Niemcy chcą być tu biegunem reprezentującym Europę (co gwarantować ma rozszerzenie mechanizmu większościowego w Unii Europejskiej i supremacji nad mniejszymi państwami), a jednocześnie osią globalnego wielobiegunowego systemu międzynarodowego. Są bowiem zasadniczo przeciwni „fatalistycznej wizji nieuchronnego ponownego podziału świata na konkurujące bloki". Stąd niemieckie opory przed włączeniem Ukrainy do NATO.

Postulowany przez Niemcy świat wielobiegunowy ma być światem „pokojowej koegzystencji", w którym „wartości i zasady" obowiązują tylko wewnątrz, a na zewnątrz obowiązuje po prostu lojalność geopolityczna, wspomniany w artykule Scholza i dokumencie końcowym wileńskiego szczytu „międzynarodowy porządek oparty na zasadach", niewykluczający (jak wyraźnie zaznacza Scholz) państw niepodzielających „our values".

Ta nowa niemiecka Weltpolitik wynika też z bardzo konkretnej tradycji historycznej. Prezydent Steinmeier może przyznawać się do błędów w polityce wobec Putina, ale Niemcy w żadnym wypadku nie uważają za błąd ugodowej wobec ZSRS polityki wschodniej, prowadzonej w ciągu 20 lat poprzedzających zjednoczenie. Przeciwnie, Scholz otwarcie oświadcza, że Niemcy swą jedność narodową osiągnęli dzięki „mądremu wsparciu partnerów zarówno z Zachodu, jak i ze Wschodu". Ta polityka przeżywa kryzys, Niemcy są świadomi, że dziś czasowo trzeba zawiesić jej założenia, ale wcale nie chcą zrywać z nimi definitywnie.

Z POLSKIEJ PERSPEKTYWY

W końcowym dokumencie szczytu wielokrotnie przywoływana jest doktryna Bidena-Stoltenberga obrony „każdego centymetra kwadratowego" terytorium państw sprzymierzonych, za czym idą daleko idące zobowiązania do zwiększenia zdolności obronnych poszczególnych krajów. Istotnym sprawdzianem jej realizacji będzie gotowość wspólnych przedsięwzięć w zagrożonych rejonach przymierza.

Wydawałoby się więc, że naturalnym potwierdzeniem wzmocnionej gotowości obrony Europy Środkowej będzie definitywne odwołanie Aktu Stanowiącego NATO-Rosja. Niestety, deklaracji takiej na szczycie zabrakło. Pozostawianie Aktu na papierze to znak trudności w zmianie paradygmatu: przejścia od życzliwości wobec państw naszego regionu do solidarności bezwarunkowej.

W tej sprawie warto zwrócić uwagę na język i wymiar kulturowy. W długim, liczącym grubo ponad 40 stron, dokumencie końcowym nie naruszono tabu, jakim jest wspomnienie Związku Sowieckiego i komunizmu. Mimo inkrustowania komunikatu licznymi uwagami na temat „wartości", a pośród nich nawet konieczności uwzględniania „perspektywy gender" w działaniach przymierza – całkowicie przemilczane zostały państwo, ideologia i system, które zniewoliły na niemal pół wieku prawie połowę członków NATO, którego strasznym echem jest agresja na Ukrainę, z którego pozostałościami na wielu planach (łącznie z ekonomią) musimy się ciągle zmagać.

Być może udałoby się choć niektórych zaniechań uniknąć, gdyby nie perspektywa, z którą prezydent Andrzej Duda jechał na szczyt. Zapowiadał, że Polska nie powinna tam „nic załatwiać dla siebie"

Szkoda również, że w długich rozważaniach o hybrydowych działaniach Rosji pominięto imigracyjny korytarz Putina-Łukaszenki do granic Polski, Litwy i Łotwy. Biorąc pod uwagę, że Polska była z tego powodu brutalnie atakowana, drobny akt solidarności ze strony sprzymierzonych rządów pozwoliłby nam energiczniej domagać się akceptacji naszych działań przez Komisję Europejską, w sytuacji tak częstych ataków na Polskę ze strony Parlamentu Europejskiego i wielu zachodnioeuropejskich ugrupowań.

Być może udałoby się choć niektórych z tych zaniechań uniknąć, gdyby nie perspektywa, z którą prezydent Andrzej Duda jechał na szczyt. Zapowiadał, że Polska nie powinna tam „nic załatwiać dla siebie", a jedynie „dla wschodniej flanki NATO, państw bałtyckich i innych państw, które są naszymi sąsiadami". Tymczasem na tym szczycie, w trakcie przyjmowania ogólnych zobowiązań solidarności, wszyscy również pracowali dla siebie: Amerykanie – domagając się uznania „chińskiego niebezpieczeństwa" za wspólne, Niemcy – pilnując, by obietnice wobec Ukrainy nie poszły za daleko, Turcja – przypominając o swych uprawnieniach w ramach art. 10 (a potem zbierając pochwały za odblokowanie wejścia Szwecji do NATO), Francja – przypominając o islamistycznym zagrożeniu w Sahelu.

Szczyt raz jeszcze pokazał, że w polityce międzynarodowej państwa mają priorytety, w ich współpracy istnieją mniejsze i większe pola solidarności, a niebezpieczeństw unikają nawet najśmielsi. Myśląc o kresie obecnej konfrontacji z Rosją, musimy proponować rozwiązania, które będą zmniejszać i oddalać od nas niebezpieczeństwo następnej rosyjskiej agresji. Nikt za nas nie będzie się upominał o demilitaryzację Królewca i wycofanie wojsk rosyjskich z Białorusi. Na pewno Litwa i Łotwa podzielałyby takie stanowisko. Jednak to my mamy status, by te kwestie forsować i stawiać, by przeciwdziałać temu, że w momencie rozmów kończących wojnę zostaną potraktowane jako mniej istotne od innych. Musimy to robić dla bezpieczeństwa Polski i Polaków, dla siebie, ale przecież – nie tylko dla siebie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 847107cd88

Jeśli wierzyć Biedroniowi, to argumentem do rugowania z przyszłego Senatu kandydatów spoza PO ma być „zmiana w sondażach" po „wielkim marszu" Tuska

FOT. MARCIN OBARA/PAP

Opozycja bez Senatu?

Rafał A. Ziemkiewicz

Wygląda na to, że „opozycja demokratyczna" nie dość, że nie dała rady stworzyć tak intensywnie postulowanej przez nienawidzące PiS „elity" „jednej listy", to jeszcze nie zdoła dogadać się nawet w kwestii „paktu senackiego", czyli zrobić czegoś, co jeszcze cztery lata temu potrafiła

Wiara w cudowną moc „jednej listy demokratycznej opozycji", z której najtwardszy elektorat lewicowo-liberalny czerpał do niedawna nadzieję „odsunięcia PiS od władzy", doznała kolejnego uszczerbku. Pod znakiem zapytania stanęła już nie tylko jedna lista do parlamentu, lecz także współpraca PO, Trzeciej Drogi i Lewicy w wyborach senackich. Robert Biedroń – zresztą niejako mimochodem, w wywiadzie poświęconym innym sprawom – oznajmił, że ich negocjacje w sprawie wystawienia we wszystkich okręgach po jednym, wspólnym kandydacie zostały zerwane i nie widać możliwości porozumienia.

Już sama ta informacja była szokiem dla tożsamościowych wyborców anty-PiS: „pakt senacki", a co za tym idzie, utrzymanie kontroli nad Izbą Wyższą Parlamentu, uważali oni za rzecz oczywistą i już dawno „dogadaną". W istocie jego zawarcie świętowano już kilka miesięcy temu. Wyznawcy anty-PiS wyparli przy tym fakt, na który od razu zwrócili uwagę komentatorzy polityczni: że o zawarciu paktu poinformowali wtedy nie liderzy lewicowo-liberalnych partii, ale politycy i samorządowcy z dalszych szeregów, i że pod retoryką „zjednoczenia" nie było żadnych konkretów, niczego o szczegółach, w których – wszyscy wszak to wiedzą – tkwi diabeł.

Biedroń jednak nie tylko przekazał wiadomość o zerwaniu negocjacji, lecz także bardzo konkretnie wskazał winnego: to jeden z liderów – nienazwany, ale, zaznaczył Biedroń, nie Kosiniak-Kamysz, nie Hołownia i nie Czarzasty – który stwierdził, że „zmieniły się notowania w sondażach" i w związku z tym jego ugrupowanie ma wziąć większość okręgów antypisowskich, a pozostałe mogą sobie startować w Lubelskiem, na Podkarpaciu, generalnie tam, gdzie kandydat „demokratycznej opozycji" nie ma szans.

CUDOWNA PRZEMIANA

Dla śledzących przecieki, które do dziennikarzy docierały już od wielu tygodni, nie jest to zaskoczeniem. O tym, że Tusk chce mieć w przyszłym Senacie nie większość „demokratyczną", tylko swoją, partyjną, i twardo nie zgadza się na żadne osoby spoza PO w „biorących" okręgach, można było już przeczytać w wielu publikacjach. Symbolem tego sporu stała się postać Romana Giertycha. Przeciwko jego kandydaturze, podobno forowanej przez samego Tuska, występowała Lewica – on ostatecznie, nie czekając na „pakt", ogłosił, że wystartuje w „pewnym" podpoznańskim okręgu 90. i tak, w ramach „paktu" czy bez niego.

Problemem jest nie tylko przeszłość byłego szefa Młodzieży Wszechpolskiej i faktycznego lidera Ligi Polskich Rodzin, którego kiedyś lewicowe młodzieżówki chciały, z poklaskiem TVN i gazety Michnika, wrzucać „do wora" i topić w jeziorze. Nie jest tajemnicą, że Giertych, podobnie jak w poprzednich wyborach Stanisław Gawłowski, potrzebuje rozpaczliwie immunitetu. Podejrzany w sprawie wyprowadzenia ponad 90 mln zł ze spółki deweloperskiej Nordpol postawił na adwokacką sztuczkę, twierdząc, że w chwili odczytywania mu zarzutów był nieprzytomny, więc nie postawiono mu

eprasa.pl 847107cd88

ich „skutecznie" i sprawa formalnie się nie toczy – tak argumentując, ponad 30 razy nie stawił się na przesłuchanie. Sąd Najwyższy jednak zdecydowanie obalił jego twierdzenia i zaprzyjaźnionemu z PO mecenasowi grozi w każdej chwili zatrzymanie; dlatego też od tego czasu, o ile wiadomo, nie pojawił się w Polsce, całą swą intensywną działalność polityczną i propagandową prowadząc z posiadłości we Włoszech. Zdaniem wielu sprawa, nawet nie tyle same zarzuty, ale przede wszystkim „omdlenie" Giertycha, w którego opowieści jakoby funkcjonariusze próbowali go otruć gazem, nikt nie uwierzył, zwyczajnie skompromituje „zjednoczoną opozycję": on sam może i prześliźnie się w wyrozumiałym dla wroga PiS okręgu do Senatu, ale anty-PiS jako całości zabraknie przez związek z nim głosów gdzie indziej.

Odsuwając na bok działalność i sytuację Giertycha, wartą osobnej analizy, charakterystyczne jest, że z poparciem dla niego wystąpili ostatnio Adam Michnik oraz Leszek Miller, przy czym ten pierwszy udzielił własnej gazecie wywiadu praktycznie tylko po to, by narzucić narrację, iż były „faszysta" się zmienił, jest dziś sprawdzonym obrońcą demokracji, i „trzeba dać mu szansę". Obaj panowie dali już dowody całkowitego oddania idei podporządkowania całej opozycji dyktatowi Donalda Tuska, więc ich nagłe wsparcie dla kontrowersyjnej kandydatury, ewidentnie mające przekonać do niej zwolenników Lewicy, można uznać za część opisanego już wyżej kursu tego lidera wobec „paktu senackiego". Poza innymi powodami, dla których Tusk może Giertycha potrzebować albo czuć się wobec niego zobowiązanym, były „narodowiec" dobrze pasuje do jego najnowszego wizerunkowego zwrotu i demonstrowania tych właśnie zachowań, za które był kiedyś Giertych dla lewicowo-liberalnych mediów „faszystą".

PAKT TRZESZCZY

Pytanie, czy jeśli nawet politycy Lewicy ugną się przed autorytetem Michnika i Millera, zaakceptują Giertycha jako swojego senatora wyborcy? W poprzednich wyborach elektorat anty-PiS okazał się niezwykle zdyscyplinowany. Doświadczył tego boleśnie Paweł Kasprzak, zapomniany już lider Obywateli RP i bohater niezliczonych urządzanych przez nich zadym. Wydawało się, że mając tak wielką popularność w mediach, w zdecydowanie lewicowej Warszawie, występując przeciwko mało wyrazistemu Kazimierzowi Ujazdowskiemu, konserwatyście i byłemu politykowi PiS, dostanie się do parlamentu bez trudu – tymczasem otrzymał wynik żenująco niski. Jednak czy wskazanie „wspólny kandydat obozu demokratycznego" będzie działać równie skutecznie i tym razem? Jadwiga Rotnicka, dotychczasowa senator z okręgu wybranego przez Giertycha, podobnie jak on zapowiada, że wystartuje, w ramach paktu czy wbrew paktowi. Tak czy owak więc dojdzie tam do konfrontacji kandydatów anty-PiS, choć nie wiadomo na razie, który z nich wystąpi w roli Ujazdowskiego, a który Kasprzaka.

Czy to jednak nie ośmieli do łamania „paktu" także w innych okręgach? Pamiętajmy, że ordynacja do Senatu jest większościowa, ale bez drugiej tury. W poprzednich wyborach PiS stracił kilka okręgów przez to, że przeciwko dotychczasowym senatorom, postrzeganym jako ludzie PiS, ale nie uważanym za takich przez partyjną centralę, wystawił kandydatów partyjnych i głosy, umownie mówiąc, „prawicowe" podzieliły się, dając wygraną kandydatowi „paktu senackiego" nawet tam, gdzie jeden kandydat „pisowski" miałby wynik półtora raza lepszy od „peowskiego". To także jest wiedza wypierana przez wyznawców sekty „jednej listy": większość lewicowo-liberalna w obecnym Senacie nie wynika wcale z preferencji większości Polaków, jak sobie oni wmówili – była „wypadkiem przy pracy" partii rządzącej, skutkiem złego wyboru kandydatów w kilku okręgach i „odpuszczenia sobie" kampanii w kilku innych. Jeśli tym razem PiS tych błędów nie popełni, nawet surowo przestrzegana zasada „tylko jeden kandydat lewicowo-liberalny w okręgu" wcale nie zagwarantuje PO przedłużenia kontroli nad Senatem na kolejną kadencję. A wiele wskazuje, że wobec bezlitosnej postawy Tuska wobec „przystawek" zdesperowane mniejsze partie opozycji mimo wszystko spróbują szczęścia, popierając tu czy tam kandydatów własnych.

KONFEDERACJA NAMIESZA?

Jeśli wierzyć Biedroniowi, argumentem do rugowania z przyszłego Senatu kandydatów spoza PO ma być „zmiana w sondażach" po „wielkim marszu" Tuska na początku czerwca. Ta zmiana to przecież jednak nie tylko odpływ elektoratu Lewicy i, zwłaszcza, Trzeciej Drogi do PO. To także, co wciąż jakby nie do wszystkich dociera, odpływ wyborców sygnatariuszy „paktu senackiego" do Konfederacji; według sondaży takiej zmiany preferencji nie wyklucza kilkanaście procent tych, których ogłaszając „pakt senacki", uważała opozycja lewicowo-liberalna za pewnych i całkowicie immunizowanych przed przejściem na stronę „wrogów demokracji", jak przeniesienie głosu na Mentzena i Bosaka przedstawiają im związane z PO media. Poparcie dla Konfederacji w wyborach sejmowych na poziomie 12 czy choćby nawet określane dziś jako jej „sufit" 20 proc. wydaje się wciąż za małe, by partia ta mogła liczyć na miejsca w Senacie – ale takie rachuby mogą mylić. Jeśli w części okręgów wystawi ona kandydatów, szczególnie jeśli znajdzie ich wśród ludzi popularnych w lokalnej społeczności, to mogą oni nieźle namieszać, w nierównym stopniu odbierając głosy kandydatom „paktu" i Zjednoczonej Prawicy.

Jeśli natomiast – wbrew fali gołosłownych zapewnień, że „negocjacje wcale nie zostały zerwane, trwają i dadzą rezultat", którymi politycy opozycji zareagowali na wspomniane na wstępnie wyznanie Biedronia – „pakt senacki" się rozsypie, i nie tylko w powiecie poznańskim mieć będziemy rywalizujących ze sobą kandydatów popieranych przez PO, Trzecią Drogę, Lewicę i antypisowskich samorządowców, to kandydat jedynej partii postrzeganej obecnie jako „nie-PO i nie-PiS" będzie mógł wejść do Senatu nawet z wynikiem pomiędzy 20 a 30 proc. A to już nie jest poza zasięgiem konfederatów.

Wygląda na to, że „opozycja demokratyczna" nie dość, że nie dała rady stworzyć tak intensywnie postulowanej przez nienawidzące PiS „elity" „jednej listy", to jeszcze nie zdoła dogadać się nawet w kwestii „paktu senackiego", czyli zrobić czegoś, co jeszcze cztery lata temu potrafiła. Czy Senat będzie miał w następnej kadencji istotne znaczenie, będzie zależało od ostatecznych wyników wyborów – ale klęska wizerunkowa, jakim będzie rozpad „paktu senackiego" może te wyniki uczynić znacznie mniej korzystnymi dla lewicowo-liberalnej opozycji, niż by wynikało z bieżących sondaży.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 847107cd88

Kardynał z drużyny Franciszka?

Tomasz Rowiński

Arcybiskup Grzegorz Ryś, który właśnie został kardynałem, musi wiedzieć, że obecny papież to marny teolog i moralista. Co z tym teraz zrobi?

Kardynał Kazimierz Nycz, metropolita warszawski, zapytany, czy kapelusz kardynalski dla abp. Grzegorza Rysia jest dla niego zaskoczeniem, powiedział: „Dla mnie tylko w tym znaczeniu, że abp Ryś został kardynałem trochę wcześniej, niż się spodziewałem, bo tego wyboru, prawdę mówiąc, spodziewałem się w przyszłości, a to oznacza nominację w relatywnie młodym – jak na nominacje kardynalskie – wieku". Ta odpowiedź nie jest zaskakująca. Każdy, kto choć trochę orientował się w obecnej dynamice politycznej życia kościelnego, wiedział, że z polskiego episkopatu na kapelusz kardynalski szansę w obecnych czasach mógł liczyć właściwie tylko metropolita łódzki. Najbardziej – na dobre i złe – „franciszkowy" z polskich hierarchów.

„FAJNY" KSIĄDZ?

Wystarczy wpisać w wyszukiwarkę „abp Ryś tańczy", by przekonać się, że łódzki metropolita zrobił wiele, by zyskać opinię nieszablonowego hierarchy, „fajnego" księdza, biskupa bliskiego ludziom. „Osobiście bardzo się cieszę, ponieważ do kolegium kardynalskiego zostaje włączony młody, energiczny, bardzo dobrze wykształcony, wolny od skostniałych nawyków i przyzwyczajeń człowiek, który zachowuje żywy kontakt z pokoleniem młodych ludzi. Wniesie dużo zarówno do Kościoła powszechnego, jak i Kościoła w Polsce, powróci do Rady Stałej Episkopatu, gdyż kardynałowie wchodzą do niej z urzędu. Już się sprawdził we współpracy z papieżem, jako członek Dykasterii do spraw Biskupów" – mówił zaraz po nominacji kardynalskiej kard. Nycz.

Sprawa nie jest jednak taka prosta, dla wielu katolików tego rodzaju zachowania łódzkiego arcybiskupa, jak publiczne pląsy, są po prostu niedopuszczalne. Wielu traktuje je jako jeden z przejawów permanentnego kościelnego kryzysu, którego przyczyną jest papież Franciszek. Nierzadka jest też opinia, że abp Ryś, kiedyś poważny historyk Kościoła, po prostu rozpoznał potrzeby swojego przełożonego i świadomie wykreował się na franciszkowego „równiachę". Czy tak jest jednak rzeczywiście?

Ciekawą opinię w mediach społecznościowych wyraził Piotr Ulrich, kantor i organista posługujący, razem ze swoją scholą, Cantorum Beati Vladislai, podczas liturgii trydenckich w warszawskim kościele Środowisk Twórczych. „Arcybiskup Ryś jest lubiany przez Franciszka, bo propaguje wszystkie odkrycia tego pontyfikatu i jest bardzo w to zaangażowany. Problem jest taki, że on nie wykorzystuje tego do własnych celów, jak zazwyczaj robi się to w Watykanie, tylko naprawdę wierzy w słuszność tego, co robi. Dlatego sądzę, że otwartość na tradycjonalistów nie przychodzi mu z jakąś niechęcią, tylko jest autentyczna. Mówię to przy wielu moich zastrzeżeniach do działalności tego człowieka".

Rzeczywiście abp Ryś jest jednym z tych polskich hierarchów, którzy wykazywali względną otwartość wobec nękanych przez papieża Franciszka katolików przywiązanych do starszej formy rytu rzymskiego, zwanego też potocznie trydenckim. Nie dalej jak w maju tego roku udzielił on w Łodzi bierzmowania w tej formie. I to pomimo tego, że sam papież chciałby po prostu tradycyjną liturgię i jej środowiska skasować. „Ojciec Święty Benedykt XVI wskazuje na to, że gest wyciągniętej dłoni to gest ojca, który kładzie wyciągniętą dłoń na głowie dziecka. Kiedy ci mama lub tata położą rękę na głowę, to czujesz się bezpiecznie. To jest taki gest, który ma ci uświadomić, że jesteś dzieckiem. To jest niesłychanie ważne, bo bardzo często w Kościele sakrament bierzmowania nazywa się sakramentem dojrzałości chrześcijańskiej albo przynajmniej sakramentem ku dojrzałości. Czym jest dojrzałość chrześcijańska? Tym, że zostajesz dzieckiem, że jesteś w stosunku do Boga dzieckiem, że odnajdujesz w Bogu Ojca" – mówił wtedy abp Ryś. Nie znaczy to jednak, że nie powodował – kierując się zapewne stylem papieża Franciszka jako wzorem – naprawdę poważnych kontrowersji.

W OBRONIE JANA PAWŁA II

Kim w zasadzie jest nowy przyszły polski kardynał? Jaka była jego życiowa formacja? Urodził się w roku 1964, w latach 1982–1988 studiował na Wydziale Teologicznym oraz na Wydziale Historii Kościoła Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie, a także – co oczywiste – w Wyższym Seminarium Duchownym w Krakowie. Święcenia kapłańskie przyjął w roku 1988 i potem posługiwał jako wika-

eprasa.pl 847107cd88

Nowy kardynał – Grzegorz Ryś
FOT. ROMAN ZAWISTOWSKI/PAP

riusz w parafii śś. Małgorzaty i Katarzyny w Kętach. Od lat 90. był najpierw współpracownikiem „Tygodnika Powszechnego", a potem członkiem zespołu redakcyjnego miesięcznika „Znak". Wielu czytelników na przełomie drugiego i trzeciego millennium kojarzyło ks. Grzegorza Rysia, wtedy nawet jeszcze nie biskupa, z niewielkiej książki historycznej poświęconej dziejom celibatu w Kościele katolickim („Celibat").

Biskupem pomocniczym archidiecezji krakowskiej ks. Ryś został decyzją papieża Benedykta XVI w roku 2011, a do Łodzi przeniósł się w roku 2017, gdzie zastąpił obejmującego arcybiskupią stolicę krakowską Marka Jędraszewskiego. Papież ogłosił swoją decyzję o nominacji abp. Grzegorza Rysia na kardynała 9 lipca br. Przekazanie insygniów kardynalskich będzie miało miejsce podczas konsystorza 30 września tego roku.

Warto zapytać, do jak dalekich transgresji nowy kardynał jest gotowy w imię realizacji idei franciszkowego rabanu, który czasem jest zwyczajną destrukcją

W ostatnim czasie abp Grzegorz Ryś przeciwstawił się nieco swojemu wizerunkowi „fajnego" biskupa, który nieraz służył liberalnym mediom za moralną pałkę do bicia innych członków episkopatu. Łódzki metropolita przeciwstawił się zmasowanemu i – jak się okazało – marnie spreparowanemu atakowi niektórych mediów na Jana Pawła II. „Nie mam wątpliwości, że papież – jeśli będzie się przeprowadzać poważne, przyzwoite badania historyczne tak, jak tego wymaga warsztat, to nie mam cienia wątpliwości, że papież się obroni" – mówił arcybiskup w samym środku antypapieskiej kampanii, gdy nie było jeszcze pewne, że rzetelne argumenty, prezentowane choćby przez redaktorów „Rzeczpospolitej" Tomasza Krzyżaka i Piotra Litkę, wezmą górę i wyciszą nagonkę przeciwko Wojtyle.

Zresztą pewien rodzaj rozczarowania liberalnego komentariatu abp. Grzegorzem Rysiem narastał od jakiegoś czasu, czego wyrazem była próba oskarżenia arcybiskupa przez dziennikarzy OKO.press o „przerzucenie odpowiedzialności za niedopełnienie formalności" w sprawie przestępstw seksualnych jednego z księży w jego archidiecezji. Rozczarowanie jest, jak się zdaje, rzeczywiście dobrym słowem na opisanie tego, jak niechętne Kościołowi media i środowiska odnoszą się do kardynała elekta. W komentarzu do nominacji kardynalskiej abp. Rysia, który Jarosław Makowski opublikował na portalu tygodnika „Newsweek" 11 lipca br., część tytułu mówi więcej niż reszta tekstu: „Zachwyt zmieniał się w rozczarowanie".

KONTROWERSJE

Frustracji liberalnych mediów nie warto poświęcać tu więcej miejsca, natomiast warto zatrzymać się nad kontrowersjami, które abp Ryś powodował w perspektywie religijnej. Warto zapytać, do jak dalekich transgresji nowy kardynał jest gotowy w imię realizacji idei franciszkowego rabanu, który czasem jest zwyczajną destrukcją.

Do najbardziej gorszącego wydarzenia z udziałem nowego kardynała doszło we wrześniu 2021 r., kiedy wziął on udział w wydarzeniu o nazwie „Arena Młodych". Podczas tego wydarzenia ewangelizacyjnego arcybiskup odprawił liturgię eucharystyczną z pominięciem obrzędów wstępnych i liturgii słowa. W dodatku liturgia, a zatem i obrzędy konsekracji, działy się aż do momentu podniesienia, bez wiedzy uczestników ewangelizacji – niejako na marginesie modlitwy charyzmatycznej. Sprawa była na tyle poważna, że pismo w tej sprawie opublikowała Komisja Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów KEP.

Komisja powołała się na nauczanie Soboru Watykańskiego II, przypominając, że w liturgii „nowości należy wprowadzać tylko wtedy, gdy tego wymaga prawdziwe i niewątpliwe dobro Kościoła". Dodano także, że „w przypadku, gdy z powodu jakiejś celebracji wiele osób jest zgorszonych, mimo że nawet jakaś grupa odniosła pożytek ewangelizacyjny, trudno mówić o »niewątpliwym dobru Kościoła«".

Zgorszenie, które miało wtedy miejsce, polegało jednak na jeszcze czymś innym. Przez dziesięciolecia po ostatnim soborze powtarzano za konstytucją o liturgii, że Eucharystia jest „źródłem i szczytem życia chrześcijańskiego". Tymczasem abp Ryś wziął udział w jej dewaluacji, w ograniczeniu jej do narzędzia ewangelizacji, którym nigdy nie była. Msza to bowiem kult Boży, oddawanie czci Panu, który przychodzi i odnawia wiarę w wierzących. Ewangelizacji zaś służą inne narzędzia.

Arcybiskup Ryś wtedy się pokajał, mimo że wielu katolickich publicystów, próbowało wypierać jego winę i usprawiedliwiać jego działania. Czy jednak rzeczywiście podjął szczerą refleksję nad zarzutami, które mu przedstawiono? Nie jest to pewne. Pisał wtedy: „Uznaję, iż podczas tej celebracji nie dochowałem wszystkich norm i kanonów z nią związanych. Powodem mojego postępowania nie było wszakże ani lekceważenie czy kwestionowanie przepisów liturgicznych, lecz rozeznanie (poprzedzone także długą modlitwą i konsultacjami) zarówno co do charakteru samego wydarzenia, jak i co do duchowych potrzeb, wrażliwości i pobożności biorących w nim udział młodych ludzi. Wydarzenie to miało charakter wyjątkowy i jednorazowy".

Mimo wielu krytycznych głosów, które spotykają abp. Grzegorza Rysia, nie powątpiewam o jego inteligencji, dobrym rozeznaniu sytuacji Kościoła, a nawet szczerych intencjach. Tym bardziej powinien on zdawać sobie sprawę, że kardynałem został dlatego, że w Stolicy Apostolskiej zapisano go do drużyny papieża Franciszka. A dla wielu katolików jest to papież najgorszy od setek lat, destruktor doktryny i pobożności, zły teolog i marny moralista. Nie sądzę by abp Grzegorz Ryś tego nie wiedział. Ciekawe jest jednak, co tym faktem teraz postanowi zrobić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 847107cd88

Pełne więzienia

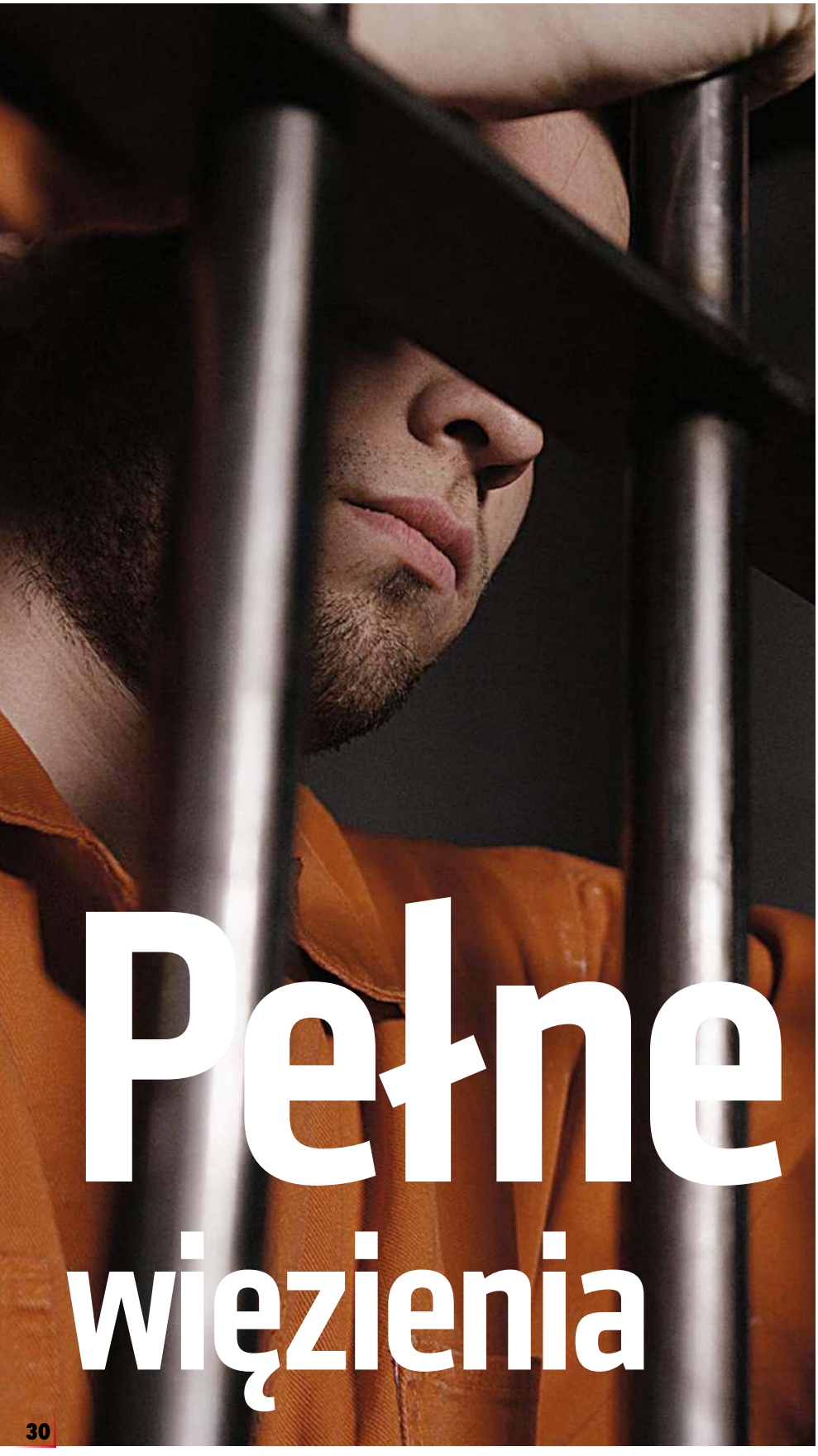

FOT. ADOBESTOCK

Łukasz Zboralski

Polska jest jednym z krajów, w których liczba osób zamkniętych w więzieniach jest wysoka. Część prawników uważa, że to dowód na to, iż nasz wymiar sprawiedliwości jest zbyt surowy. Inni pytają: Czy nie tak wygląda bezpieczeństwo, że społeczeństwo się chroni, a przestępców się zamyka?

Pod koniec czerwca Rada Europy przedstawiła statystyki liczby osób znajdujących się w więzieniach pod kuratelą 48 systemów więziennictwa z całej Europy w 2022 r. (np. w Wielkiej Brytanii dane rozbite są też na Szkocję czy Irlandię Północną). W takim zestawieniu – w liczbach bezwzględnych – pierwsza jest Turcja z liczbą 303 945 osadzonych. Na drugim miejscu znalazła się Wielka Brytania (88 225), a na trzecim Polska (71 874). Dopiero za nami są Niemcy, Francja czy Hiszpania.

Przeliczając liczbę osadzonych na milion mieszkańców, statystyka prezentuje się nieco odmiennie, bo Polska plasuje się już na drugim miejscu: Turcja – 3576; Polska – 1891; Wielka Brytania – 1317; Hiszpania – 1172; Francja – 1029; Włochy – 922; Niemcy – 678.

W czerwcu tego roku zajętość polskich więzień oscylowała na poziomie 92 proc. Z kolei 40 tys. skazanych czekało wciąż na miejsce, by zacząć odbywanie kary.

Czy takie wskaźniki – więcej osadzonych przy spadającej od lat liczbie przestępstw – powinny nas martwić czy cieszyć? Wiceminister sprawiedliwości Michał Woś nie ma wątpliwości, że powinniśmy być zadowoleni. – To oznacza, że nasz kraj jest bezpieczny – twierdzi.

– Generalizowanie jest ryzykowne, ale wydaje mi się, że liczba popełnianych przestępstw do liczby osadzonych w więzieniach nie jest tak prostą zależnością. To nie musi być tak prosty mechanizm, że jak jest mniej przestępstw, to powinno być mniej osadzonych. Mógłbym posta-

eprasa.pl 847107cd88

wić tezę, że większa liczba osadzonych w więzieniach świadczyć może właśnie o spełnianiu zasadniczego postulatu prawa karnego Cesare Beccarii, czyli nieuchronności kary – komentuje mec. Bartłomiej Witucki, adwokat, partner w kancelarii prawnej Safjan Witucki.

KONIEC RAJU „ZAWIASÓW"

Część środowiska prawniczego uważa jednak, że taki wskaźnik osadzonych w więzieniach jest niepokojący. Należy do nich m.in. dr Wojciech Górowski, karnista z Katedry Prawa Karnego UJ. Jego zdaniem wysoka liczba więźniów to owoc zmian prawa, które wprowadzono osiem lat temu. – 1 lipca 2015 r. zmieniono przepisy Kodeksu karnego dotyczące warunkowego zawieszenia wykonania kary pozbawienia wolności (potocznie nazywanego karą „z zawiasami"). Wcześniej takie zawieszenie możliwe było do orzeczenia w stosunku do kary dwóch lat pozbawienia wolności, a po zmianie – tylko wobec osób skazywanych na maksymalnie rok więzienia – tłumaczy dr Górowski. – Jednocześnie od tego samego czasu populistycznie podnoszono dolne i górne granice kar za różne przestępstwa. System jest więc obecnie dużo bardziej represyjny. Jeśli więc za wiele więcej rzeczy minimalna granica kary wynosi więcej niż jeden rok, to już wobec tych skazanych nie można orzec kary z warunkowym zawieszeniem.

Wiceminister sprawiedliwości te same zmiany uważa za korzystne. – Zmieniliśmy liberalny system, który funkcjonował do roku 2015. Wcześniej bywało tak, że jeden człowiek miał kilka wyroków w zawieszeniu, a sądy przy kolejnych orzeczeniach wciąż zawieszały karę. Rekordzista miał 17 wyroków w zawieszeniu i mimo dokonania tylu przestępstw nie zobaczył krat więzienia. To powodowało, że państwo się ośmieszało, a wyroki nie były realizowane – mówi Michał Woś. – My ograniczaliśmy w maksymalny sposób karę w zawieszeniu i dlatego są orzekane kary bezwzględne.

– Wszelkie głosy, z których wynikałoby jakiekolwiek poparcie wprowadzonych zmian w prawie w części środowiska prawniczego, wiążą się nie tylko z dezaprobatą, lecz także z ostracyzmem. Dość powszechna jest postawa, że wszystko, co wprowadza minister sprawiedliwości Zbigniewa Ziobro, jest złe – zauważa mec. Witucki. – Tymczasem trzeba racjonalnie przyznać, że wcześniejsze stosowanie instytucji zawieszenia kary prowadziło do tego, że wielokrotny przestępca mógł mieć wielokrotnie zawieszone kary pozbawienia wolności. To było niepożądane w kontekście deficytu poczucia bezpieczeństwa obywateli i sprawiedliwości społecznej czy zachwiania pewności, że państwo udziela ochrony obywatelom przed przestępcami. Temat jest poważny, ale przywołam żart odnoszący się do tego, jak przestępcy traktowali warunkowe zawieszenie wykonania kary: jako swego rodzaju uniewinnienie.

Zapełnienie polskich więzień ma jeszcze jedną przyczynę. W tym roku zamiast blisko 70 tys. siedzi w nich o 8 tys. więcej osób. Dlaczego? – Bo ucięliśmy jeszcze jedną patologię. Przed reformą wykonania kary, zmian w doprowadzeniu do więzienia, tysiące osób, które powinny odsiadywać wyroki, zwłaszcza krótkotrwałe kary kilku miesięcy pozbawienia wolności, chodziły sobie po ulicach – odpowiada wiceminister Michał Woś. – Po uprawomocnieniu wyroku sąd zapraszał ich, by stawili się do więzienia. 96 proc. z nich się nie stawiało. Papiery krążyły i sąd ponownie się tym zajmował i zarządzał doprowadzenie przez policję. A gdy funkcjonariusze przychodzili po takiego delikwenta, to go najczęściej już nie zastawali, bo wiedział, że jest poszukiwany, i znikał. Ten system „zapraszania do więzienia" wyeliminowaliśmy. Teraz od razu po uprawomocnieniu wyroku sąd zarządza doprowadzenie. Jeśli jest nieskuteczne, to od razu wydaje się list gończy. I ta tegoroczna górka 8 tys. osób widoczna w statystykach, to dowód skuteczności naszej reformy co do realizacji zaległych wyroków. Ta fala nowych doprowadzeń do więzień już w czerwcu zaczęła się wypłaszczać, więc za jakiś czas wrócimy do standardowej liczby osadzonych w jednostkach penitencjarnych.

ZA SUROWO?

Doktor Górowski wskazuje, że system uszczelnił się tak bardzo, iż w niektórych przypadkach przestępczości lekkiej i średniej rzadziej pozwala pozostawać ludziom na wolności. I podaje przykład: – Zmiany ustawodawcze spowodowały, że jeśli pan sprzeda mi 1 gram marihuany dziś, a komuś innemu 1 gram marihuany następnego dnia, to bezwzględnie idzie pan do więzienia. Bo przepisy zaostrzające wymiar kary za czyn ciągły nakazują orzec karę powyżej dolnej granicy kary, a ta za sprzedawanie narkotyków wynosi rok.

Czy np. młodego człowieka, który dopuszcza się takich rzeczy pierwszy raz, powinniśmy bezwzględnie zamykać? Wiceminister Woś wskazuje, że w takich przypadkach wciąż sąd ma narzędzia, by tego nie robić. – To jest w rękach sędziów. Nawet przy przestępstwach ciągłych ma takie narzędzia w ręku, jak nadzwyczajne złagodzenie kary – mówi. I zaznacza: – Państwo powinno być wyrozumiałe wobec ludzi, którzy gdzieś tam się w życiu raz potknęli i bezwzględne wobec sprawców przestępstw najgrubszego kalibru. W październiku wchodzi w życie nowelizacja Kodeksu karnego, która urealnia widełki odnośnie do najmniejszych przestępstw, ciągłych przestępstw i zaostrza kary przy najcięższych zbrodniach, włącznie z karą bezwzględnego dożywotniego więzienia, skoro przez uwarunkowania międzynarodowe nie można wprowadzić kary śmierci.

Do 2015 r. można było otrzymywać wiele wyroków w zawieszeniu i pomimo popełniania kolejnych przestępstw nie trafiało się do więzienia. To się zmieniło

Według prawników wiele osób na ogół nie za dużo wie o tym, co im grozi już po wydaniu wyroku. I nie dostają pomocy. Często wychodząc z sądu i otrzymując karę, ufają, że to już koniec ich kłopotów. Tymczasem to może być dopiero początek. Wystarczy, że skazany nie zapłaci tysiąca złotych, które sąd nakazał mu uiścić w celu naprawienia szkody – idzie do więzienia. Po wyroku nie zgłosi się do kuratora? Idzie do więzienia. Nie odbierze poczty z sądu i nie ma informacji o tym, że ma odbyć prace społeczne – idzie do więzienia. Wystarczy więc nie interesować się swoją sprawą po wyroku, by znaleźć się za kratkami.

– Podkreślam, że wciąż mówimy o ludziach, którzy nie popełnili strasznych zbrodni. Mówimy o kimś, kto ukradł ro-

eprasa.pl 847107cd88

wer, kto ukradł 2 tys. zł, kto po pijanemu komuś wygrażał – wylicza dr Wojciech Górowski. – Tymczasem społeczeństwo ma pragnienie zaspokajania ludowego poczucia sprawiedliwości: zły człowiek, to ma siedzieć w więzieniu. Politycy, którzy chcą zyskiwać poklask, i mówię tu o politykach wszystkich opcji, będą więc ludziom mówili to, co chcą usłyszeć: bandyta ma siedzieć w więzieniu. Jednak – jak dobrze widać – w większości spraw trudno powiedzieć, że lepszym rozwiązaniem jest wsadzanie takiego człowieka za kratki. To przecież jest koszt, który wszyscy ponosimy, także koszt społeczny.

Górowskiego niepokoi też na lawinowy przyrost aresztów tymczasowych. W latach 2016–2019 było ich dużo mniej niż obecnie. Jeszcze w 2016 r. tymczasowo aresztowanych było ok. 4 tys. osób rocznie. Obecnie to ponad dwa razy więcej – 8,4 tys. osób. – To jest adekwatne do przestępstw, które ludzie popełniają – komentuje Woś. – Prokuratura działa skutecznie. Wyeliminowała np. mafie VAT-owskie, przestępstwa finansowe. Tu pomogła nie tylko reforma prawa ministra Zbigniewa Ziobry, lecz także reforma prokuratury, w której powstały specjalne wydziały zwalczania mafii VAT-owskich. Wzrost skuteczności działania prokuratury widać też w aresztach tymczasowych. Przypomnę jednak – w każdym przypadku o areszcie decyduje wyłącznie sąd.

W ubiegłym tygodniu skutecznością prokuratury pochwalił się prokurator krajowy. – Rzetelność prokuratury jest oceniania przez sądy i warto podkreślić, że w 2022 r. zaledwie 1,9 proc. oskarżonych zostało uniewinnionych, w tym tylko 1 proc. stanowią uniewinnia prawomocne – stwierdził Dariusz Barski. To oczywiście znów wzbudziło rozmaite komentarze. Cześć prawników wskazywała, że system zaczyna wyglądać tak, iż prawie każdy oskarżony zostaje skazany, i gorzko żartowała, że praca adwokatów staje się bezcelowa. Jednak to nie prokuratorzy wydają wyroki, robią to sędziowie.

Prokurator krajowy Dariusz Barski przedstawił statystyki efektów działań prokuratury w 2022 r. – wynika z nich, że sądy uniewinniły zaledwie 1,9 proc. oskarżonych

JAK RESOCJALIZOWAĆ

Mówiąc o liczbie ludzi za kratkami, nie sposób nie zastanawiać się nad tym, czy dobrze pomagamy im tam dostosować się do społeczeństwa i do niego powrócić. Część prawników mówi wprost: system nie istnieje. Bo czy można nazwać systemem to, że dla osób uzależnionych proponowane są programy, w których można wyjść z nałogu, ale dla pozostałych – czyli niealkoholików i niesprawców przemocy – państwo nie oferuje w zasadzie żadnego programu, który budowałby chęć powrotu do społeczeństwa?

– Nie chodzi oczywiście o to, by więźniowie mieli w celach konsole do grania, jak się to czasem przedstawia, ale by mieli godne warunki i szanse na resocjalizację. A tę naprawdę zapewniają dziś w większości organizacje społeczne. Mają one kłopot z pozyskiwaniem wsparcia, bo „na więźniów" niechętnie społeczeństwo chce coś ofiarować – mówi dr Górowski. – Najlepszym zobrazowaniem niech będzie to, że w tym roku wielkim wydarzeniem było zorganizowanie przez Małopolskie Stowarzyszenie Probacja meczu w piłkę nożną osadzonych wraz z ich dziećmi i żonami. Fantastyczna rzecz! To był pierwszy taki mecz w historii! Ojcowie, matki i dzieci razem. Tylko dlaczego to jest ewenement? Dlaczego w 2023 r. jesteśmy krajem ze średniowiecznym wyobrażeniem, że więzienie powinno być lochem z kromką chleba?

– Nie ma lepszej metody resocjalizacji niż przez pracę – odpowiada na takie zarzuty wiceminister Woś. – Za czasów rządów PO pracowała jedna trzecia osadzonych. Obecnie niemal każdy więzień, który może pracować, pracuje. Wskaźnik pracujących wynosi 96 proc. wśród mogących pracować. Uczymy ich, że można na siebie zarobić, samemu się utrzymać – od 1 stycznia nawet płacą za prąd w celach, czyli łożą na swoje utrzymanie w więzieniu. Uczymy też tego, że uczciwą pracą można spłacać swoje zobowiązania, np. alimenty – tłumaczy. Wiceminister zaznacza, że trwa drugi duży program modernizacyjny więzień, w którym już wybudowano 10 pawilonów na łącznie 2,5 tys. miejsc dla osadzonych, a kolejnych blisko 30 pawilonów jest w trakcie budowy. – Nie wynika to z potrzeby zapewnienia miejsc dla większej liczby osadzonych, a chodzi o to, by warunki pełnienia służby przez funkcjonariuszy Służby Więziennej były lepsze – zaznacza Woś. – Przy tym duża część środków na te rzeczy pochodzi z pracy więźniów. Ponad połowa wynagrodzeń osadzonych trafia do specjalnego funduszu, z którego m.in. finansowane są budowy. Można powiedzieć, że sponsorem modernizacji infrastruktury więziennej są sami osadzeni.

Zdaniem dr. Górowskiego utrudnieniem w resocjalizacji są też nowe przepisy, które wyznaczają prawo do telefonu dla więźnia raz na tydzień. – W sprawie kontaktów telefonicznych właśnie składam w sprawie klienta skargę do ETPC. I uważam, że państwo przegra, bo narusza prawa człowieka – twierdzi dr Górowski. – Tymczasowo aresztowany może w ogóle nie dostać możliwości kontaktu telefonicznego z osobami najbliższymi nawet raz w tygodniu. Także kontakt telefoniczny z obrońcą jest raz w tygodniu. To się w głowie nie mieści… Powinniśmy w ogóle odbyć w kraju dyskusję, co to jest w XXI w. kara pozbawienia wolności. Czy mamy utrzymywać system, w którym człowiek trafiający do więzienia musi występować o specjalne zezwolenie na posiadanie w celi książek? Czy nie powinien móc się w tym czasie uczyć? A jeśli powinien, to dlaczego nie ma dostępu do komputera? – pyta.

Wiceminister sprawiedliwości uważa, że limit jednego telefonu w tygodniu dla więźnia to wyznaczenie minimum. I od dyrektora zakładu karnego zależy, czy osadzony będzie mógł dzwonić częściej. Powinien na to zasłużyć, więc może to mieć znaczenie w resocjalizacji. – Przy tym niech każdy się zastanowi, będąc na wolności, jak często np. sam dzwoni do swoich rodziców? Oczywiście powinno się częściej, ale jak to wygląda realnie, każdy sam wie – mówi Woś.

Czy tak duża liczba osadzonych – zdaniem przedstawicieli resortu sprawiedliwości słusznie – powinna nas skłaniać do myśli o dobudowie więzień w Polsce? – Nie ma takich potrzeb – uspokaja wiceminister Woś. – Więzienia są dobrze zorganizowane, nie ma w nich przeludnienia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 847107cd88

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

NA TROPIE WOŁYŃSKICH DOŁÓW ŚMIERCI

Odnaleźć i pochować ofiary banderowców

Zagłada Ostrówek i Woli Ostrowieckiej – szokujące kulisy jednej z największych zbrodni UPA

Ścięcie Samuela Zborowskiego – zemsta Jana Zamoyskiego na znienawidzonym rodzie?

Starcie tytanów na łuku kurskim – po tej klęsce Niemcy już tylko ustępowali Sowietom

Towarzyszka „Ola" z dynamitem – była kierowniczką składu amunicji bojówki PPS, przewoziła broń i kochała się w Józefie Piłsudskim

Epopeja Haralda Srogiego – jego usiana trupami droga do tronu Norwegii liczyła tysiące kilometrów

Rywalizacja o półprzewodniki – przewaga uzyskana na starcie wyścigu nie została przez Amerykanów oddana do tej pory

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 847107cd88

Kocie mordy pandemii

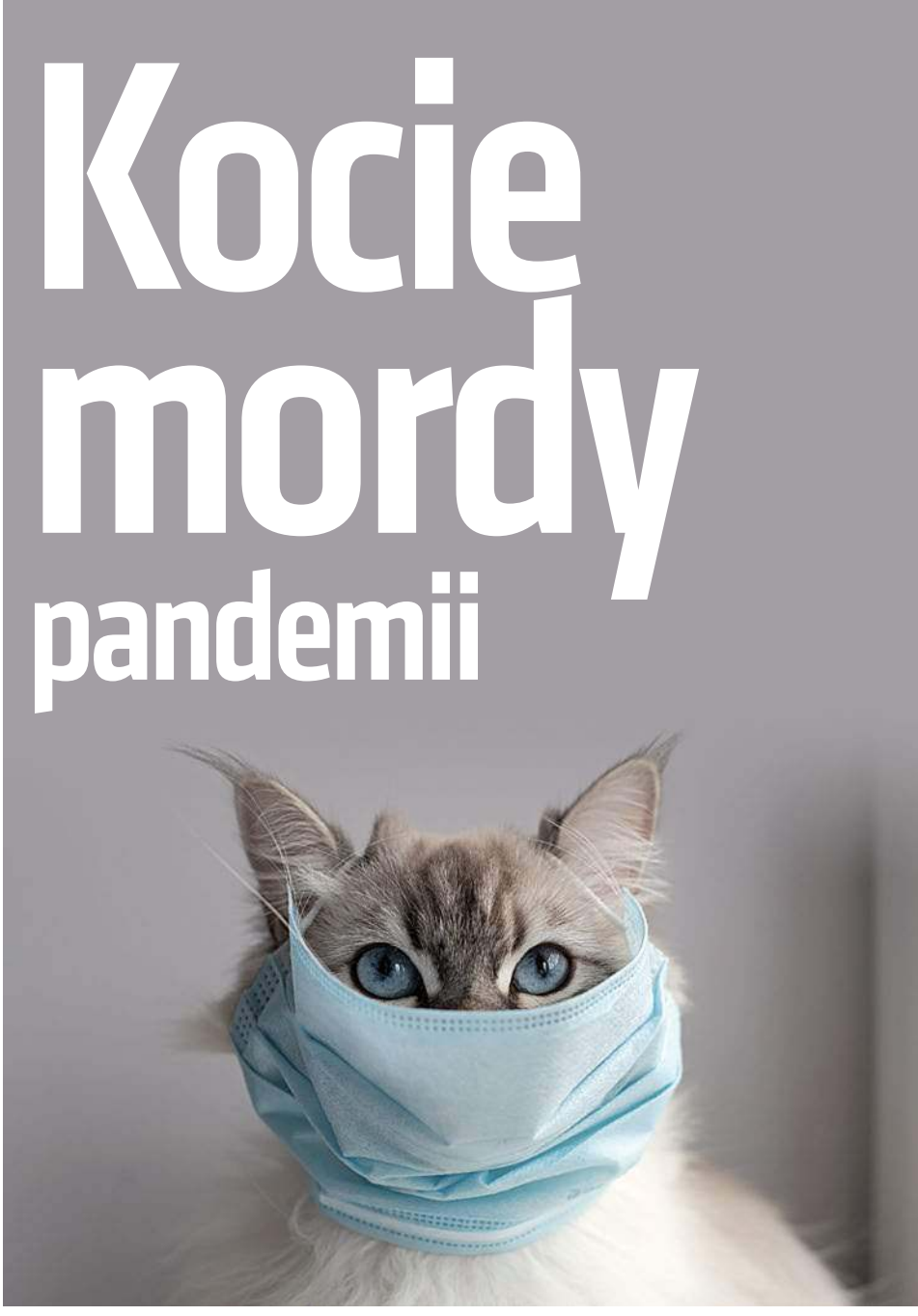

FOT. ADOBE STOCK

Jerzy Karwelis

Po covidowym szaleństwie została nam maszynka. Vendingowa. Maszynka to dziwna, bo zaczyna być jasne, że można w nią wrzucić już teraz dowolny żeton. Kiedyś to był wyłącznie koronawirus, ale – ponieważ zadziałała dobrze i wyglądała na uniwersalną – przyjęło się, że impulsem wywołującym jej działanie może być nawet klimat. A wtedy zawarczy i wyrzuci z siebie zamówiony towar

Ostatnio byliśmy świadkami takiego odpalenia. Nie wiadomo, czy to było dla próby, czyli dla sprawdzenia, czy maszynka jest sprawna, czy coś trzeba podoliwić, czy chodziło o to, by zobaczyć, co wypadnie, czy nowy-stary żeton zadziała. Chodzi o tygodniowy poligon rozpętania kolejnej paniki związanej ze śmiertelną grypą kotów. Maszynka zadziałała.

ZASMARKANI PUSZYŚCI

Zaczęły jak zwykle media – chyba stęsknione za starymi dobrymi czasami – i temat zaczął się grzać. Alarm idealnie jak w COVID. Najpierw, że giną puszki-okruszki, kośba je ścina jak PGR-owski kosiarz trawę, znikąd nadziei. Zaczęły padać propozycje, co robić, znowu jak za COVID. Izolować, maseczek dla kotów (na skalę przemysłową, bo na indywidualną – owszem) nie wynaleziono, a więc tu nie; testować – a jakże; z dystansem jednak kiepsko. Większość wychodzących zatrzaśnięto na kwarantannie. Potem zaczęły się stare rozważania. Koty zastąpiły nietoperze i wróciliśmy do dylematów z Wuhan, czyli czy z kota może przeskoczyć na człowieka. Świat zamarł w skarlałej formie próby powtórzenia paniki. Pojawili się eksperci, stare wygi wyszły spod kamienia zapomnienia, znowu maszynka zawarczała i usłyszeliśmy te same melodie: że będzie ciężko, szybka transmisja na ludzi, duża śmiertelność, nie ma szczepionki (zakład, że jest?). No, stare zgrane szlagiery. To wypadło z maszynki.

Jednak można spokojnie odwinąć toto z papierka powtarzalnych schematów i zobaczyć, co jest w środku. To samo, w lekko tylko stunigowanym opakowaniu. Jak za COVID, toczka w toczkę. Liczymy: tydzień temu (a pandemia przygasa) 17 zakażeń, 11 zejść kocich. Na 7 mln puszystych piastowskich. I panika w mediach, i eksperci palą ognie na wieżach murów okrążonego pandemią miasta. Do tego testy – te, jak za COVID, robią całą robotę. Gdyby nie ten „termometr", to kto by w ogóle słyszał o kociej grypie? A tak się pomierzy jednego z drugim i zawsze coś się znajdzie. Po tych panicznych doświadczeniach (np. trzy osoby chore na test zamykały wielomilionowe miasto Brisbane w Australii) nawet proporcja 17:7 000 000 zasługuje na uwagę.

WCHODZI „NAŁÓKA"

Zaczęło już wiać nudą, aż pojawił się ON. Profesor Pyrć, główny sanitarysta kraju. Co prawda, nie ma takiego stanowiska, ale jeśli by było, to mógłby je objąć tylko on. Lubi być pokazywany, to do niego przylgnął (nigdy nie lubię

eprasa.pl 847107cd88

żartów z nazwiska, ale tu nie mogę się powstrzymać) bon mocik, że ma „pyrcie na szkło". Profesor po swoich dokonaniach pandemicznych został dostrzeżony i zaproszony do doradzania klimatystom. W jego osobie można obserwować kwestie przemiany tematu pandemicznego w klimatyczny. Bo to, co opublikował, łączy mocno obie sfery, ale do tego dojdziemy za chwilę.

Pan profesor Pyrć opublikował omówienie własnych badań, których dokonał w sprawie kociej grypy wręcz w dniu jej wybuchu. Po prostu przypadkiem przechodził z tragarzami (dr Maciej Grzybek i dr Łukasz Rąbalski, ten pierwszy wsławiony donosem do Izby Lekarskiej na dr. Basiukiewicza, że leczy) koło zasmarkanego kota i powziął wraz z nimi ochotę na badania. Wyniki przyszły szybko i szokują. Każdego, kto ma choćby najmniejsze pojęcie o logice. Profesor pisze, że zadziwił go fenomen niewystępowania ognisk choroby wśród kotów, co oznaczało, że się nie zakażają od siebie, tylko jakiś inny czynnik jest tu zaangażowany. Czujne oko padło na karmę, czyli, że koty zakażają się jedzeniem. I teraz uwaga – poproszono właścicieli kotów zmarłych, by w żałobie przysłali do badaczy próbki karmy. Przyszło pięć, z czego jedna wykazała obecność wirusa. Było to mięso drobiowe.

Nawet już szkoda mówić o reprezentatywności takich badań. Powtórzmy: 17 zakażonych, 11 zdechłych, polskich kotów 7 mln. Pięć próbek karmy, w jednej – wirus. Tak się bawi polska nauka. O mediach już nie wspominając. Czy to czegoś państwu nie przypomina? Teraz tylko trzeba ogłosić konieczność testowania i, jak za COVID, sami wytworzymy sobie falę, bo te testy to mają taką dokładność, że zawsze się coś tam pozytywnego trafi.

Jednak pan profesor idzie dalej – wyciąga bowiem wnioski. Z nioski. A więc winien drób, bo – jak wyszukał profesor – już w 2007 r. znaleziono w Niemczech wirusa w zamrożonym mięsie kaczym (uwaga – zaczyna się politycznie!), co miało spowodować atak wirusa H5N1 i napad ptasiej grypy. Dziś ten atak oceniany jest jako próbny poligon pod „prawdziwą" pandemię, którą był koronawirus, która w przypadku walki z fakepandemią ptasiej grypy skończyła się skandalem zakupowym szczepionek, wyjściem na jaw „rasowania" i podbijania badań w kierunkach panikarskich. Dziś, jak widać, niektórzy liczą na krótką pamięć spanikowanych rodaków.

GRYPA A KLIMAT. MAMY TO

A więc drób winien. W sumie to było jasne. Strategia prof. Pyrcia miała już swoje apogeum, kiedy po wykryciu kilku chorych na testy norek hodowlanych zagazowywano ich dziesiątki tysięcy. To czemu nie zrobić tak z kotami, bo tych mamy już 17 nosicieli? No nie, kochani. Kto odda do rakarza swego Mruczka, i to w skali 7 mln? Polak prędzej się pogodzi z lockdownem sąsiada niż z prewencyjną dekapitacją kotowatego. A więc – nie tędy droga. Jednak wytłuc miliony kur, to już inna historia. Profesor nawet ostrzega, że w drobiu to zgarniamy tak ze 3 mld euro rocznie na eksporcie i jak się importerzy o nas dowiedzą, że szaleje ptasia grypa, to spanikują (takimi panikarskimi donosami profesora) i interes pójdzie z dymem. Nie wiadomo, czy profesor ostrzega czy szantażuje, ale już mleko rozlał.

Czemu miałoby się to łączyć z klimatem? Ano popatrzmy. Od dawna klimatyści ostrzegają, że hodowla zwierząt na taką skalę niszczy matkę naszą, Gaję. Na pierwszy ogień idzie mięso, czyli jego wielki ślad klimatyczny. Stąd zakusy na sztuczne mięsa ekwiwalenty. Klimatyści chcą zmniejszyć pogłowie hodowlane i taki profesor epidemiolog ze swymi badaniami karmy to im spada jak z nieba. Zresztą po to go wzięli na pokład. A teraz kura – gwóźdź programu. Czy wiecie, że taka kura to ma normalnie temperaturę do 42 st. C? Toż to żywy generator ocieplenia. I w ten sposób epidemiologia spotyka klimat. Wiedziałem, że do tego dojdzie, ale nie wiedziałem, że tak szybko i elegancko.

Co więc należy robić, czyli co wyrzuciła ta próba wrzutki żetonu kocio-ptasiego? Popatrzmy – mogą skorzystać producenci testów na grypę. Najpierw na poziomie kocim, co na bank wytworzy falę pandemiczną. Potem trzeba będzie testować drób. Każdą kurę, kaczkę, każdego indyka i co tam jeszcze pierzastego się jada. Alternatywą jest eksterminacja pogłowia po kilku zakażeniach pozytywnym testem. Jednak od niedawna mówi się, że prace nad szczepionką na ptasią grypę finiszują, czyli podaż będzie, trzeba tylko wytworzyć popyt. I jesteśmy w domu.

CO WYPADŁO Z MASZYNKI?

Maszynka stoi wciąż na stand-by. Coś tam huczy w środku, mrugają do widzów światełka. Jest gotowa. Odbyła się taka próba i coś tam z niej wyszło. Próba trwała z tydzień i temat zniknął w jednej chwili, jak grypa w COVID. W sumie wyszło trochę interesików Big Pharmy, bo przecież się trzeba przesiąść z covidowych szczepionek na inne wynalazki, może zarobią producenci testów, może stracą polscy rolnicy, zyskają rolnicy z krajów nietestujących. Jednak ta próba na pewno pokazała jedno – odtwarzalny modus mediów. Ci też mają już swoje utrwalone mentalne (biznesowe?) procedury, zadziałali jak na gwizdek.

Okładki w czasopismach, reportaże w telewizji, klickbite'y w Internecie. Widać temat wojenny przysycha i istnieje duże parcie, by skorzystać z, co prawda rozjeżdżonych, torów, ale z braku kliku nie takie rzeczy się robi. Znowu się włączył ten mechanizm – kto bardziej postraszy, ten medialny medal z kartofla. A więc na wyprzódki: wizyta w domu kociarza, zbliżenia kota, który (jak zwykle) ma to wszystko gdzieś, nieświadom, że zawisła nad nim karząca ręka transmisji śmiertelnego patogenu. Zaraz potem ekspert zasmucony, że tak, że zaraz będą zdychać milionami. Wszystkie koty nie są bezpieczne, jeśli każdy kot nie jest bezpieczny. Takie kocie wydanie religii COVID-zero. I że na końcu ci puszyści agenci wniosą to do domu i pozabijają babcio-dziadków. To już nie jest nowa narracja, to już nie jest jej wariant, to wciąż ten sam zgrany song, grany tym razem jako kocia muzyka.

Zawiodła tylko publiczność tego powtarzalnego spektaklu – jakoś temat nie wszedł. I znikł. Co dowodzi, że pandemie mają bardziej podstawy medialne, nie epidemiologiczne, są falami paniki stymulowanej przez media. Jednak że w COVID przesadzono ze środkami wyrazu, to teraz każdy strach będzie już tylko mniejszy.

Zwłaszcza że po drugiej stronie jest dybanie złego świata na naszego Mruczka, a tu są granice no passaran każdego z kilku milionów Polaków. Może więc partia kociarzy?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 847107cd88

Cejrowski kontra Gdańsk

Wojciech Cejrowski na Jarmarku Dominikańskim w Gdańsku
FOT. KAROLINA MISZTAL/REPORTER

Zuzanna Dąbrowska

Od lat twarzą gdańskiego Jarmarku św. Dominika jest Wojciech Cejrowski ze swoją akcją „Zdjęcie za »Ojcze Nasz«". Dlaczego w tym roku organizatorzy „wypchnęli" podróżnika na sam koniec imprezy?

Tu się kupuje, targuje, poszukuje skarbów i znajduje piękne kadry do pamiątkowych fotografii. Wokół słychać różne języki, mieszają się tradycje i obyczaje. Jest gwarnie i barwnie, prawie wszędzie coś się dzieje. Oto słynny na cały świat Jarmark św. Dominika!" – chwalą się gospodarze, czyli samorząd województwa pomorskiego oraz miasto Gdańsk. Jarmark, organizowany od 1260 r. (tradycję przerwała druga wojna światowa, powrócono do niej w 1972 r.), cieszy się niemałą popularnością. Można tu zjeść, kupić rękodzieło, posłuchać muzyki i po prostu ciekawie spędzić czas.

Wśród wystawców turyści znajdą podróżnika i przedsiębiorcę Wojciecha Cejrowskiego. Jednak w tym roku (Jarmark zaczyna się 22 lipca), aby trafić na jego stoisko na Podwalu Staromiejskim (oznaczone numerem 601), trzeba będzie się trochę nachodzić.

– Twierdzę, że do tego stoiska nikt nie dotrze, bo jest ostatnie na szarym końcu – mówi Cejrowski „Do Rzeczy". Showman zaznacza, że przez ostatnie kilka lat stał przy Bramie Straganiarskiej. – Po tym, jak Międzynarodowe Targi Gdańskie, organizator Jarmarku, zdecydowały się wreszcie wynająć mi normalne stoisko, tak jak innym wystawcom. To było miejsce gorsze od ul. Długiej, ale bez zarzutu – uważa. Wcześniej, przez kilkanaście lat, rozstawiał się właśnie na Długiej, centralnej ulicy gdańskiej starówki (w tym roku wystawców tam nie będzie), jak się reklamował – „trzydzieści kroków" od fontanny Neptuna.

– Wystawca otrzymał miejsce na Podwalu Staromiejskim w wyniku przeniesienia wszystkich innych stoisk handlowych znad Motławy (rewitalizacja). Na tę przestrzeń przeniesiono pozostałych niemal

eprasa.pl 847107cd88

60 stoisk, które wymagały nowej lokalizacji – przekazał „Do Rzeczy" rzecznik Jarmarku św. Dominika, Patryk Gochniewski. – Pan Cejrowski, jak inni zatem, został przeniesiony w wyniku czynników zewnętrznych. Zajmuje stoisko pierwsze od strony placu Macieja Kosycarza – dodał. Jednocześnie rzecznik zapewnił, że nie chodzi o utrudnianie pracy podróżnikowi, a „zarządzanie przestrzeniami w oparciu o charakter stoisk innych wystawców i posiadanych przez nas możliwości".

REMONT I HAŁAS

Powodem zmian w układzie Jarmarku jest trwający nad rzeką Motławą remont. – Remont to remont i z tym nie dyskutuję. Natomiast regulamin Jarmarku gwarantuje stałym wystawcom – tym, którzy wystawiali się w latach wcześniejszych, czyli mnie także – że mają prawo pierwszeństwa na swoje stoisko zeszłoroczne – przekonuje Wojciech Cejrowski. Twierdzi, że organizatorzy mają problem z nim samym i z akcją „Zdjęcie za »Ojcze Nasz«". – Sprzedaję książki wyłącznie podróżnicze i nie uprawiam propagandy politycznej. Gdy ktoś chce sobie zrobić ze mną fotografię, zgadzam się chętnie. Zawieramy transakcję – zdjęcie za odmówienie „Ojcze Nasz". Mam zawsze tłumy chętnych i moim zdaniem ta moja „propaganda religijna" się władzy nie podoba – przekonuje. Według podróżnika organizatorzy strzelają sobie w kolano, ponieważ turyści ciągną na jego stoisko, a więc opłacalne byłoby danie mu miejsca w centralnym punkcie imprezy. – Zawsze mam kolejkę i tłumy. Kolejka do mnie ciągnie się 60–100 metrów. Stanowię atrakcję turystyczną dobrą dla Gdańska. Coś jak zakopiański miś na Krupówkach. Ludzie wracają rok po roku – mówi „Do Rzeczy". – Na miejscu Dulkiewicz pokazałbym klasę, przestał WC przepędzać i w łaskawości przydzielił dobre miejsce, za które ja przecież normalnie zapłacę. Organizator Jarmarku ma problem z tym, że do pana Cejrowskiego stoją tłumy w długiej kolejce? Czyli lepiej, gdyby na Jarmarku było pusto? – pyta retorycznie.

Rzecznik Jarmarku św. Dominika przyznał, że obecność Cejrowskiego podczas imprezy jest nieco „problematyczna". Powód? Hałas. – Ponieważ działalność Wojciecha Cejrowskiego generuje znaczną liczbę publiki oraz w ubiegłym roku włączał muzykę – stąd w tym roku z jednej strony nie ma handlujących sąsiadów – mówi Gochniewski. Co na to sam zainteresowany? – Organizator nigdy nie zgłaszał do mnie zastrzeżeń dotyczących muzyki, która gra na moim stoisku (latino!). To jakiś nowy problem? Wystarczyło powiedzieć – stwierdza. – No ale przynajmniej rzecznik Jarmarku przyznał uczciwie, że organizatorzy świadomie i z premedytacją postawili mnie na samym końcu, bo im przeszkadzam – dodaje podróżnik.

Można postawić pytanie, czy w tle – jak sugeruje Cejrowski – rzeczywiście nie ma kwestii ideologicznych. Być może działalność wyrazistego showmana nie pasuje do wizji „Gdańska otwartego", którą promuje prezydent Aleksandra Dulkiewicz. Znamienne, że podczas Jarmarku na skwerze Heweliusza stanie „Przystanek równość" (warto wskazać, że Jarmark to nie tylko zakupy i gastronomia, lecz także wiele wydarzeń towarzyszących). „Tu chcemy mówić o rzeczach takich jak: tolerancja, otwartość, wolność, zacierać różnice pokoleniowe i łączyć międzykulturowo. Mówić o rzeczach ważnych, ale w lekkiej formule letniej, wakacyjnej atmosfery. Miejsce organizacji koncertów, warsztatów, eventów ambientowych, wspólnego tworzenia instalacji. W tygodniu bawimy się i integrujemy. Tu jest różnorodnie – operetka przeplata się z karaoke i setami Dj-ów, warsztaty dla dzieci z zajęciami dla seniorów. W weekendy bawimy się dalej, a także poznajemy się i uczymy: m.in. tolerancji i uważności na drugiego człowieka" – przekonują organizatorzy. W sobotę 29 lipca ma się odbyć „Święto Równości".

NIE PIERWSZY SPÓR

Historia sporów mieszkającego na co dzień w USA Cejrowskiego z miastem Gdańsk jest długa. Przez 13 lat stacjonował przed oddziałem PTTK przy ulicy Długiej. W 2019 r. usunięto go z terenu Kaplicy Królewskiej. Autor robił zdjęcia i podpisywał książki, gdy podjęto interwencję. – Stałem na ulicy Świętego Ducha, ale przyszła władza. Gdańsk powiedział „won!" – relacjonował wtedy. „W pierwszym tygodniu Jarmarku św. Dominika przeprowadzono 33 interwencje w sprawie nielegalnego handlu. Insynuowanie przez pana Cejrowskiego, że interwencja ma charakter polityczny, nie ma żadnych podstaw. Pan Cejrowski został pouczony i poproszony o zaprzestanie nielegalnego handlu" – napisał wówczas wiceprezydent Gdańska, Piotr Borawski. Władze miasta przekonywały też, że działalność Cejrowskiego przeszkadzała działającym w tamtym miejscu sklepikarzom. Publicysta odpowiedział, że chciał legalnie wynająć miejsce targowe, jednak urzędnicy mu to uniemożliwili. „W tym roku, gdy aplikowałem, ujęli to tak: Postać Pana Cejrowskiego nie pasuje do pozytywnego wizerunku Jarmarku, jaki chcemy kreować" – napisał na Facebooku. Po negatywnej decyzji Gdańskiego Zarządu Dróg i Zieleni Cejrowski odwołał się do Samorządowego Kolegium Odwoławczego. W 2021 r. showman wygrał. „Oni przegrali, a ja wygrałem. Mogę stać na Długiej, nawet do końca sierpnia. Animozje pani prezydent wobec mnie nie mają żadnego znaczenia, obywatel wygrał z władzą. Stoję przy Długiej 43" – poinformował w mediach społecznościowych. Rok temu stał przy Bramie Straganiarskiej.

Trudno nie zauważyć, że choć zainteresowanie stanowiskiem Wojciecha Cejrowskiego jest ogromne (podróżnik dzień święty święci i nie rozstawia się w niedziele, a jednak nie zniechęca to jego sympatyków, którzy znajdują czas w pozostałe dni), co z pewnością pomaga całej imprezie, to dla władz Gdańska obecność konserwatywnego i radykalnego showmana musi być gorzką pigułką do przełknięcia. Wyrzucić go nie mogą, bo zrobi „aferę". Z drugiej jednak strony Cejrowski nie gryzie się w język. – Nie wiem, kto teraz organizuje Jarmark, ale nie rozumie tego słowa. To pewna kultura jarmarczna. Nie powinno być namiotów w kolorze białym czy écru, ale pewien rodzaj wolnej amerykanki. Czyli ktoś z urzędu bierze placowe, a na wszystkim ulicach powinni ustawiać się ludzie „na wariata". Na tym polega jarmark – mówił w 2015 r.

Jarmark św. Dominika ma wielu partnerów i sponsorów. Wśród nich są podmioty prywatne i publiczne. Jednym z patronów medialnych 763. odsłony wydarzenia jest „Gazeta Wyborcza". Tekst opisujący sprawę przegonienia Wojciecha Cejrowskiego w 2019 r. zatytułowano: „Cejrowski promuje się na Jarmarku. Sprawia problemy sklepikarzom i władzom Gdańska". Wydaje się, że szczególnie tym drugim.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 847107cd88

Piotr Gociek

Ostatni

Ironista wyczulony na tragedię i piewca niepewności. Gorliwy marksista i demaskator kłamstw inżynierów dusz. Mistrz uników, wybitny eseista, genialny pisarz – odszedł Milan Kundera

FOT. AFP/EAST NEWS

Mam je do dzisiaj: zakurzone, wyblakłe, wydrukowane na coraz bardziej pożółkłym papierze. Drobniutka maszynowa czcionka „Księgi śmiechu i zapomnienia" w podziemnym wydaniu Przedświtu. I krajowy nielegalny przedruk londyńskiej edycji Pulsu dokonany przez Grupy Oporu Solidarni, gdy chodzi o powieść „Życie jest gdzie indziej". Niemal wszystko, co ciekawe, było wtedy nielegalne, a ja, czytając Milana Kunderę, miałem wrażenie, że ktoś rozmawia ze mną poważnie o sprawach niezmiernie poważnych, mimo że tak często pokpiwa ze swych bohaterów. Znaliśmy ten język: późny PRL był fuzją farsy i tragedii.

KAŻDY MA JAKĄŚ MŁODOŚĆ

Dokonywał Kundera rzeczy niezwykłej: precyzyjnie i bezlitośnie analizując koszmary systemu komunistycznego, jednocześnie potrafił oderwać się od przeciwnika i uniknąć pułapki literatury zaangażowanej, tyle że „anty". Złośliwy powie: „Bo za wiele pamiętał z czasów, gdy sam był zaangażowanym marksistą". Niestety, był. O tym fragmencie biografii czeskiego pisarza wtedy się nie rozmawiało, całe istnienie Kundery zaczynało się od powieści „Żart", czyli – jak to się niegdyś mówiło – „literatury rozrachunkowej". Co było wcześniej? Każdy ma jakąś młodość.

Tymczasem zdążył młody i zakochany w socjalizmie Kundera stać się w dawnym ustroju popularnym i drukowanym poetą, zdążył wezwać do naprawy panującego reżimu, zostać usunięty z partii jeszcze w czasach stalinowskich (ale i w stalinowskich do niej wstępował), a także zostać przyjęty ponownie w roku 1956. Stalin już nie żył, gdy Kundera pisał swój socrealistyczny poemat „Posledni máj". Na początku lat 60. zdążył podbić teatry (zwłaszcza sztuką „Majitelé kliču", w Polsce wystawianą jako „Klucze" – opowieścią „o ludzkiej twarzy komunizmu", jak przypomina Encyklopedia Teatru Polskiego).

Nie tego Kunderę jednak pokochaliśmy w latach 80. „Nieznośna lekkość bytu", „Księga śmiechu i zapomnienia" oraz esej „Zachód porwany albo tragedia Europy Środkowej" to były teksty kluczowe, formacyjne. „Żart" trochę wtedy lekceważyłem, bo zdawał mi się zanadto oczywisty: oto Ludwik, bohater powieści, wysyła do swej dziewczyny kartkę, na której napisał m.in.: „Optymizm to opium dla ludu! Zdrowy duch zalatuje głupotą! Niech żyje Trocki!". Był to sztubacki żarcik, który przyniósł jednak tragiczne konsekwencje: od wyrzucenia z partii do zniszczonego życia. W mikroskali opowiadał Kundera o mechanizmach rządzących komunizmem, tych samych, które prowadziły do procesów pokazowych, fałszywych zeznań świadków, bezprawnych wyroków i bezpodstawnych egzekucji. Czytałem wtedy sporo literatury rozrachunkowej, historycznej, pamiętnikarskiej – wydawało mi się, że nie widzę w „Żarcie" wiele nowego. Dziś czytam ją z nowym zapałem, bo mechanizmy uwodzenia umysłów i niszczenia ludzi okazują się we współczesnym świecie podobne, każąc kolejnym ofiarom gęsto i publicznie tłumaczyć się z niedostatecznej miłości do nowych „-izmów" lub zbyt małej gorliwości nowych wyznawców.

Po latach „Żart" nabrał mocy, a zmagania z historią i polityką w „Księdze śmiechu i zapomnienia" owej mocy nie utraciły. O czym świadczy siła, z jaką do dziś uderza pierwszy rozdział powieści, w którym Kundera opisuje scenę z 1948 r., kiedy to towarzysz Clementis oddaje przywódcy czeskich komunistów Klemensowi Gottwaldowi własną czapkę. „Wydział propagandy powielił w setkach tysięcy egzemplarzy fotografię balkonu […]. Z plakatów, podręczników oraz muzeów znało tę fotografię każde dziecko" – pisze Kundera. Jak kończy się ta historia? „W cztery lata później Clementisa oskarżono o zdradę i powieszono. Wydział propagandy natychmiast wyskrobał go z dziejów i oczywiście również ze wszystkich fotografii. Od tego czasu stoi już Gottwald na balkonie bez niego. Tam,

eprasa.pl 847107cd88

gdzie znajdował się Clementis, jest tylko pusta ściana pałacu. Z Clementisa pozostała jedynie czapka na głowie Gottwalda". Ten króciutki rozdział więcej i sugestywniej mówi o zasadach działania systemu od niejednej historycznej rozprawki.

NIEZNOŚNY CIĘŻAR HISTORII

Zmagał się więc Kundera z historią i polityką, ale jego bohaterowie zarazem często żyli jurnie, jakby rekompensując sobie erotycznymi podbojami to, że rzeczywistość jest nie do zniesienia. I oto inny Kundera – frywolny, przystojny, o zniewalającym uśmiechu. Trochę jak nasz młody Jerzy Skolimowski: erudyta-playboy, łamacz serc niewieścich, miłośnik męskich rozrywek. W serwisie HBO Max znajdziecie film dokumentalny „Milan Kundera: od żartu do nieistotności". Laurka omijająca trudne pytania o niektóre zakręty biografii pisarza, ale udało się autorom dotrzeć do wielu ludzi, którzy Kunderę poznali. Warto posłuchać ich wspomnień. Gdy trafiali na jego wykłady w praskiej szkole filmowej FAMU, byli jak zaczarowani. (Niektóre znajomości wtedy zawarte miały nieoczekiwany ciąg dalszy: po latach na francuskiej emigracji Agnieszka Holland, dawna studentka Kundery, przełożyła na polski „Nieznośną lekkość bytu").

Skoro o filmach: na internetowej stronie telewizji Arte znajdziecie z kolei dokumentalny film „Milan Kundera: nieznośny ciężar historii". Otwierają go słowa samego pisarza, wyjęte w pierwszego eseju z tomu „Sztuka powieści", które układają się w jego credo. „Do czego miałbym być przywiązany? Do Boga? Do ojczyzny? Do narodu? Do jednostki? Moja odpowiedź jest w równej mierze śmieszna, co szczera: nie jestem przywiązany do niczego – z wyjątkiem »Wzgardzonego dziedzictwa Cervantesa«". Twierdzi Kundera, że współczesną Europę stworzyła powieść, która daje nam „mądrość niepewności" i pozwala na kwestionowanie jednej absolutnej prawdy, otwiera zaś na świat, gdzie istnieje ogrom prawd „sobie przeczących i względnych". Religia ratunkiem być nie może, gdyż jest Kundera ateistą. Jego ironia, jego sprzeciw wobec budowy raju na Ziemi („tęsknota za Rajem jest tęsknotą człowieka do tego, by nie być człowiekiem" – to znów „Nienośna lekkość bytu") stawiają go w długim szeregu innych smutnych ironistów XX w., którzy w tragedii stulecia widzieli, że skompromitowały się wielkie idee i koncepcja Wielkiej Historii.

Co zostało? Boga brak, wszystkie nasze miłości śmieszne są, a inżynierom lepszej przyszłości ufać nie można. Przypomnijmy sobie samobójcze wybory bohaterów Kundery, którzy tego znieść nie mogą. Co jeszcze zostaje? Moralność rozpaczy bohaterów Camusowskich, miłość do literatury (do powieści, której kres będzie oznaczał zarazem kres nowożytności europejskiej – naucza fan Diderota Milan Kundera). Świadomość nieistotności wszystkiego (nie bez powodu ostatnia książka Kundery nosi tytuł „Święto nieistotności"). Świat jest wielką maszynką do mięsa. Nie dziwi więc fascynacja Kundery dziełem skandalisty brutalisty Francisa Bacona. W poświęconym mu eseju (tom „Spotkanie") pisze Kundera: „Kiedy przeżywa się koniec cywilizacji (tak jak przeżywają go – lub sądzą, że go przeżywają – Beckett i Bacon), ostatnią brutalną konfrontacją nie jest konfrontacja ze społeczeństwem, z państwem, z polityką, lecz z fizjologiczną materialnością człowieka". W tym świetle lepiej rozumiemy słowa Agnieszki Holland o starości Kundery, która w rozmowie z Interią zauważa: „Milan nie znosił starości. Przestał się fotografować, jak był jeszcze bardzo pięknym mężczyzną. Myślę, że nie podobało mu się bolesne starzenie się. […] był przepięknym mężczyzną, pociągającym pod każdym względem – głównie intelektualnym, ale przekładało się to na jego wygląd zewnętrzny i sposób bycia. Myślę, że nie podobało mu się, że ta forma się psuje".

Mogłoby to tłumaczyć niechęć Kundery do wywiadów i publicznych wystąpień, ale sprawa jest poważniejsza. Sam chciał kształtować swój wizerunek, i robić to tylko książkami. Na emigracji (od 1975 r. we Francji) sporo o swej przeszłości konfabulował. Rodacy w kraju nie mogli mu wybaczyć, że nie wrócił, tylko wrósł we Francję, zaczął pisać po francusku i z czeskiego pisarza zmienił się w pisarza francuskiego. Nowych książek nie wydawał w ojczyźnie, bo bał się o kształt przekładów, a sam już po czesku pisać (na czeski tłumaczyć) nie był w stanie. A gdy przyszła chwila próby – milczał. A przyszła w roku 2008, gdy tygodnik „Respekt" ujawnił, że w czasach stalinizmu młody Kundera doniósł bezpiece na znajomego przyjaciółki, niejakiego Miroslava Dvořáčka, agenta współpracującego z Counter Intelligence Corps. Dvořáček spędził kilkanaście lat w więzieniu, w tym w kopalni uranu. O sprawie mówić nie chce. Podobnie jak Kundera, który groził sądem, ale nikogo nie pozwał.

WALKA Z WIATRAKAMI

Czy była to śmieszna sprawa z tragicznym końcem, jak ta z „Żartu"? Sprzeczka chłopaków zadurzonych w tej samej dziewczynie? Czy był to punkt zwrotny, dzięki któremu Kundera stał się wyznawcą kultu „nieistotności", umniejszając czy wymazując swoją winę? Czy to dlatego później w powieściach Kundera tak deprecjonuje młodość, widząc w niej nie obiekt tęsknot, lecz najbardziej ponury i głupi okres życia? Oto końcowy paradoks walki Kundery z wiatrakami: nie chcąc, by inni osądzali go za cokolwiek poza literaturą, sprawił, że po jego śmierci to jego literaturę wielu osądzać będzie, patrząc najpierw na jego życie. Zmarł 11 lipca 2023 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 847107cd88

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Plastic is fantastic

Nostalgia się sprzedaje – po dokumencie o Schwarzeneggerze (jesienią premiera opowieści o Stallone'em) Netflix uczcił 40. rocznicę premiery debiutanckiego albumu duetu Wham! filmem dokumentalnym jednego z ciekawszych speców od tego typu historii. Chris Smith nakręcił m.in. świetny film o Jimie Carreyu czy kilka dobrze przyjętych serii true crime, a całkiem niedawno poruszającą opowieść o relacjach Roberta Downeya jr. z ojcem.

„Wham!" to zarówno opowieść o kolorowych i plastikowych latach 80., których symbolem stało się duo George Michael – Andrew Ridgeley, jak i dzieje dorastania wybitnie utalentowanego nastolatka, którym był ten pierwszy. Od nieśmiałego pryszczatego dzieciaka do świadomego tego, co robi, autora i producenta – ba, do idola, który jednym skinieniem ręki podnosi wypełniony po brzegi stadion Wembley. Pewne rzeczy wygładzono, to jasne, bo to laurka ku czci, szczególnie że głównym motywem jest przeglądanie albumów z prasowymi wycinkami, który przez całą karierę grupy prowadziła mama Ridgeleya. Zatem tylko parę zdań poświęcono wybrykom Andrew, który w pewnym momencie zamienił się w postrach imprez i klubów nocnych, zasługując na miano „Animal Andy".

Fani będą oglądać ten film dla muzyki i wspomnień, ale najciekawszy jest tam, gdzie dotyka szerszego kontekstu. Zakłopotany (i nie mówi tego wprost, ale nieszczęśliwy) George Michael, który odkrywa swą odmienną orientację seksualną w chwili, gdy cała kariera duetu oparta jest na promowaniu ich jako sekssymboli dla nastolatek. Zrezygnowani i załamani chłopcy u progu kariery, kiedy nic nie wychodzi, wytwórnia w ich nie wierzy i wysyła w „trasę promocyjną", która polega na występowaniu w tancbudach obok brzuchomówców czy lokalnych amatorów śpiewających covery. Najzabawniejsza jest gorączka, w jaką brytyjska prasa wpada po pierwszym singlu zespołu, próbując na siłę wykreować ich na zbuntowany głos straconego pokolenia przeciw Thatcher. Tymczasem obaj chłopcy z Wham! chcą po prostu dobrze się bawić, pisać piosenki pop, a ich fani marzą o tanecznym eskapizmie. Krytycy zafiksowani na polityce bardziej potrzebowali gniewnych wystąpień społecznych niż samo pokolenie, które miało się buntować przeciw „złej władzy", ale wolało „Club Tropicana". Czyż dziś jest inaczej? Niekoniecznie w Anglii. ©℗

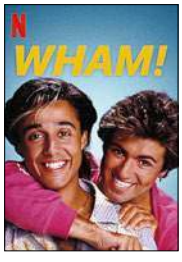

★★★★☆☆
REŻ. CHRIS SMITH
„WHAM!"
USA 2023, FILM DOKUMENTALNY

NOWE SERIALE: „WIEDŹMIN"

„Polacy zrobili – spieprzyli. Amerykanie zrobili – spieprzyli" – mówił mi kilka miesięcy temu Andrzej Sapkowski. Trzeci sezon netflixowej sagi o Geralcie potwierdza tę diagnozę. Po nierównym sezonie pierwszym oraz słabym i nazbyt odbiegającym od oryginału drugim przyszedł czas na wypadki z powieści „Krew elfów". Akcja się wlecze, postacie drugoplanowe oddają gejowskim przyjemnościom, scenarzyści śpią, a jeden mądry Henry Cavill się ewakuuje, bo dłużej wiedźmina grał nie będzie. ***Piotr Gociek***

- *sezon 3* ***„Wiedźmin" („The Witcher")****, USA 2023*

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *reż. Steven Soderbergh* ***„Full Circle"****, USA 2023* (HBO max)
- *sezon 4* ***„Co robimy w ukryciu"****, USA 2023* (Disney+)
- *reż. Jonathan Goldstein, John Francis Daley* ***„Dungeons & Dragons: Złodziejski honor"****, USA 2023* (CANAL+)

eprasa.pl 847107cd88

Na zachód marsz!

NINATEKA

Jak praktykować braterstwo broni z Armią Czerwoną i „nie skalać imienia Polaka"? Jerzy Hoffman po sukcesie „Potopu" i „Trędowatej" musiał stracić kontakt z rzeczywistością, skoro podjął się misji niewykonalnej: pokazania genezy PRL w sposób, który byłby strawny dla cenzury i dla ludzi uczulonych na propagandowe kłamstwa. Jego ojciec, lekarz u kościuszkowców, dobrze wiedział, co wydarzyło się pod Lenino. Bitwa, która miała być chrztem bojowym pierwszej dywizji, omal nie stała się jej grobem. Polacy odegrali rolę mięsa armatniego, co z filmu jasno wynika. Daremne były więc wysiłki Zbigniewa Safjana, scenarzysty „Stawki większej niż życie", by zgodnie z gierkowską polityką historyczną przekonywać, że front jedności narodu narodził się w 1943 r., a Zygmunta Berlinga, Wandę Wasilewską i Władysława Sikorskiego łączyły szczery patriotyzm i szacunek do Wielkiego Brata ze wschodu. Epos „Do krwi ostatniej" podobał się ministrowi Jaruzelskiemu. Z kin zniknął jednak błyskawicznie. Ninateka udostępniła skróconą, półtoragodzinną wersję (oryginał opiewa na 202 minuty) w ramach przeglądu filmów z Anną Dymną. Nie sądzę, by aktorka miała sentyment do roli sanitariuszki ze złamanym sercem, lecz sceny batalistyczne, kręcone z udziałem żołnierzy LWP i Armii Sowieckiej, nadal robią wrażenie. ***Wiesław Chełminiak***

★★★☆☆☆
REŻ. JERZY HOFFMAN
„DO KRWI OSTATNIEJ"
POLSKA 1978

wyst. Marek Lewandowski, Jerzy Trela, Leonard Pietraszak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

DUŃCZYK NA GIGANCIE

KINO

★★★☆☆☆
REŻ. THOMAS DANE SKOV
„OSTATNI WIKING" („WILDMEN")
DANIA 2021

wyst. Rasmus Bjerg, Zaki Youssef, Bjørn Sundquist

Kryzys męskości po nordycku. Jesteś zmęczony cywilizacją? Żona cię nie rozumie? Martin poczuł zew przygody, więc zamienił duńską nizinę na norweskie góry i fiordy. Gdyby nasze biuro promocji w Kopenhadze działało lepiej, pewnie wybrałby Bieszczady. Dziesięć dni później odziany w gustowne futro surwiwalista już wie, że życie w leśnych ostępach nie jest łatwe. Po kolejnym nieudanym polowaniu chowa honor do kieszeni i wyrusza na zakupy do sklepiku przy stacji benzynowej. To moment przełomowy, bo wskutek zbiegu niefortunnych zdarzeń do akcji wkracza policja. „Ostatni wiking" mocno przypomina „Fargo". Dworuje sobie z mieszczuchów, których kręci powrót do średniowiecza, lecz ani myślą zrezygnować z używania komórek i kart kredytowych, ale jest podszyty skandynawskim, egzystencjalnym smuteczkiem. Nieszczęśnicy, marzący o wolności, porzućcie złudzenia: ona jest osiągalna tylko dla zajęczaków. ©℗

UCIEKAJĄCY POCIĄG

KINO

★★☆☆☆☆
REŻ. JIŘÍ HAVELKA
„SYTUACJA AWARYJNA" („MIMOŘÁDNÁ UDÁLOST")
CZECHY 2022

wyst. Igor Chmela, Jana Plodková, Ctirad Götz

Nie wszystko złoto, co się świeci, nie każda czeska komedia jest zabawna. Po udanych „Właścicielach" Jiři Havelka odpłynął, a raczej peron mu odjechał. Inspiracji dostarczył incydent dość banalny. Pasażerowie prowincjonalnego szynobusu odkryli, że podróżują w niewłaściwym kierunku, a maszynista zniknął. Przygoda zakończyła się po 14 minutach i film powinien trwać niewiele dłużej. Jego twórcy uznali bowiem, że wystarczy zgromadzić w jednym nosicieli stereotypów oraz nafaszerować fabułę dowcipami z brodą, tudzież cytatami z parodii kina katastroficznego, by publika oniemiała z zachwytu i przyklasnęła oikofobicznemu przesłaniu. Havelka et consortes oskarżają ziomków o panikarstwo, malkontencję i skłonność zamordyzmu. Najgorsi ze wszystkich są oczywiście politycy. „W tym kraju wszystko jest możliwe". Kto by pomyślał, że Czesi tak szybko się spolonizują? ©℗ ***Wiesław Chełminiak***

GRA TYGODNIA: „FINAL FANTASY XVI"

★★★★★☆

Jeszcze nigdy w długiej historii tej legendarnej serii „Final Fantasy" nie był tak blisko zachodnich produkcji. Trudno już nazwać tę grę jRPG, to już raczej RPG akcji, ale z silnymi naleciałościami japońskimi. Czy to sprawia, że FF XVI ma problemy z tożsamością? Raczej tak. Czy to gra zła? Absolutnie nie! Jest bardzo dobra. Dużo rzeczy robi w „FF XVI" wrażenie, niektóre mogą jednak irytować. To skomplikowana produkcja, wielowarstwowa, wymagająca poświęcenia jej czasu i – co ważne – warta tegoż czasu. To pierwszy „FF" z oficjalną polską (kinową) wersją językową. ©℗ ***Radosław Wojtas***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *RPG akcji*
- ***Platforma:*** *PS5*
- ***Producent, wydawca PL:*** *Square Enix, Cenega S.A.*

eprasa.pl 847107cd88

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Na drugim brzegu tęczy

Podtytuł najnowszej książki Pawła Lisickiego informuje, że są to „szkice na temat upadku cywilizacji zachodniej z nutką optymizmu mimo wszystko". Słabą nadzieję daje ta „nutka", zawsze jednak jakąś… Potencjalnych czytelników interesuje jednak na pewno, czym jest ta współczesna Sodoma i gdzie leży jej imperium. No cóż, ze szczególną uwagą przygląda się Lisicki Ameryce. A tam całkiem niedawno często przywoływany przez niego abp Carlo Maria Viganò potępił… nie, nie Joe Bidena, co byłoby oczywiste, ale przeciwnika aborcji Donalda Trumpa, a to za jego przypochlebianie się, z tęczową flagą w ręku, „republikanom LGBTQ". Zachowanie to potwierdza – komentuje autor – że „rewolucja tęczowa opanowała niemal całe elity amerykańskie. Kiedy jeszcze za czasów prezydenta Trumpa pani ambasador Georgette Mosbacher udzieliła słynnego wywiadu, w którym to powiedziała, że »Polska [przeciwstawiając się rewolucji gender] jest po złej stronie historii«, to reprezentowała nie tylko ówczesnego gospodarza Białego Domu, lecz także właśnie większość Amerykanów. W ciągu ostatnich kilkunastu lat dokonał się tam prawdziwy świadomościowy przewrót. Dzięki skutecznej akcji propagandowej, gigantycznym pieniądzom i wsparciu swego rodzaju konglomeratu Big Tech, finansjery i polityków, Stany przekształciły się z imperium wolności w imperium Sodomy".

Słowa te mogą zaskakiwać, ale najbardziej tych, którzy przywykli traktować Amerykę niczym wzorzec z Sèvres; Amerykę przynajmniej od czasów Ronalda Reagana bezustannie wojującą z imperium zła. A to z komunizmem, a to z arabskim fundamentalizmem, to znów z mafiami i kartelami narkotykowymi. Ale przecież nie z tęczową zarazą. A skąd! Naturalnie błędem byłoby umiejscowienie nowej Sodomy między Nowym Jorkiem a Los Angeles, o miano stolicy ubiega się przecież Bruksela, aspiracje zgłasza też Berlin, Paryż także, jak zwykle, podnosi paluszki do góry. Tak czy inaczej jakoś gorzej czyta mi się od dłuższego czasu felietony Wojciecha Cejrowskiego, choć ten znakomity autor nie wychwala już Stanów Zjednoczonych jak wprzódy, wciąż uważając je jednak za ojczyznę wolności.

Skala zainteresowań Pawła Lisickiego jest ogromna. Jawi się przy tym jako wytrawny, ale i bardzo krytyczny czytelnik, i dlatego upowszechniając poznane treści czy polemizując z nimi, pyta np.: „Jak to się właściwie stało, że człowiek o dość przeciętnej umysłowości, banalista, ignorant i hucpiarz zrobił tak nieprawdopodobną karierę, zyskując sobie miano światowego guru, wybitnego filozofa, proroka i krynicy mądrości?". On sam nie umie odpowiedzieć, ja tym bardziej, bo o intelektualnej wadze takich dajmy na to „21 lekcji na XXI wiek" Yuvala Noaha Harariego (o tego izraelskiego historyka tu chodzi) nie mogę rzec nic poza konstatacją: nie dostrzegłem. Ale może premier Morawiecki mógłby nas pod tym względem dokształcić, zawarł przecież znajomość z tym osobistym nieprzyjacielem Pana Boga, co jak na szefa prawicowego rządu, w co drugim zdaniu podkreślającego chrześcijańskie korzenie Europy, wydaje się dość osobliwe. No, ale może premier chciał się po prostu ogrzać przy celebrycie, bo za takiego Harari od biedy mógłby uchodzić. Podobnie jak Olga Tokarczuk, o spotkanie z którą usilnie zabiegał swego czasu prezydent Duda, a prezes Kaczyński chwalił się, że nabył nawet „Księgi Jakubowe" i tę książkę, określoną przez Lisickiego jako „strasznie pretensjonalna", „ciężka i toporna", zamierza przeczytać. Refleksji po lekturze zabrakło.

„Imperium Sodomy" Pawła Lisickiego przynosi oczywiście, bo do tego już się przyzwyczailiśmy, całą masę znakomitych analiz sytuacji, w której znalazł się Kościół katolicki przeżywający przy papieżu Franciszku jeśli nie zapaść, to ciężki stan chorobowy, jak również przykładów czyszczenia pamięci dokonywanej w imię rzekomej dziejowej sprawiedliwości, wreszcie iście apokaliptycznych wizji przyszłości, do której zmierzają rewolucjoniści naszych czasów marzący o Wielkiej Rewolucji już nie Francuskiej czy Rosyjskiej, ale wszechświatowej. Ale za szczególnie istotne – ze względu na ich aktualność – uznałbym fragmenty „Imperium Sodomy" odnoszące się do wojny Rosji z Ukrainą. Zwraca bowiem uwagę Lisicki na ewidentnie przemilczane u nas albo bardzo tendencyjnie interpretowane te wystąpienia Putina, w których przedstawia on tę swoją wojnę jako coś w rodzaju współczesnej krucjaty w obronie (!) tradycyjnych, konserwatywnych wartości. Pytał więc retorycznie rosyjski przywódca: „Czy w Rosji naprawdę chcemy mieć rodzica 1, 2, 3 zamiast matki i ojca? Czy chcemy, aby nasze dzieci były poddawane zmianie płci? To wygląda na satanizm".

Powiedzieć, że to diabeł ubrał się w ornat i na mszę dzwoni ogonem, nie wystarczy. Czy naprawdę, występując przeciw imperializmowi, musimy najpierw nałożyć opaskę w barwach tęczowych czy, zdaniem niżej podpisanego, wymiotnych? ©℗

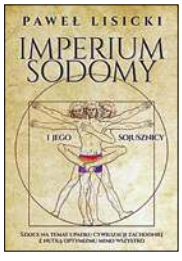

★★★★★☆
PAWEŁ LISICKI „IMPERIUM SODOMY I JEGO SOJUSZNICY"
FRONDA, WARSZAWA 2023

eprasa.pl 847107cd88

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Surowy i zakochany

Zazdroszczę Krzysztofowi Masłoniowi wielu rzeczy: wszystkich spotkań i wywiadów z największymi tuzami polskiej literatury, imponującej wiedzy, znakomitej pamięci (potrafi znienacka poinformować autora, że jakieś słowo użyte przez niego raz na 500 stronach powieści znaleźć można było wcześniej tylko u Gustawa Morcinka). Ale nade wszystko zazdroszczę Masłoniowi umiejętności mistrzowskiej syntezy. Oto Lem w pigułce: „Pieklił się, kiedy traktowano science fiction jako gorszą odmianę literatury, ale sam pisał o niej jak najgorzej". Celniej i zwięźlej już się nie da.

„Klątwa sprzeczności. Sylwetki dwudziestowiecznych pisarzy" sprawiła mi równie wiele przyjemności jak świetni „Filozofowie (w trzech słowach)" Piotra Nowaka. Metoda jest podobna: w krótkich szkicach połączyć znawstwo tematu i przenikliwość opinii z anegdotą. Nowakowi wyszła niechcący ponura panorama polskiej filozofii po 1945 r. Z opowieści Masłonia wyłania się natomiast barwna historia polskiej literatury XX stulecia, bo i materiał wyjściowy miał ciekawszy. Wbrew wybiórczej pamięci podręczników i salonowej krytyki świetnych pisarzy mieliśmy mnóstwo, i w PRL, i na emigracji. Wielu wyciąga Masłoń z niebytu. Kto dziś pamięta o Dygacie czy Zawieyskim? Kto czyta Brychta, wspomina Pawła Hertza?

Zdarza się i tak, że książki wielkie, ale człowiek świnia. Prokuratorem jest autor pracowitym i drobiazgowym, sędzią nieugiętym. Bo tak być powinno – wspomnieć trzeba, że to Stanisław Ryszard Dobrowolski napisał „Warszawskie dzieci, pójdziemy w bój", hymn święty dla AK-owskiej młodzieży walczącej w powstaniu, ale ten sam poeta skończył jako wyjątkowo nieprzyjemna kreatura wysługująca się komunistycznej władzy (łącznie z publicznymi deklaracjami, że wstydzi się za Radom i Ursus).

Ze wzruszeniem czytam szkice o pisarzach szczególnie bliskich memu sercu: Jan Józef Szczepański, Zygmunt Kubiak. Z zaciekawieniem o tych, których pamiętam tylko z wystaw PRL-owskich księgarń, bośmy omijali te nazwiska (Bohdan Czeszko). Jeśli kogoś wam braknie, to znajdziecie ich portrety w poprzednich książkach Masłonia: „Od glorii do infamii" i „W pisarskim czyśćcu". Literatura to sprawa zbyt poważna, by jej twórcom pobłażać, i zbyt piękna, by na siłę szczędzić im pochwał. Jest więc Masłoń krytykiem i surowym, i wciąż zakochanym. Tego też mu zazdroszczę. ©℗

★★★★★☆

KRZYSZTOF MASŁOŃ „KLĄTWA SPRZECZNOŚCI" ZYSK I S-KA 2023

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Dzieje rosyjskiego imperializmu od schyłku epoki carów do rządów Putina (ze szczególnym uwzględnieniem jego „dorobku" jako Wielkiego Historiografa). Opis fenomenu, którego grozy wciąż świat nie rozumie.

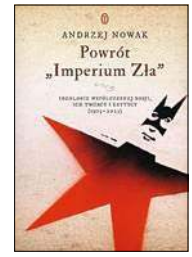

ANDRZEJ NOWAK „POWRÓT IMPERIUM ZŁA" WYDAWNICTWO LITERACKIE

Stany Zjednoczone inaczej – już nie utęskniona kraina wolności, lecz naród podzielony jak nigdy wcześniej: szaleństwa BLM, kłopoty z systemem emerytalnym, młodzi w długach na całe życie. Co dalej?

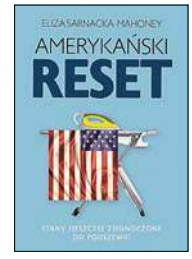

ELIZA SARNACKA-MAHONEY „AMERYKAŃSKI RESET" FRONDA

Opowieść z dwóch światów: Anglia późnych lat 40., gdy Margo prowadziła pensjonat w Bournemouth, oraz Korfu lat 30., gdzie mieszkała z braćmi, których znacie: starszy to Lawrence, a młodszy to Gerald Durrell.

MARGARET DURRELL „CO SIĘ STAŁO Z MARGO?" NOIR SUR BLANC

Teksty krytyczne klasyka polskiej grozy (a także wywiady z Grabińskim) plus imponujący zbiór recenzji i poświęconych mu tekstów, od Irzykowskiego, przez Parandowskiego, do Lechonia. Wybór: Krzysztof Grudnik.

recenzuje Piotr Gociek

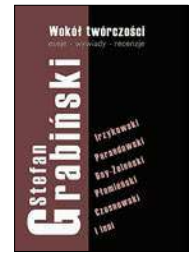

AUTORZY RÓŻNI „STEFAN GRABIŃSKI – WOKÓŁ TWÓRCZOŚCI" WYDAWNICTWO IX

KOMIKS TYGODNIA: „BRINDILLE"

W lesie zamieszkanym przez mały ludek i mówiące zwierzęta pojawia się tajemnicza dziewczyna. Nie pamięta, kim jest ani skąd się wzięła. Ci, którzy ją ocalili, nazwą ją Gałązką. Dlaczego jej śladem podążają łowcy cieni? Dwa pierwsze albumy serii „Brindille" – bajkowej fantasy z mrocznym podglebiem przypominającej momentami słynną serię „Gnat" Jeffa Smitha, ale wciąż w duchu najlepszych dokonań komiksu francuskiego. ***Piotr Gociek***

FEDERICO BERTOLUCCI, FRÉDÉRIC BRRÉMAUD „BRINDILLE. ŁOWCY CIENI" SCREAM COMICS 2023

eprasa.pl 847107cd88

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Kolory Fridy Kahlo

Jej życie naznaczone było cierpieniem. W wieku sześciu lat zachorowała na polio, które pozostawiło ślady w ciele – jej prawa noga była wyraźnie krótsza niż lewa. Frida prawdopodobnie miała także wrodzony rozszczep kręgosłupa. Jakby tego było mało, jako nastolatka doznała koszmarnych obrażeń w zderzeniu autobusu i tramwaju, m.in. licznych złamań, w tym kręgosłupa, miednicy i prawej nogi w 11 (!) miejscach, przebicia podbrzusza i macicy przez metalową barierkę autobusu. Miesiące w odlewie gipsowym, brak szans na potomstwo, ponad 35 operacji i ból do końca życia. Trudnego także z innych powodów.

Nic dziwnego, że cierpienie w jej sztuce to częsty motyw. Poszukująca własnej tożsamości artystka mocno nawiązywała do kultury meksykańskiej i indiańskiej. Na wystawie w Łazienkach zobaczyć można tylko trzy jej obrazy („Tam wisi moja sukienka", 1933, „Kokosy", 1951 oraz „Martwa natura z arbuzami", 1953), a także – za sprawą m.in. zdjęć – poznać lepiej tę niezwykłą postać, jedną z najciekawszych artystek XX w. ©℗

FOT. IMOGEN CUNNINGHAM TRUST

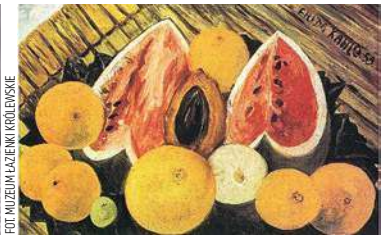

FOT. MUZEUM ŁAZIENKI KRÓLEWSKIE

GDZIE? ***Łazienki Królewskie, Podchorążówka***
KIEDY? ***do 3 września***

FOT. MUZEUM PODKARPACKIE W KROŚNIE

RZYM NA PODKARPACIU

Wystawa gromadzi w jednym miejscu przedmioty z terenu Imperium Rzymskiego będące na co dzień w posiadaniu różnych placówek muzealnych. Broń, ozdoby, przedmioty codziennego użytku mieszkańców imperium, także jego najdalszych prowincji. Są tu eksponaty pochodzące z wykopalisk prowadzonych na terenie Polski, których odkrycie na tych ziemiach unaocznia, jak silne i jak daleko sięgające były wpływy Rzymu w czasie jego największej potęgi. ©℗

GDZIE? ***Muzeum Podkarpackie w Krośnie***
KIEDY? ***do września***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Halucynacyjne dojrzewanie

Punktem wyjścia do powstania albumu była książka Harvey „Orlam", która stanowi połączenie epickiego poematu ze scenariuszem filmowym. Obok Iry-Abel głównymi postaciami są upiorny żołnierz Wyman-Elvis i tytułowy Orlam, czyli gałka oczna baranka, która służy jako wyrocznia.

Choć brzmi to skomplikowanie, to album składa się z 12, jak na Harvey „lekkich" piosenek. Ich treść nie zawsze jest zrozumiała, gdyż Angielka wplata w swoje piosenki stary dialekt z jej rodzinnego Dorset oraz ukryte zwroty i nazwy (np. Elvis oznacza wszechmądrego). Jak twierdzi sama autorka, są to nie tyle piosenki, ile poematy, w których bardziej chodzi o nastrój, a nie o zrozumiałą treść. Do brzmienia słów dodana jest adekwatnie muzyka, w której powstaniu ważną rolę odegrali długoletni współpracownicy John Parish i producent Flood. Urzekającemu, a zarazem przerażającemu psych-folkowi towarzyszą pasaże jakby żywcem wyjęte ze ścieżki do filmu „Czarnobyl" Hildur Guðnadóttir. Taka halucynacyjna mieszanka pozwala Harvey przechodzić od rzeczywistości do przestrzeni sennych marzeń.

Tę autobiograficzną płytę, której znaczenia słuchacz musi sam rozszyfrowywać, posługując się m.in. tropami zapisanymi na okładce, PJ Harvey przedstawi w Warszawie na dwóch październikowych koncertach. Problem w tym, że bilety zostały już sprzedane. ©℗

★★★★★★
PJ HARVEY
„I INSIDE THE OLD YEAR DYING"
PARTISAN

★★★★☆☆
SIGUR RÓS
„ÁTTA"
BMG
Islandzcy marzyciele uwielbiani przez filmowców wydali kolejny album oparty na spowolnionych dźwiękach, ambientowej elektronice, orkiestrowych aranżacjach i żałobnym falsecie lidera Jónsiego. Átta w języku duńskim oznacza „8". Jest to tytuł ostatniego, ukrytego utworu.

★★★★★☆
MESHELL NDEGEOCELLO
„THE OMNICHORD REAL BOOK"
BLUE NOTE
Rzadko zdarza się, by opowieść o bólu i depresji przybrała tak wyrafinowaną formę artystycznej wypowiedzi. Czarnoskóra basistka wraz z blisko 30 muzykami i wokalistami w natchnieniu kroczy między folk-soulem, funkiem, afrobeatem i nu jazzem.

eprasa.pl 847107cd88

Sport białego człowieka

Iga Świątek na Wimbledonie

FOT. ROBERT PRANGE/GETTY IMAGES

Krzysztof Masłoń

Wpatrzony przez dwa tygodnie w ekran telewizyjny dałem się zwieść ułudzie, że świat znormalniał, a wszelkich jego poprawiaczy i modernistów zasłużenie szlag trafił. Że tradycja niesie wartości nie do przecenienia, elegancja może być naturalna, uśmiech niewymuszony, a truskawki z bitą śmietaną wsparte kieliszkiem szampana to większy przysmak niż karkówka z grilla popita piwnym czteropakiem. A uganianie się za piłeczką po korcie ubranych na biało pań i panów poza tym, że budzi niesłychane wręcz emocje, jest całkiem ważnym elementem czegoś, co nazywane było przez lata – może i niepoprawnie, ale za to zrozumiale – cywilizacją białego człowieka.

Wiem, wiem, że cywilizacji tej nie byłoby, gdyby nie krew, pot i łzy niewolników. Ale czy z tego powodu mam się nie zachwycać tym, co od 1877 r. dzieje się w londyńskim Wimbledonie? Czy nie mogę wierzyć, że obowiązkowe białe stroje tenisistów grających przy Church Road symbolizują czystość sportowej rywalizacji i przestrzeganie fair play? Być może przesadne jest pilnowanie na najsłynniejszym turnieju tenisowym na świecie, by trawa na korcie była ośmiomilimetrowa, nie siedmio- ani nie dziewięcio-, ale mi się to podoba dokładnie tak samo, jak nie spodobało mi się usunięcie w zeszłym roku z tablic zwyciężczyń tytułu „Miss" oraz „Mrs", bo poza wszystkim innym stanowiło to wyłom w czymś, co zdawało się nienaruszalne. Na szczęście, wciąż nad Tamizą mówi się i pisze nie o grze „men" i „women", a „gentlemen" i „ladies".

Oczywiście w naszym najgorszym ze światów zmienić można wszystko, a już taki Wimbledon bez najmniejszych kłopotów. W końcu co za problem wprowadzić rywalizację transwestytów, a tenisistów poprzebierać w kolorowe, najlepiej tęczowe szmatki, co postuluje Australijczyk Pat Cash, skądinąd triumfator turnieju z roku 1987? Jego zdaniem bowiem tenis – podobnie jak koszykówka – to kolorowa gra.

No więc nie. Istnieje sport białego człowieka, tak jak np. malarstwo (ukłony dla Waldemara Łysiaka!). Nie kto inny, jak biali Angole wymyślili i – co może ważniejsze – skodyfikowali zasady rozmaitych gier, w tym nie tylko takich jak krykiet i rugby, lecz także piłka nożna. Tenis oczywiście także, a może przede wszystkim, bo Wimbledon to coś takiego jak katedra, no może nie w Canterbury, ale powiedzmy – westminsterska. Nawet pochodząca mniej więcej z tego samego czasu (mowa o katedrze, nie o opactwie). A Wimbledon jest całkowicie poza konkurencją, bo rywalizuje tylko z „openami": australijskim, amerykańskim, a od niedawna także francuskim, bo mamy już przecież French Open, a nie Rolanda Garrosa. Tu porównania z katedrami daruję sobie, bo a nuż jakimś działaczom Black Lives Matter przyjdzie do głów puścić je z dymem. Precedensy są.

Turniej wimbledoński pokazywał nam w tym roku, tradycyjnie już, Polsat. I, niezależnie od takich czy innych zgłaszanych już pretensji, do których dorzucić muszę nazbyt rozszczebiotane i sfraternizowane grono eksperckie, osobiście wdzięczny jestem stacji, a to za komentarze Tomasza Tomaszewskiego. Słucha się ich ze ściśniętym sercem, bo to tak, jakby mówił do nas niezapomniany Bohdan Tomaszewski, ojciec Tomasza. Ta sama barwa, ta sama modulacja!

Roznamiętniam się nad Wimbledonem nie bez powodu. Imprezy sportowe są bowiem jedynymi rodzynkami w napęczniałych od powtórek telewizyjnych ramówkach. I traf chciał, na korty w Londynie przełączyłem się niemal od razu po zakończeniu europejskich igrzysk w Krakowie i okolicach transmitowanych przez TVP. Igrzyska te, organizowane po raz trzeci (poprzednio w Azerbejdżanie i na Białorusi), ocenione zostały – w zależności od politycznych preferencji oceniających – jako promocyjny sukces lub klęska. Pod względem sportowym udowodniły zaś, że lekkoatletyce nie pomagają pomysły w rodzaju wyścigów sztafet mieszanych, a już na pewno popisy czempionów w rodzaju Caster Semenyi, które mocno nadwątliły kibicowską cierpliwość. Zaserwowane na małopolskich igrzyskach przeliczniki, zgodnie z którymi zwycięzcy nie dostawali medali, bo gdzie indziej, na innych zawodach, ktoś osiągnął lepszy wynik, już ewidentnie mijają się z rozumem.

I pomyśleć, że za przykładem Anglików nazywaliśmy kiedyś średniodystansowców „milerami", a boks „szlachetną szermierką na pięści". Dziś, dzięki europejskim igrzyskom, wiem, co to jest muay thai (boks tajski), a co teqball (ping-pong połączony z piłką nożną). Może i rozpościera się przed tymi dyscyplinami sportowymi świetlana przyszłość, ale tym bardziej tęskno mi za sportem białego człowieka. ©℗

eprasa.pl 847107cd88

Piotr Semka

Wspólne obchody uroczystości wołyńskich zarówno w Łucku, jak i w Warszawie pokazały zdolność obu państw do wspólnego uczczenia ofiar mordów. I to już jest bardzo dużo. Szczególnie w kontekście wysuwanych niezwykle szybko potępień Ukrainy, że nie chce uczestniczyć we wspólnych obchodach

Wizualny symbol – dwóch prezydentów niosących znicze pamięci ku ołtarzowi – robił jak najlepsze wrażenie FOT. JAKUB SZYMCZUK/KPRP

Krok

Ożywioną dyskusją zakończyła 80. rocznica zbrodni ukraińskich nacjonalistów na polskiej ludności cywilnej na Wołyniu. Czy gesty strony ukraińskiej można uważać za satysfakcjonujące czy też Kijów nadal prowadzi politykę uników? Sprawę warto dogłębnie zanalizować, ponieważ wydarzenia rocznicowe mamy już za sobą.

OFIARY UCZCILIŚMY RAZEM

Ponieważ poszczególne etapy wydarzeń związanych z rocznicą rozłożyły się między 7 a 11 lipca, mogliśmy być świadkami swoistej huśtawki emocji. Najpierw mieliśmy wspólne uroczystości w katedrze warszawskiej przedstawicieli Episkopatu Polski i Synodu Kościoła Greckokatolickiego na Ukrainie. Arcybiskup Stanisław Gądecki bardzo wyraźnie w swoim kazaniu zaapelował o umożliwienie odnalezienia masowych grobów Polaków zamordowanych na Wołyniu i godnego pochówku ofiar. Bardzo wyraźnie też nazwał ludobójstwem to, co działo się na Wołyniu.

Wspólne oświadczenie polsko-ukraińskie miało o wiele bardziej ogólnikowy charakter, ale było jednak ważnym uznaniem godności ofiar, które zginęły 80 lat temu. Mimo tak wyraźnych deklaracji ze strony abp. Gądeckiego na konferencję prasową hierarchów polskich i ukraińskich wszedł ks. Isakowicz-Zaleski, razem z najstarszymi świadkami masakry, i zakłócił jej przebieg demonstracją z żądaniem rozpoczęcia ekshumacji. Najwyraźniej ks. Isakowicz-Zaleski nie zauważył, że wezwanie do godnego pochówku ofiar padło w czasie kazania abp. Gądeckiego w katedrze. Trudno, by ks. Isakowicz-Zaleski mógł je usłyszeć, skoro już wcześniej zapowiedział, że zbojkotuje uroczystości w warszawskiej katedrze.

To jednak spowodowało, że zakłócenie konferencji prasowej hierarchów było swoistym wyważaniem otwartych drzwi. Miało ono sens jedynie w tym wymiarze, że abp Szewczuk nie odniósł się do apelu abp. Gądeckiego o ekshumację. Czy jednak usprawiedliwiało to dość gwałtowne najście na salę Pałacu Biskupów w Warszawie, gdzie odbywała się konferencja prasowa? Oczywiście nie bez winy była też obsługa pałacu, która zawiadomiła policję i doprowadziła do sytuacji, w której młoda i niedoświadczona funkcjonariuszka bezskutecznie wzywała ks. Isakowicza-Zaleskiego i Wołyniaków do opuszczenia sali. Takie sprawy załatwia się inaczej.

Późniejsza wizyta premiera Morawieckiego na miejscu jedynej odbywającej się obecnie ekshumacji w Puźnikach koło Buczacza była oczywiście ważnym gestem, ale środowisko rodzin wołyńskich wskazywało, że jest to teren byłej Małopolski Wschodniej, a nie Wołynia. Dopiero w sobotę 8 lipca pojawienie się władz Ukrainy w katedrze w Łucku na mszy ekumenicznej za dusze ofiar masakry wołyńskiej rozwiało obawy, że polscy przywódcy będą czcić dzień 11 lipca wyłącznie we własnym gronie. Przyjazd prezydenta Ukrainy do Łucka pokazał, że głowa państwa ukraińskiego traktuje te wydarzenia poważnie. Można oczywiście zapytać, dlaczego obecności ukraińskiego przywódcy na wspólnej mszy nie zapowiedziano wcześniej. Jednak w wypadku prezydenta, który musi się liczyć z rakietowym atakiem rosyjskim na miejsce swojego pobytu, takie utrzymywanie do końca tajemnicy nie jest czymś dziwnym.

Wizualny symbol – dwóch prezydentów niosących znicze pamięci ku ołtarzowi – robił jak najlepsze wrażenie. Jedyne, co wzbudziło pewne wątpliwości, to użycie formuły „niewinne ofiary Wołynia". Oczywiście lepszym określeniem byłoby „niewinne ofiary masakry wołyńskiej",

eprasa.pl 847107cd88

po kroku

ale na to najwyraźniej jest jeszcze po stronie ukraińskiej za wcześnie. O tym, że mógł to być nieszczęśliwy skrót myślowy, może świadczyć to, że gdy 11 lipca do Warszawy przybył przewodniczący Rady Najwyższej Ukrainy, Rusłan Stefanczuk, wraz z ministrem kultury Ukrainy, Ołeksandrem Tkaczenką, przy zapalaniu znicza pod pomnikiem ofiar ludobójstwa na skwerze Wołyńskim w Warszawie obie strony używały już określenia „hołd dla niewinnych ofiar rzezi wołyńskiej".

Tak więc można stwierdzić, że wspólne obchody uroczystości wołyńskich zarówno w Łucku, jak i w Warszawie pokazały zdolność obu państw do wspólnego uczczenia ofiar mordów. I to już jest bardzo dużo. Szczególnie w kontekście wysuwanych niezwykle szybko potępień Ukrainy, że nie chce uczestniczyć we wspólnych obchodach.

CO SIĘ UDAŁO, A CO NIE

Uczciliśmy sekwencje dni między 7 a 11 lipca razem. Uroczystości z udziałem duchowieństwa – i to nie tylko katolickiego oraz greckokatolickiego, lecz także prawosławnego – miały w sobie wiele z ducha pojednania polsko-ukraińskiego, do którego wzywał św. Jan Paweł II. Być może najważniejsze dla bolesnej dla Polaków sprawy braku ekshumacji było wspólne oświadczenie ministrów kultury Polski i Ukrainy, że jeszcze w lipcu we Lwowie spotkają się członkowie ukraińsko-polskiego zespołu ds. pamięci. Dodatkowo premier Morawiecki ujawnił, że rozmawiał na ten temat z szefem ukraińskiego parlamentu podczas jego pobytu w Warszawie.

Zobaczymy, czy lwowskie spotkanie otworzy furtkę do dalszych prac ekshumacyjnych. Polski argument, że nierozwiązywanie tej sprawy daje paliwo rosyjskiej propagandzie do skłócania Polaków i Ukraińców, jak się zdaje, wysłuchane było z pełną powagą przez polityków ukraińskich. Czego nie usłyszeliśmy ze strony Ukraińców? Gotowej deklaracji, że dadzą zielone światło do ekshumacji, z którą minister kultury mógł przyjechać już do Warszawy. Dlaczego teraz ma wałkować ten temat wspólna grupa przedstawicieli Polski i państwa ukraińskiego, skoro kwestia pochówku jest dosyć elementarnym wymogiem cywilizowanych państw? Taka otwartość ukraińska mogła być zadeklarowana w Łucku czy w Warszawie, więc jej brak rozczarowuje.

Nie spełniły się też oczekiwania, że Zełenski przeprosi w imieniu narodu ukraińskiego za to, co się działo na Wołyniu 80 lat temu. Zauważając ten dyplomatyczny unik, zwróćmy jednocześnie uwagę, że w polskiej świadomości w ogóle nie zaistniał gest poprzedniego prezydenta Petro Poroszenki, który klęknął przed krzyżem wołyńskim w Warszawie w 2016 r. Wielu Ukraińców liczyło, że ten gest, choć niemy, będzie funkcjonował jednak w zbiorowej świadomości Polaków. Tak się nie stało.

Oczywiście w dyskusji nad unikaniem przez Ukraińców wymienienia UPA z nazwy, nie mówiąc już o potępieniu takich dowódców jak np. Roman Szuchewycz, nie można abstrahować od tego, że oddziały z zachodniej Ukrainy są najbardziej

eprasa.pl 847107cd88

bitnymi i najbardziej istotnymi jednostkami armii ukraińskiej. Gdy w styczniu tego roku głównodowodzący armii ukraińskiej gen. Walerij Załużny z okazji 114. rocznicy urodzin Bandery zrobił sobie filmik pod jego portretem i cytował jego myśli, po wyrażeniu oburzenia przez polski MSZ film szybko wycofano. Po polskiej stronie rzadko analizuje się sytuację prezydenta Wołodymyra Zełenskiego, dla którego priorytetem jest wygranie wojny. Wchodzenie w dyskusję na temat Bandery to ostatnia rzecz, której Zełenski teraz potrzebuje.

Po polskiej stronie rzadko analizuje się sytuację prezydenta Wołodymyra Zełenskiego, dla którego priorytetem jest wygranie wojny

Jeśli podsumować głosy prasowe, które komentowały całą sprawę, to nie sposób milczeć na temat specyficznego wkładu do dyskusji „Gazety Wyborczej". 7 lipca młoda ukraińska dziennikarka Lesya Vakulyuk podzieliła się z czytelnikami „GW" opinią: „Kiedy polscy politycy pokrzykują o Wołyniu, Ukraińcy nie do końca rozumieją, o co chodzi". Żurnalistka z Ukrainy ma oczywiście rację, że wschodni Ukraińcy o Banderze nie słyszeli. Jednak sprowadzanie całej sprawy do kwestii „nie wiedzą nic, co robić" niczego nie wyjaśnia. Jak pisze Lesya Vakulyuk: „Co moja przyjaciółka Karina z Buczy może wiedzieć o zbrodni wołyńskiej? Między jej rodzinnym obwodem ługańskim a Wołyniem jest ponad tysiąc kilometrów. Ona dopiero teraz odkrywa swoją małą ojczyznę. [...] Od prawie 10 lat Ukraina ponownie walczy o niepodległość. Żyjąc dosłownie w podręczniku historii, Ukraińcy jednocześnie próbują odzyskać własną historię, która od dawna była przepisywana i przemilczana. Rosja codziennie dokłada nowe traumy. Najważniejszą rzeczą jest dla nas, jak nie zwariować, jak przetrwać i wygrać. A kiedy nam się uda, będziemy mieli czas, aby poprosić o przebaczenie".

Wywód sprawia wrażenie logicznego, ale ma jedną słabość. Bo skoro głównodowodzący armii ukraińskiej gen. Załużny rozpoczyna 2023 r. od przypomnienia postaci Stepana Bandery, to znaczy, że wszyscy, którzy trzymają za jego dowodzenie kciuki – a są to dziesiątki milionów mieszkańców Ukrainy – siłą rzeczy mają prawo uznać, że Bandera to ktoś jednoznacznie pozytywny. I mają też prawo nie rozumieć, dlaczego filmik z Banderą w wykonaniu gen. Załużnego nagle znika z sieci. Nie da się odłożyć pytania o stosunek Ukraińców do Bandery na jakieś lepsze czasy.

Przy okazji bardzo złe wrażenie robi wymodelowanie przez „Gazetę Wyborczą" tekstu Lesyi Vakulyuk w tonacji „Ukraińcy nic nie wiedzą o Wołyniu, więc po co się ich czepiać". Ten sam dziennik wciąż bije na alarm, że wielu Polakom nazwa Jedwabne nic nie mówi, i wyciąga z tego wniosek, że instytucje edukacyjne muszą włożyć jeszcze więcej wysiłku z docieraniem z wiedzą o tym, co się tego dnia zdarzyło w niewielkim miasteczku na granicy z Kurpiami.

W CIENIU POLITYKI

Osiemdziesiąta rocznica zbrodni na Wołyniu była dla PiS bardzo twardym orzechem do zgryzienia. Rosnący wpływ Konfederacji, która dosyć wyraźnie używa antyukraińskiej karty, wytwarzała ogromną presję na liderów PiS. Z wyzwania tego wyszli stosunkowo obronną ręką. Za to specjalnych oporów przed rzucaniem oskarżenia nie miał np. jeden z liderów Konfederacji, Krzysztof Bosak, który wdał się w dywagacje, czy zdjęcia z wystąpienia premiera Mateusza Morawieckiego nie są aby ustawką. W miejscu, w którym żadnych badań się nie prowadzi. Informacje o tym, czy w Puźnikach są ekshumacje czy nie, naprawdę nie wymagają długiego sprawdzania. Teraz też jednoznacznie Bosak całkowicie lekceważy pojawienie się przywódców ukraińskich na uroczystościach rocznicowych.

Jednak takie dosyć jednoznaczne nastawienie konfederatów nie zmienia faktu, że ton opisywania wydarzeń sprzed 80 lat w ukraińskich mediach też nie przyniósł żadnej specjalnej zmiany. Jak słusznie wskazał publicysta „Do Rzeczy" Maciej Pieczyński, zamiast o ludobójstwie pisano według starego tradycyjnego schematu ukraińskiego o „obopólnych czystkach etnicznych", „tragedii wołyńskiej" i o „wojnie AK i UPA".

I tu widać, że wrażliwość dziennikarzy w Kijowie sprowadza się tylko do zdań typu: „dzień 11 lipca – wieczna pamięć niewinnie zabitych Polaków". Jak sformułował to szef Espreso.tv, Mykoła Kniażycki, który nie wchodził w odpowiedzialność UPA, ale użył tradycyjnej karty: „Ukraińsko-polska tragedia wykorzystywana jest przez różne polityczne środowiska". I pośrednio odrzucił brak symetrii między skalą strat polskich i ukraińskich, pisząc: „Droga pamięci i oddania hołdu każdemu zamordowanemu człowiekowi – i Polakom, i Ukraińcom – jest najlepszą gwarancją tego, że taka tragedia więcej się nie powtórzy".

Ta niezmienność retoryki ukraińskich mediów, które miałyby największe pole do zainicjowania choćby ograniczonej dyskusji na temat ciemnych stron UPA, przypada na okres, kiedy sytuacja Ukrainy znów się pogarsza. Na szczycie w Wilnie nie padło sformułowanie, że nasz wschodni sąsiad jest kandydatem do NATO, a ofensywa armii ukraińskiej, z którą wiązano tyle nadziei, na razie nie przełożyła się na większe zyski terytorialne w starciu z Rosjanami. Oczywiście można podać jako pozytywny przykład cierpliwości ze strony Polski ewolucję w relacjach między Polską a Litwą. W ciągu ostatnich 10 lat niezwykle silnie wpojone w psychikę Litwinów obawy o agresywne zamiary Warszawy i rzekome plany odzyskania Wilna w dużej mierze się rozwiały. Z Litwą utrzymujemy obecnie bardzo dobre relacje, mimo że np. strona litewska nigdy oficjalnie nie przeprosiła za rzeź w Ponarach, w których uczestniczyła część litewskich funkcjonariuszy kolaboracyjnych.

Wszystko to wymaga jednak ogromnej dawki cierpliwości, którą w zderzeniu z wyczuleniem na „ukraińską perfidię" i obawy przed gwałtownym wzrostem państwa ukraińskiego niezwykle trudno lansować w polskiej debacie publicznej. Gwarancji porozumienia nie ma, ale wolę politykę cierpliwości, spokojnego przedstawienia swoich racji od szukania potwierdzeń na tezę, że z Ukraińcami o żadnej prawdzie historycznej dyskutować się nie da.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 847107cd88

Tańce wokół masakry

Łukasz Warzecha

Bilans obchodów 80. rocznicy „krwawej niedzieli" na Wołyniu wykracza poza samą tylko sprawę ukraińskiego ludobójstwa. W tle są także pytania o to, jaka Ukraina będzie po zakończeniu wojny oraz o jakość polskiej klasy politycznej. Część zachowań najważniejszych polskich urzędników budziła bowiem, mówiąc najdelikatniej, głębokie zdumienie

W grze było kilka wątków. Pierwszy to wątek wyborczy. Rządzący musieli rozumieć, a najpewniej dysponowali badaniami pokazującymi, że nie wchodzi w grę prześlizgnięcie się nad rocznicą. W elektoracie PiS jest znacząca część, mocno uwrażliwiona na sprawy pamięci, a już zwłaszcza na wołyńskie ludobójstwo jako wyróżniające się okrucieństwem, a zarazem w odczuciu wielu traktowane po macoszemu przez rządzących. Potwierdza to zresztą niedawny sondaż dla Wirtualnej Polski, w którym aż 53,1 proc. badanych opowiedziało się za tym, że Ukraina powinna Polskę za Wołyń przeprosić (w tym ponad 34 proc. wybrało odpowiedź „zdecydowanie tak"). Przeciwnego zdania było 36,2 proc. (w tym tylko 16,9 proc. odpowiedziało „zdecydowanie nie"). To pokazuje, po której stronie są społeczne emocje, nawet gdyby założyć, że większość respondentów przeciwnych przeprosinom pochodziła z elektoratu Zjednoczonej Prawicy (co wydaje się dość śmiałą hipotezą).

Drugi wątek to stanowisko strony ukraińskiej. Kijów doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że jego upór w kwestii ekshumacji szczątków i ponownych pochówków sprawia rządzącym w Polsce problem i daje do ręki argumenty przede wszystkim Konfederacji, a także PSL, które w tej sprawie jest od dawna konsekwentne. Wynika to z tego, że mordy na Wołyniu, Lubelszczyźnie, w Małopolsce Wschodniej dotyczyły przede wszystkim ludności wiejskiej. To część etosu partii Władysława Kosiniaka-Kamysza. Mimo to Ukraińcy nie są skłonni do ustępstw, a z tego można już wyciągać daleko idące wnioski co do współpracy obu krajów.

Trzeci wątek to ten najbardziej niezależny od polityki: powinności państwa wobec własnych obywateli.

„KRZYŻ Z PATYKÓW"

Bilans we wszystkich trzech kwestiach wypada dla rządzących niekorzystnie. Ci, którym zależy na wołyńskiej pamięci, mają jedynie dwa małe powody do zadowolenia. Pierwszym jest przyjęta jednogłośnie przed rocznicą sejmowa uchwała, której trudno coś zarzucić. Mowa jest w niej wprost o ludobójstwie, o współudziale cywilnej ludności ukraińskiej, o inspiracji OUN i sprawstwie UPA, o ponad 100 tys. pomordowanych, wreszcie o tych prawych Ukraińcach, którzy z narażeniem własnego życia Polaków ostrzegali lub ratowali. Zaznaczono również, że zasadnicze znaczenie ma przeprowadzenie ekshumacji i godnych pochówków. To bardzo celne stanowisko polskiego Sejmu powinno być wytyczną dla wszystkich przedstawicieli Rzeczypospolitej, gdy idzie o odnoszenie się do rzezi wołyńskiej. Tak jednak niestety nie jest, a 11 lipca to wyraźnie pokazał.

Drugi punkt zaczepienia to relatywnie ostra wypowiedź premiera Mateusza Morawieckiego podczas uroczystości przed pomnikiem ofiar rzezi. Szef rządu nie tylko mówił tam o ludobójstwie, lecz także dodał, że zbrodnię tę ze względu na jej drastyczność i okrucieństwo przy uśmiercaniu ofiar należy określić jako genocidium atrox, czyli ludobójstwo potworne. Nie jest to termin prawny – nie pojawia się w Konwencji w sprawie Zapobiegania i Zwalczania Zbrodni Ludobójstwa z 1948 r., która mówi po prostu o ludobójstwie, nie stopniując go. Używali go jednak na opisanie zbrodni ukraińskich prof. Ryszard Szawłowski, znawca koncepcji ludobójstwa autorstwa Rafała Lemkina, oraz Ewa i Władysław Siemaszko, najwybitniejsi badacze tej sprawy. Pan premier zadeklarował, że „nie spocznie", nim ofiary zbrodni nie zostaną godnie pochowane. To jednak tylko słowa, za którymi nawet jeśli idą jakieś działania – czego nie możemy być pewni – to są one rozpaczliwie nieskuteczne i zapewne nadal takie będą.

Dla wielu stanowisko strony ukraińskiej jest niezrozumiałe. Pojawiają się pytania, dlaczego właściwie Kijów trwa przy zarządzonym w 2017 r. zakazie ekshumacji polskich ofiar. Ten zakaz stał się zresztą problemem dla Mateusza Morawieckiego, który próbując w jakiś

eprasa.pl 847107cd88

sposób załagodzić potencjalną złość wyborców na nikłe rezultaty dialogu historycznego z Kijowem, chciał pokazać coś konkretnego. Tyle że nie bardzo było co. Stąd wizyta najpierw w Ostrówkach, które UPA spacyfikowała wraz z pobliską Wolą Ostrowiecką pod koniec sierpnia 1943 r., zabijając ponad 700 osób. W Ostrówkach prowadzono cztery fazy ekshumacji – ostatnie w 2015 r. Kolejne nie były już możliwe z powodu wprowadzonego zakazu. Tam pan premier ustawił krzyż, który w złośliwych komentarzach był przedstawiany jako „krzyż z patyków", oraz złożył kwiaty przed pomnikiem. Co ciekawe, z tego pomnika „nieznani sprawcy" oderwali dawno temu polskie godło, co przygotowujący wizytę Mateusza Morawieckiego nieudolnie zamaskowali biało-czerwoną szarfą. Napis zaś jest charakterystyczny dla ukraińskiej narracji: „Pamięci mieszkańców Ostrówek i Woli Ostrowieckiej, którzy zginęli 30 sierpnia 1943 r.". Czy zginęli w wyniku epidemii, upadku meteorytu czy może trzęsienia ziemi – tego nie wiadomo.

W ukraińskim nacjonalizmie spod znaku OUN-UPA zaszyty jest mocny akcent antypolski. Nie ma gwarancji, że ta emocja kiedyś nie wybuchnie

Dlaczego więc tak właśnie wyglądają ukraińska narracja oraz postępowanie, o czym mogliśmy się przekonać właśnie w okolicach 11 lipca? Jest kilka przyczyn.

STRACH I NACJONALIZM

Pierwsza, o której wspomina ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, to lęk strony ukraińskiej przed tym, co zostanie odkryte w wyniku ekshumacji. Już w Ostrówkach znaleziono wiele szczątków dziecięcych, a przecież nie tylko te nosiły ślady okrucieństw, do których uciekali się mordercy. Te materialne dowody straszliwości popełnianych zbrodni w połączeniu z zebranymi świadectwami byłyby – zdaniem ks. Isakowicza-Zaleskiego – niezwykle kłopotliwe dla Ukrainy.

Druga przyczyna, o której rządzący w Polsce wolą nie dyskutować, to coraz głębsze zrośnięcie się narracji nacjonalistycznej, w centrum której są UPA i OUN oraz postacie Stepana Bandery i Romana Szuchewycza (dowódca UPA ma również na Ukrainie swoje pomniki i ulice), z istotą ukraińskiej tożsamości. Nie jest to tylko hipoteza – mówią o tym członkowie ukraińskiej elity, a także milczenie najważniejszych urzędników ukraińskiego państwa – przede wszystkim samego prezydenta Wołodymyra Zełenskiego, któremu słowo „Wołyń" dotąd nie przeszło przez gardło.

Tuż przed 11 lipca portal Onet opublikował zapis arcyciekawej rozmowy pomiędzy prof. Grzegorzem Motyką, jednym z najbardziej znanych badaczy spraw ukraińskich w Polsce, a Wołodymyrem Wiatrowyczem, znanym z antypolskiego nastawienia byłym prezesem ukraińskiego IPN, a obecnie deputowanym do Rady Najwyższej Ukrainy. Doktor Wiatrowycz mówi w tej rozmowie tak:

„Dla wielu dzisiejszych bohaterów Bandera jest bohaterem. I to nie ulega wątpliwości. Dzisiejsi bohaterowie inspirują się tym, co robili bohaterowie w przeszłości. I pewnie gen. Załużny [gen. Wałerij Załużny, dowódca sił zbrojnych Ukrainy, sfotografował się z portretem Stepana Bandery] to rozumie. Rozumie też, kim się inspirują ukraińscy żołnierze. Propaganda rosyjska jeszcze tę inspirację napędza, robiąc z Bandery główny symbol walki antyrosyjskiej. Historycy mogą toczyć dyskusje na temat działalności UPA. Natomiast jej etos powstańczej walki wykorzystywany jest teraz przez Ukraińców w walce z Rosjanami. Sprzyja temu to, że Rosja nazywa Ukraińców banderowcami, co de facto pomaga nam w walce. Jest pewna moda na UPA, na czerwono-czarne flagi, na powiedzenie »Sława Ukrainie«, na marsz UON, który stał się oficjalnym marszem Sił Zbrojnych Ukrainy. Zapewniam wszystkich, że te symbole nie mają charakteru antypolskiego. Szanujemy UPA za jej działania antysowieckie, a nie antypolskie".

Problem w tym, że dla polskiej strony to słabe pocieszenie. Można by powiedzieć, że Wiatrowycz nie reprezentuje już dzisiaj nikogo poza sobą samym, ale byłoby to zbyt optymistyczne podejście. To, co mówi, ma potwierdzenie w faktach, w tym w powszechnej dzisiaj ikonografii na Ukrainie, w której przerobiony na popową modłę portret Bandery – skądinąd intelektualnie prymitywnego bandyty – zajmuje kluczowe miejsce. Potwierdzają to także nominacje, takie jak Andrija Melnyka na wiceministra spraw zagranicznych. Ludzie tacy jak Wiatrowycz wyrażają ogólny sentyment ukraińskiej elity. W ukraińskim nacjonalizmie spod znaku OUN-UPA zaszyty jest zaś mocny akcent antypolski i nie ma żadnej gwarancji, że w którymś momencie, gdy ujawnią się z pełną mocą już dziś przecież widoczne sprzeczne interesy, ta emocja nie wybuchnie.

Ustawione w Medyce z inicjatywy Młodzieży Wszechpolskiej krzyże upamiętniające Polaków zamordowanych na Wołyniu
FOT. DAREK DELMANOWICZ/PAP

SYMETRYZACJA WIN

Jest w rozmowie prof. Motyki z dr. Wiatrowyczem jeszcze jeden niezwykle pouczający akcent: zawzięte dążenie przedstawiciela strony ukraińskiej do symetryzacji win. My zabijaliśmy, ale i wy zabijaliście, a w ogóle to była wojna, a w czasie wojny ludzie giną, tak już jest. Trzymanie się takiej narracji przez Ukraińców nie jest dziwne. Natomiast bardzo dziwne, a nawet skandaliczne jest, gdy powielają je polscy politycy. A to się niestety działo nawet przy okazji rocznicy ludobójstwa.

eprasa.pl 847107cd88

W ten ton uderzył nawet Mateusz Morawiecki, choć nie w którymś z oficjalnych wystąpień, ale w swoim podcaście, poświęconym rzezi na Kresach. Owszem, powtórzył tam tezę o genocidium atrox, ale dwukrotnie oznajmił, że winni byli także Niemcy, bo gdyby nie zniszczenie polskiego państwa, do zbrodni by nie doszło. Można stosować taką dialektykę, ale jest to rozumowanie bardzo pokrętne. To nie Niemcy narzucili ukraińskim nacjonalistom terror jako metodę walki i nie Niemcy kazali przerzynać żywych ludzi piłami czy kroić nożem brzuchy ciężarnych kobiet. Ba, Niemcom – pomijając

tutaj ich motywację – niektórzy Polacy zawdzięczają ocalenie. Natomiast takie rozmywanie odpowiedzialności bardzo pasuje Kijowowi.

W tym tonie wypowiedział się na Twitterze również minister spraw zagranicznych Zbigniew Rau: „W 80. rocznicę rzezi wołyńskiej oddajemy hołd wciąż bezimiennym ofiarom tamtejszych wydarzeń. Stajemy dziś w zadumie, pamiętając o szacunku i modlitwie za wszystkie ofiary konfliktów zbrojnych. Wierzymy, że tylko wspólne odkrywanie prawdy doprowadzi do trwałego pojednania Polski i Ukrainy". Takie ujęcie nie zdziwiłoby u szefa ukraińskiego MSZ, ale u zwierzchnika polskiego jest czymś niebywałym. Pan minister ujął sprawę tak, jakby mowa była o ofiarach huraganu czy epidemii cholery, a dodatkowo umieścił sprawę w kontekście „wszystkich ofiar konfliktów zbrojnych", czyli wpisał się idealnie w ukraińską narrację.

Jeśli jednak ten wpis nazwiemy skandalicznym, to trudno już będzie znaleźć odpowiednie określenie na to, co zrobił w niedzielę 9 lipca pan prezydent Andrzej Duda. Głowa państwa podłączyła się pod obchody organizowane przez episkopaty polski i ukraiński greckokatolicki. Ta inicjatywa wywoływała w Polsce wiele kontrowersji, bo grekokatolicy stanowią na Ukrainie zaledwie niespełna 9 proc. populacji i trudno Kościół greckokatolicki traktować jako przedstawiciela ukraińskiego społeczeństwa. Już samo to podważa sens tych działań.

Na mszy ekumenicznej w katedrze pw. śś. Piotra i Pawła w Łucku pojawili się prezydenci Andrzej Duda i Wołodymyr Zełenski. W przypadku obu polityków była to jedyna aktywność, związana z rocznicą. Obaj umieścili wpisy identycznej treści: „Razem oddajemy hołd wszystkim niewinnym ofiarom Wołynia! Pamięć nas łączy. Razem jesteśmy silniejsi".

Niektórzy natychmiast przypomnieli panu prezydentowi, jak on i jego formacja gorąco protestowali przeciwko rozmywaniu przez Niemców odpowiedzialności za ich zbrodnie poprzez używanie dziwnej formuły „naziści" – tak jakby była to jakaś odrębna nacja. Tu jest jeszcze gorzej, bo sprawcą śmierci – również nie wiadomo, jak zadanej – jest jakiś „Wołyń". W tym kontekście stwierdzenie „pamięć nas łączy" brzmi jak kpina – bo akurat to właśnie z całą pewnością Polski i Ukrainy nie łączy. Wręcz przeciwnie.

Doprawdy trudno pojąć, dlaczego Andrzej Duda zdecydował się całkowicie rozmyć ukraińską odpowiedzialność za wołyńskie ludobójstwo. Jest w tym jednak wzór: polski prezydent konsekwentnie ignoruje rodziny wołyńskie, poucza ks. Isakowicza-Zaleskiego, sięgając po głęboko PRL-owskie wzorce, opowiada o „bieganiu z widłami", a także wydaje się starać odgadywać z wyprzedzeniem każde życzenie swojego ukraińskiego odpowiednika. Być może wyjaśnienia tego postępowania należy szukać w sferze psychologii, bo doprawdy trudno tu znaleźć wytłumaczenie racjonalne.

Podsumowaniem tego, jak traktowane są polskie postulaty w dziedzinie pamięci przez naszych ukraińskich partnerów, niech będzie twitterowy wpis ambasadora Ukrainy w Polsce, Wasyla Zwarycza, który przecież nie pisze we własnym imieniu, ale przekazuje Polakom stanowisko swoich mocodawców: „11 lipca solidarnie z narodem polskim dziś oddaję hołd wszystkim cywilnym ofiarom – obywatelom II RP, pomordowanym na okupowanych przez III Rzeszę terenach w latach II wojny światowej. Ukraińcy i Polacy są przykładem solidarności dla całej Europy i wolnego świata! Tak to zostanie dla dobra teraźniejszego i przyszłych pokoleń. Musimy o to wzajemnie dbać, także w imię ofiar, którzy doznali bólu ludzkiej nienawiści, aby nigdy więcej nic takiego się nie powtórzyło. W drodze uczciwej współpracy odpowiednich resortów, historyków i badaczy, w duchu przyjaźni i wzajemnego zrozumienia, dalej jesteśmy gotowi razem poznawać karty wspólnej trudnej historii z myślą o godności każdego człowieka i należącym mu godnym pochówku tak w Ukrainie, jak w Polsce".

Oburzenie tymi słowami było powszechne. Pan ambasador nie tylko uniknął wskazania narodowości ofiar i sprawców, lecz także w ostatnim zdaniu ustawił tę samą miarę wobec ofiar i oprawców – bo przecież „godny pochówek w Polsce" dotyczyć ma upowców.

Władza przez 11 lipca jakoś przebrnęła, ale czy wyborcy wrażliwi na sprawę ludobójstwa poczują się usatysfakcjonowani – można wątpić. Jeśli Ukraina nie zrobiła żadnego gestu teraz – a nie zrobiła go również dlatego, że nie postawiliśmy jej nigdy żadnych warunków – to dlaczego miałaby je zrobić w przyszłości, po zakończeniu wojny, gdy Polska nie będzie już w żadnym stopniu atrakcyjna jako partner?

Po raz kolejny dostaliśmy czarno na białym dowody na to, że Ukraina traktuje Polskę całkowicie utylitarnie, a polskie władze na to pozwalają z jakąś perwersyjną, masochistyczną satysfakcją. Tymczasem przekonanie o wzajemnym uczuciu obu narodów i ich elit to bajka dla naiwnych. Niestety – bajka, przy której trwanie może w końcu zagrozić polskiej racji stanu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 847107cd88

Przypadki fałszerza od Wałęsy

Grzegorz Majchrzak

Kim był człowiek, który podrabiał donosy tajnego współpracownika pseudonim Bolek, czyli Lecha Wałęsy już po formalnym zakończeniu współpracy w 1976 r.? Odpowiedź wydaje się oczywista – jednym z wielu funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa. Czy jednak na pewno?

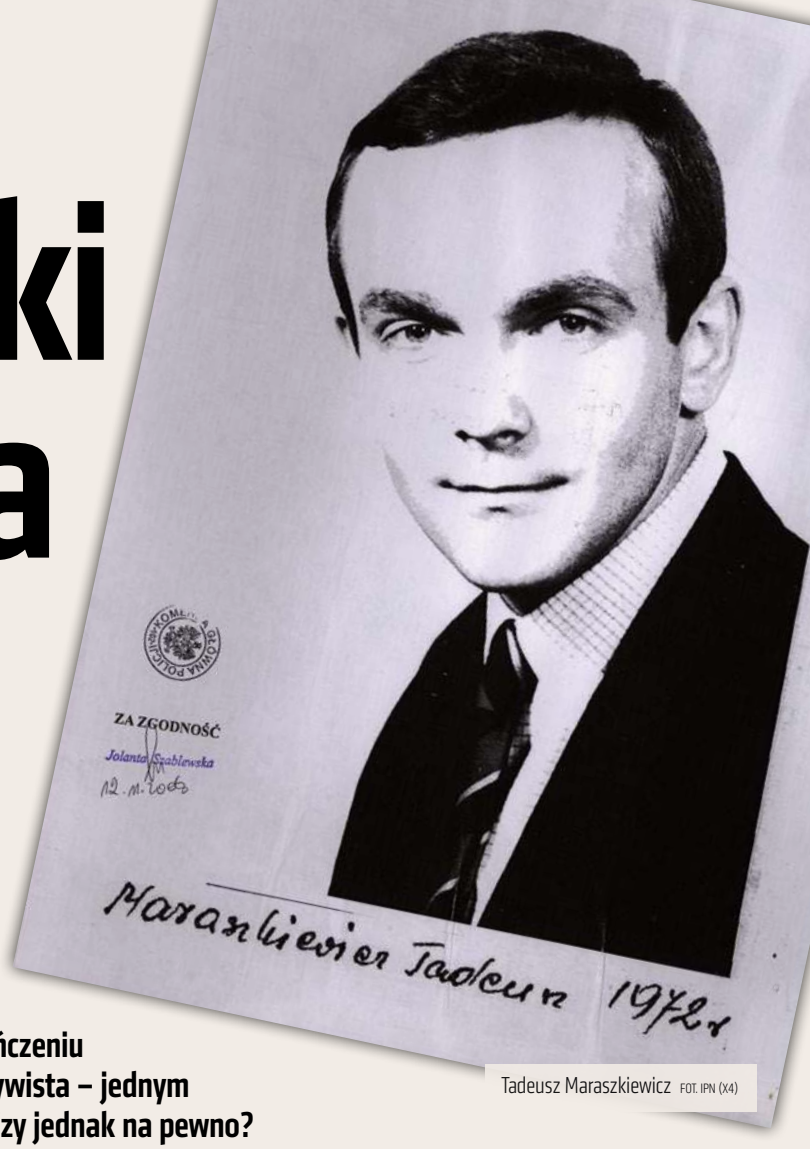

Tadeusz Maraszkiewicz FOT. IPN (X4)

Tadeusz Maraszkiewicz, bo nim mowa, był niewątpliwie esbekiem nietuzinkowym – z jednej strony prawdziwym artystą, wybitnym specem od podrabiania pisma, a z drugiej niepoprawnym gadułą i krytykiem polityki władz PRL, co z kolei sprowadzało na jego głowę kłopoty. Nie tylko zresztą to, ale po kolei.

Do pracy w Służbie Bezpieczeństwa, a konkretnie w Departamencie Techniki MSW Maraszkiewicz został przyjęty w październiku 1972 r. na stanowisko starszego referenta (w stopniu starszego sierżanta). Był wyróżniającym się pracownikiem w sekcji, która zajmowała się tzw. legalizacją krajową, czyli przygotowywała fałszywe dokumenty na potrzeby SB. Ceniono go za „wyjątkowe predyspozycje do naśladowania i odtwarzania pisma i podpisów". Jego umiejętności początkowo wykorzystywano na potrzeby meldunków legalizacyjno-operacyjnych. Swoją pracę wykonywał dokładnie i sumiennie. Mało tego, miał również przejawiać wiele inicjatywy i samodzielności.

WZLOTY I UPADKI

Jego bezpieczniacka kariera załamała się w 1976 r. W lutym tego roku podczas wyjazdu na teren województwa bydgoskiego „wdał się w dyskusję z postronną osobą", w czasie której miał „podać szereg informacji o charakterze służbowym". Na jego nieszczęście tymi osobami okazali się inni funkcjonariusze. Za naruszenie zasad konspiracji pracy legalizacyjnej został więc ukarany (w maju 1976 r.) ostrzeżeniem o niepełnej przydatności na zajmowanym stanowisku. Ten „zimny prysznic" spowodował „oczywistą poprawę" w jego zachowaniu. W ciągu nieco ponad pół roku od momentu ukarania jego „szczególne zdolności manualne" wykorzystano nie tylko w wielu „bardzo poważnych" sprawach operacyjnych prowadzonych przez resort spraw wewnętrznych, lecz także w działaniach Sztabu Generalnego Wojska Polskiego (najprawdopodobniej Zarządu II). Wobec takiej postawy przełożeni podjęli decyzję (w grudniu 1976 r.) o zatarciu nałożonej na niego kary.

Nie byli jednak skłonni podnieść pensji Tadeusza Maraszkiewicza. Ponieważ jego kilkukrotne rozmowy z kierownictwem departamentu nie przyniosły żadnych finansowych efektów, w kwietniu 1977 r. złożył on raport o zwolnienie ze służby. Pisał w nim: „Prośbę swą motywuję tym, iż w chwili obecnej rodzina moja składa się z trzech osób: 2,5-letniego syna i niepracującej, wychowującej dziecko żony, a zarobki moje nie wystarczają mi na utrzymanie". Jednak na jego odejście nie wyrażono zgody. I dopiero wtedy zdecydowano się podnieść jego pensję (m.in. podwyżka dodatku od

eprasa.pl 847107cd88

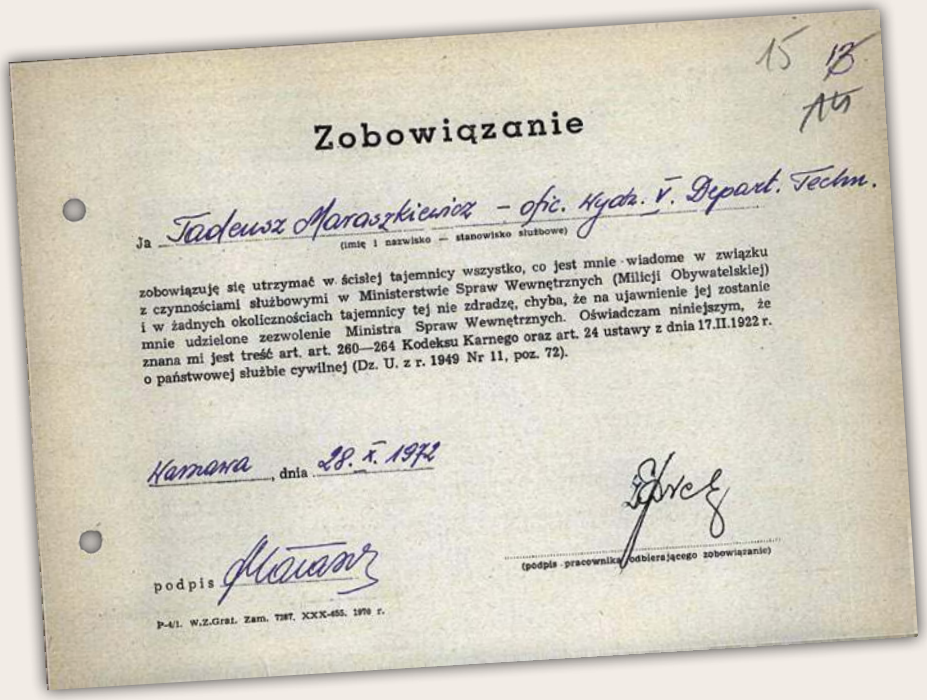

15 ~~13~~ ~~14~~

Zobowiązanie

Ja Tadeusz Maraszkiewicz – ofic. Hydr. V. Depart. Techn.
(imię i nazwisko — stanowisko służbowe)

zobowiązuję się utrzymać w ścisłej tajemnicy wszystko, co jest mnie wiadome w związku z czynnościami służbowymi w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych (Milicji Obywatelskiej) i w żadnych okolicznościach tajemnicy tej nie zdradzę, chyba, że na ujawnienie jej zostanie mnie udzielone zezwolenie Ministra Spraw Wewnętrznych. Oświadczam niniejszym, że znana mi jest treść art. art. 260—264 Kodeksu Karnego oraz art. 24 ustawy z dnia 17.II.1922 r. o państwowej służbie cywilnej (Dz. U. z r. 1949 Nr 11, poz. 72).

Kamara, dnia 28. X. 1972

podpis Maraszkiewicz

(podpis pracownika odbierającego zobowiązanie)

P-4/1. W.Z.Graf. Zam. 7287. XXX-455. 1970 r.

zajmowanego stanowiska z 1900 do 2400 zł). Zapewne nie bez wpływu na taki krok był fakt jego uczestnictwa „w realizacji wielu tematów dla potrzeb Departamentu I MSW [czyli wywiadu – przyp. G.M.]". Z czasem Maraszkiewicza awansowano na młodszego chorążego. Jak stwierdzano w lutym 1980 r. mimo iż należał w resorcie spraw wewnętrznych do mniejszości – był bezpartyjny – to „swój stosunek do Partii i jej polityki potwierdzał na co dzień zaangażowaniem, rzetelnie wykonywaną pracą oraz aktywnym uczestnictwem w szkoleniu partyjno-politycznym".

W 1982 r. (jako czołowy fałszerz od podrabiania pisma ręcznego) został oddelegowany czasowo do Biura Studiów MSW, gdzie – jak sam pisał – wykonywał „czynności techniczne związane ze sporządzeniem teczki »TW« Wałęsy". Oczywiście w całą sprawę został wtajemniczony „wyłącznie w niezbędnym mu zakresie". Nie znał np. kryptonimów operacji, w których uczestniczył („Sąd" i „Ambasador"). Z całą pewnością jednak orientował się, że w ich ramach „przedłużano działalność" tajnego współpracownika „Bolka" – na podstawie dostępnych materiałów preparowano dokumenty świadczące o rzekomej współpracy Lecha Wałęsy już po jej formalnym zakończeniu w 1976 r. Niestety, dzisiaj jeszcze nie wiemy (i możliwe, że nigdy się już nie dowiemy), ile i jakich dokumentów „wyprodukował" Tadeusz Maraszkiewicz. Był on co prawda przesłuchiwany w tej sprawie przez prokuratorów Instytutu Pamięci Narodowej, ale trudno uwierzyć w jego stwierdzenia, że dokumenty przez niego spreparowane nigdy nie zostały wykorzystane i zniszczono je, jako nienadające się do wykorzystania…

Wracając do Maraszkiewicza, to w styczniu 1985 r. po raz kolejny wydawało się, że jego kariera w Służbie Bezpieczeństwa „legnie w gruzach". Podejrzewano go bowiem m.in. o „ujawnienie wiadomości stanowiących tajemnicę państwową" oraz „utrzymywanie kontaktów z obywatelami z k[rajów] k[apitalistycznych]". W związku z tymi poważnymi zarzutami wszczęto postępowanie wyjaśniające, które prowadził Zarząd Ochrony Funkcjonariuszy (ZOF) MSW.

Przyczyną podejrzeń były przeprowadzone miesiąc wcześniej rozmowy indywidualne z funkcjonariuszami Departamentu Techniki MSW, w trakcie których trzech z jego kolegów poinformowało przełożonych o swoich podejrzeniach w stosunku do niego. Bohdan Izydorczyk stwierdzał, że widział Tadeusza Maraszkiewicza we wczesnych godzinach porannych w okolicy hotelu Forum oraz że ten był z tego powodu wyraźnie zmieszany. Na pytanie, co niesie w dużej walizce, odpowiedział, że rzekomo „bieliznę do prania"... Ponadto Izydorczyk przytoczył rozmowę swojej małżonki z Maraszkiewiczem, w trakcie której ten ostatni miał wykazać się tak zwalczanym w resorcie spraw wewnętrznych religianctwem. Pozwolił sobie nie tylko na stwierdzenie, że „Polska już niedługo będzie centrum chrześcijaństwa na świecie", lecz także na krytykę polityki państwa wobec Kościoła, twierdząc, że „robi się krzywdę dzieciom, nie pozwalając im uczyć się religii w szkole".

Janusz Sienkiewicz oskarżył Tadeusza Maraszkiewicza o „poglądy niezgodne z postawą funkcjonariusza"

Również Janusz Sienkiewicz oskarżył Tadeusza Maraszkiewicza o „poglądy niezgodne z postawą funkcjonariusza" – jak później doprecyzowywał „prozachodnie", posiadanie „literatury bezdebitowej" i „prywatnej korespondencji z adresami [z] krajów kapitalistycznych". Obaj funkcjonariusze poinformowali ponadto przełożonych, że Maraszkiewicz posiada rzekomo notes z dużą liczbą adresów zagranicznych. Ponadto zdaniem Sienkiewicza jego zachowanie pozwalało „sądzić o niemożności zachowania [przez niego – przyp. G.M.] w wielu przypadkach tajemnicy służbowej".

Na korzyść Tadeusza Maraszkiewicza przemawiała z kolei pozytywna ocena zastępcy dyrektora Departamentu Techniki Jerzego Kamińskiego. Ale nie tylko ona. Pozytywnie na jego temat wypowiadał się również wywiad. W wystawionej mu przez tę jednostkę opinii stwierdzano: „Od wielu lat realizuje dla Departamentu I MSW czynności operacyjne o najwyższym stopniu tajności, od których w dużej mierze zależy bezpieczeństwo naszych źródeł informacji za granicą […]. Do obecnej chwili nie odnotowaliśmy elementów w naszych sprawach operacyjnych, jak i w jego postawie, które mogłyby wskazywać na dekonspirację naszych tajemnic".

eprasa.pl 847107cd88

W trakcie postępowania wyjaśniającego swoje zarzuty nieco zmienił Bohdan Izydorczyk. Stwierdził on, że Maraszkiewicza nie spotkał koło hotelu Forum, a naprzeciwko, na przystanku autobusowym przy Cepelii (obok hotelu Metropol). I bynajmniej ten ostatni nie poszedł w kierunku któregoś z hoteli, ale skręcił w ul. Poznańską. Jak tłumaczył Izydorczyk, powodem jego zaniepokojenia zaistniałą sytuacją było to, że „Maraszkiewicz wielokrotnie przynosił do pracy różne artykuły pochodzenia zagranicznego, np.: dżinsy, skarpety, koszule i oferował je do sprzedaży kolegom". Pytany, skąd je ma, twierdził, że „czasami u niego mieszkają jacyś znajomi Włosi, których musi żywić, a którzy w zamian pozostawiają te rzeczy do sprzedania". W związku z powyższym Bohdan Izydorczyk podejrzewał, że Tadeusz Maraszkiewicz spotkany rano „idzie do »Forum« handlować podobnymi rzeczami z jakimiś osobnikami", tym bardziej iż „często w pracy opowiadał, że śniadania i obiady jada w »Forum« i »Victorii«". Jak dodawał, z przekazaniem tych informacji zwlekał tak długo (ich przypadkowe spotkanie miało miejsce wiosną 1984 r.), gdyż rzekomo wydawały mu się wcześniej mało istotne i dopiero w trakcie rozmów z przełożonymi uświadomił sobie ich wagę.

KONIEC PROBLEMÓW?

Trzeba w tym miejscu stwierdzić, że trudno nie odnieść wrażenia, że przydatność Maraszkiewicza dla Służby Bezpieczeństwa nie pozostawała bez wpływu na przebieg prowadzonego przeciwko niemu postępowania. W jego trakcie – jeszcze przed przesłuchaniem samego zainteresowanego – stwierdzono, że zarzuty dotyczące jego wrogiej postawy w stosunku do resortu spraw wewnętrznych i PRL-owskiej rzeczywistości nie potwierdziły się. Ponadto jego koledzy mieli starać się – „po przemyśleniu", zapewne nie bez wpływu przełożonych – „w znacznym stopniu umniejszać wagę informacji" przekazanych przez kierownictwo Departamentu Techniki do ZOF. A także „zgodnie wskazywać", że jest on „jednym z najzdolniejszych pracowników" i „stara się pomagać kolegom w wykonywanych zadaniach służbowych", ale „ma do nich lekceważący stosunek, gdyż świadom jest swojej dużej przydatności". Zatem – choć nie stwierdzono tego wprost – stawiane mu zarzuty miały być głównie efektem frustracji, zazdrości jego mniej zdolnych kolegów.

Rozmowa wyjaśniająca przeprowadzona z Tadeuszem Maraszkiewiczem de facto nie dotyczyła stawianych mu zarzutów, a głównie osoby Eligiusza Naszkowskiego, który – jako funkcjonariusz SB – zbiegł na Zachód. W jej trakcie Maraszkiewicz opisał również sytuację panującą w wydziale, w którym był zatrudniony. Według niego była ona napięta z powodu nierównomiernego obciążenia pracą, a większość jego kolegów rzekomo biernie wyczekiwała emerytury. Mieli oni też być wobec niego „często złośliwi i zawistni", gdyż odmawiał picia z nimi alkoholu… Ostatecznie uznano, że zarzuty stawiane Tadeuszowi Maraszkiewiczowi nie potwierdziły się. Jednak „ze względu na ważność prac" wykonywanych przez niego na potrzeby resortu postulowano „otoczenie go szczególnie życzliwą opieką w kontekście zabezpieczenia jego osoby przed ewentualnymi prowokacjami ze strony przeciwnika"! Ponadto wykonywane przez niego „zadania specjalne" miały podlegać „wnikliwemu nadzorowi i kontroli". Rozważano nawet „możliwość usatysfakcjonowania go", czyli awansowania na stopień oficerski. Zrezygnowano jednak z tego pomysłu, gdyż skierowanie go do szkoły oficerskiej było niemożliwe – ze względu na swe cenne umiejętności był po prostu zbyt potrzebny w bieżącej pracy MSW…

Stawiane mu zarzuty miały być głównie efektem frustracji, zazdrości jego mniej zdolnych kolegów

Wydawałoby się więc, że problemy Maraszkiewicza skończyły się. Nic bardziej mylnego. Tym razem – pod koniec kwietnia 1985 r. – przełożonych zaalarmował Andrzej Sadliński, który przypominał „fakty" z lat 1975–1979. Oskarżył on Maraszkiewicza m.in. o „przywłaszczenie futra podczas wyjazdu służbowego do Poznania lub Szczecina" oraz o to, iż ten był zamieszany „w aferę ginących na terenie MSW kożuchów". To jednak nie wszystko. Zarzucał mu też „podstępne poczęstowanie środkiem narkotyzującym" jednego z kolegów, w wyniku czego

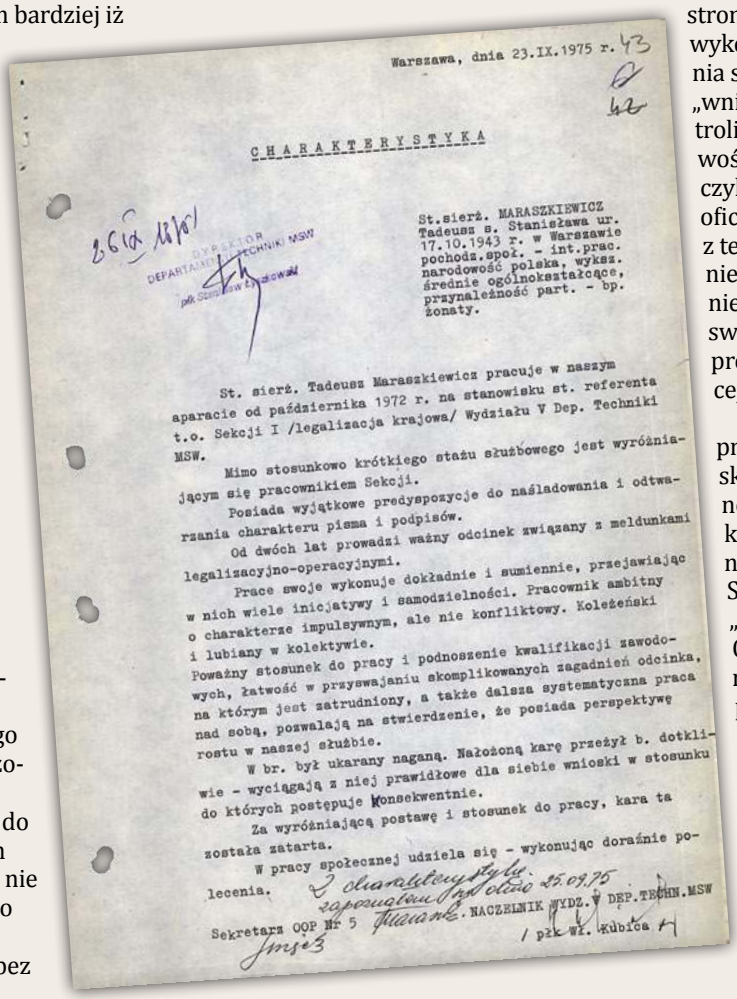

Warszawa, dnia 23.IX.1975 r.

CHARAKTERYSTYKA

St.sierż. MARASZKIEWICZ Tadeusz s. Staniesława ur. 17.10.1943 r. w Warszawie pochodz.społ. - int.prac. narodowość polska, wyksz. średnie ogólnokształcące, przynależność part. - bp. żonaty.

St. sierż. Tadeusz Maraszkiewicz pracuje w naszym aparacie od października 1972 r. na stanowisku st. referenta t.o. Sekcji I /legalizacja krajowa/ Wydziału V Dep. Techniki MSW.

Mimo stosunkowo krótkiego stażu służbowego jest wyróżniającym się pracownikiem Sekcji.

Posiada wyjątkowe predyspozycje do naśladowania i odtwarzania charakteru pisma i podpisów.

Od dwóch lat prowadzi ważny odcinek związany z meldunkami legalizacyjno-operacyjnymi.

Prace swoje wykonuje dokładnie i sumiennie, przejawiając w nich wiele inicjatywy i samodzielności. Pracownik ambitny o charakterze impulsywnym, ale nie konfliktowy. Koleżeński i lubiany w kolektywie.

Poważny stosunek do pracy i podnoszenie kwalifikacji zawodowych, łatwość w przyswajaniu skomplikowanych zagadnień odcinka, na którym jest zatrudniony, a także dalsza systematyczna praca nad sobą, pozwalają na stwierdzenie, że posiada perspektywę rostu w naszej służbie.

W br. był ukarany naganą. Nałożoną karę przeżył b. dotkliwie - wyciągają z niej prawidłowe dla siebie wnioski w stosunku do których postępuje konsekwentnie.

Za wyróżniającą postawę i stosunek do pracy, kara ta została zatarta.

W pracy społecznej udziela się - wykonując doraźnie polecenia.

Sekretarz OOP Nr 5 NACZELNIK WYDZ. V DEP. TECHN. MSW
/ płk wł. Kubica

eprasa.pl 847107cd88

ten ostatni miał dostać ataku szału i przebywać w szpitalu". Ponadto, jak twierdził Sadliński, ojciec Tadeusza Maraszkiewicza miał być aresztowany w latach 50. „w związku z tzw. aferą skórzaną [Eugeniusza] Galickiego [dyrektora Warszawskich Zakładów Garbarskich, z przełomu lat 50. i 60. – przyp. G.M.]". Przypominał też naruszenie przez Tadeusza Maraszkiewicza zasad konspiracji w połowie lat 70. Jak stwierdzał, „te cechy osobowościowe T.M." miały rodzić podejrzenia „co do jego »szczelności« w zakresie przestrzegania tajemnicy".

Co ciekawe, już po dwóch dniach uznano, że informacje Sadlińskiego „nie wnoszą żadnych nowych elementów" do prowadzonego wcześniej postępowania wyjaśniającego. Okazało się, że Maraszkiewicz nie miał żadnego związku z kradzieżami futer w siedzibie resortu. Nie potwierdzono również dysponowania przez niego „środkami narkotycznymi". Ponadto w jego aktach osobowych nie odnaleziono „jakiejkolwiek informacji o ukaraniu ojca", za to „odkryto" zapis, że ten jest członkiem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Ponadto, jak wyjaśniono w połowie lat 70., Tadeusz Maraszkiewicz miał jedynie wyjawić, że jest funkcjonariuszem Służby Bezpieczeństwa. Pozostałe zaś „ujawnione" przez niego informacje miały charakter „żartobliwo-bajkowy, wynikający z chęci zadziwienia przypadkowych słuchaczy", którzy pechowo dla niego okazali się jego kolegami z „firmy"...

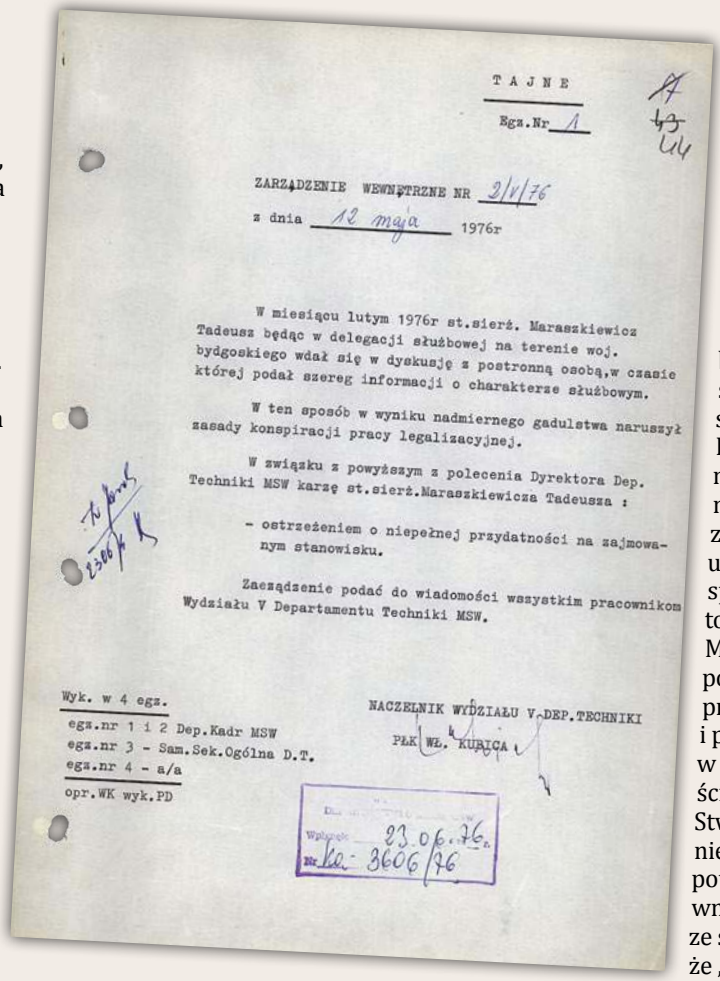

TAJNE

Egz.Nr 1

ZARZĄDZENIE WEWNĘTRZNE NR 2/V/76

z dnia 12 maja 1976r

W miesiącu lutym 1976r st.sierż. Maraszkiewicz Tadeusz będąc w delegacji służbowej na terenie woj. bydgoskiego wdał się w dyskusję z postronną osobą,w czasie której podał szereg informacji o charakterze służbowym.

W ten sposób w wyniku nadmiernego gadulstwa naruszył zasady konspiracji pracy legalizacyjnej.

W związku z powyższym z polecenia Dyrektora Dep. Techniki MSW karzę st.sierż.Maraszkiewicza Tadeusza :

- ostrzeżeniem o niepełnej przydatności na zajmowanym stanowisku.

Zaczządzenie podać do wiadomości wszystkim pracownikom Wydziału V Departamentu Techniki MSW.

Wyk. w 4 egz.
egz.nr 1 i 2 Dep.Kadr MSW
egz.nr 3 - Sam.Sek.Ogólna D.T.
egz.nr 4 - a/a
opr.WK wyk.PD

NACZELNIK WYDZIAŁU V DEP.TECHNIKI
PŁK WŁ. KUBICA

23.06.76
3606/76

W NOWEJ RZECZYWISTOŚCI

Ale i to nie koniec kłopotów Maraszkiewicza. W 1987 r. jego przełożeni z Departamentu Techniki MSW prowadzili przeciwko niemu postępowanie dyscyplinarne. Tym razem był podejrzewany o „kradzież walizek gościom warszawskich hoteli orbisowskich". Postępowanie w tej sprawie prowadził Dzielnicowy Urząd Spraw Wewnętrznych (DUSW) Warszawa-Śródmieście, a w sprawę zaangażował się również Zarząd Ochrony Funkcjonariuszy. W połowie września 1987 r., na podstawie nadesłanych materiałów, analizujący przypadek Maraszkiewicza funkcjonariusz ZOF stwierdzał, że postępowanie dyscyplinarne „przeprowadzono w sposób wnikliwy i obiektywny" oraz, że „potwierdziło ono słuszność podejrzeń". Jak zatem konkludował: „Zasadnym [rozwiązaniem] wydaje się propozycja dyscyplinarnego wyprowadzenia go z resortu spraw wewnętrznych". Proponował też, ze względu na zdobytą przez Tadeusza Maraszkiewicza wiedzę, „otoczenie [go] przez kilka lat specjalnym nadzorem służb operacyjnych".

Maraszkiewicz w 1990 r. pozytywnie przeszedł przeprowadzoną w resorcie spraw wewnętrznych weryfikację kadr i został funkcjonariuszem policji

Co ciekawe, mimo zatwierdzenia tych wniosków przez kierownictwo Zarządu Ochrony Funkcjonariuszy MSW nie zostały one ostatecznie zrealizowane. Nie bez znaczenia było to, że kilka dni przed sformułowaniem wniosków przez Zarząd Ochrony Funkcjonariuszy dochodzenie DUSW Warszawa-Śródmieście zostało umorzone z powodu „braku możliwości ustalenia sprawcy". Wobec sprzecznych ustaleń dyrektor Departamentu Techniki MSW zdecydował się wszcząć postępowanie dyscyplinarne przeciwko Maraszkiewiczowi i powołał specjalną komisję w celu zbadania zasadności oskarżeń wobec niego. Stwierdziła ona, że „posądzenie o kradzieże w hotelach nie potwierdziło się". Mimo tego wnioskowała o zwolnienie go ze służby. Uzasadniano to tym, że „stanowi potencjalne zagrożenie operacyjnych interesów resortu spraw wewnętrznych". Wynikało to z tego, że czuł się on „pracownikiem niedowartościowanym", czemu jego kierownictwo nie za bardzo miało jak przeciwdziałać, na dodatek – dzięki Naszkowskiemu – znanym „przeciwnikowi", czyli zachodnim służbom, które owo niezadowolenie Tadeusza Maraszkiewicza mogły potencjalnie wykorzystać.

Na to się jednak nie zdecydowano. Zapewne przyczyniło się do tego stanowisko kontrwywiadu, który proponował, aby decyzję o jego zwolnieniu rozważyć ponownie, „gdy minie czas niezbędny do dezaktualizacji jego wiedzy o szczególnie tajnych działaniach resortu". To jednak nie nastąpiło, Maraszkiewicz zaś w 1990 r. pozytywnie przeszedł przeprowadzoną w resorcie spraw wewnętrznych weryfikację kadr i został funkcjonariuszem policji, która nadal zapewne wykorzystywała jego specyficzne uzdolnienia…

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN.

eprasa.pl 847107cd88

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Zakłamany PKWN

Wszystko w tej sowieckiej instytucji, utworzonej dla zniewalanej Polski, było zakłamane. Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego nie był „polski" – przedstawiany buńczucznie jako nowy „rząd", przeciwstawny temu „londyńskiemu". Celem Sowietów nie było też wyzwolenie. Państwo, utworzone na gruzach z lat 1944–1945, nie mogło być z natury rzeczy niepodległe i suwerenne. Przymiotnik „narodowy" był tylko dekoracją, w istocie chodziło o przekształcenie wielowiekowego narodu w zbiorowisko wydwiżeńców (awans społeczny), pozbawione tradycyjnych elit. Te wyniszczyli Niemcy i Sowieci już wcześniej.

Manifest nie powstał w Chełmie i nie było to 22 lipca 1944 r., jak to utrzymywano przez następne prawie pół wieku (a są tacy, którzy w to wierzą do dziś). Chodziło wyłącznie o pozory, że Polską rządzą Polacy. Był to sowiecki teatr kukiełek marionetek, które w każdej chwili można było wymienić na jeszcze bardziej dyspozycyjne. Ale w istocie był to listek figowy dla Zachodu, że „sprawa polska" została załatwiona po myśli Polaków. Stąd w składzie komitetu zdrajcy w mundurach tacy jak Michał Żymierski i Zygmunt Berling. Funkcjonariusze NKWD, jak Stanisław Radkiewicz, i ich ofiary, np. Andrzej Witos, wyciągnięty prosto z łagru, który bał się własnego cienia. Ale nazwisko miał dobre. Edward Osóbka, drobny działacz PPS, określany w dokumentach jako… złodziej, wyśmiewany przez Stalina jako „Oszibka" (pomyłka). Nawet Dyzma byłby przy nim kimś. Znaczącą postacią była natomiast Wanda Lwowna, czyli Wasilewska – córka Leona, jednego ze współpracowników J. Piłsudskiego, aktywna działaczka sowieckiej komuny. Już od 1943 r. była pułkownikiem Głównego Zarządu Politycznego Armii Czerwonej.

W 1945 r. nie pogodziła się z tym, że będzie jakaś nominalnie samodzielna „Polska Ludowa" (a nie wprost sowiecka republika). Dlatego wybrała Związek Sowiecki za swą prawdziwą ojczyznę i nie zmieniła zdania do końca życia.

W skład PKWN nie weszła ani jedna osoba, którą moglibyśmy uznać za normalną, z czystym życiorysem, która przypadkowo się tam zaplątała. Nie było przypadków. Stalin musiał mieć pewność, że jest to jego posłuszna agentura. Dlatego pojawili się tam tacy „działacze" (a w istocie polityczne kreatury) jak Bolesław Drobner, Wincenty Rzymowski czy Stefan Jędrychowski.

W Polsce Ludowej były święto państwowe 22 lipca, liczne place, ulice, tablice okolicznościowe. Tak miało być „na wsiegda". Dziś prawie nie ma po tym śladu. Poza jednym – mamy faktyczną ciągłość instytucjonalną i prawną z tamtym (po)tworem. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Janek i Zdzisio

Jan Himilsbach i Zdzisław Maklakiewicz poznali się bliżej na planie „Rejsu" Marka Piwowskiego i praktycznie od pierwszego klapsu (2 lipca 1969 r.) stali się nierozłączni. Spędzali razem dużo czasu, razem bywali w knajpach, razem nawet wyjeżdżali. Święta oczywiście również spędzali wspólnie, czyli Maklakiewicz przychodził z wizytą do Himilsbachów i zostawał przez kilka dni.

Wspólnie angażowano ich także do filmów, uważni obserwatorzy dostrzegali jednak, że była to przyjaźń na zasadzie wzajemnego przyciągania się i odpychania. Bez wątpienia „miała bazę alkoholową", co stwarzało jednak pewne problemy, gdyż pana Janka nie wpuszczano do wielu warszawskich lokali.

W głównych rolach obsadzono ich właściwie tylko w dwóch filmach: „Wniebowzięci" i „Jak to się robi". Praca na planie obfitowała oczywiście w różnego rodzaju ekscesy, które czasami mogły mieć tragiczny finał.

„Janusz Kondratiuk opowiadał mi – wspominał jeden z ich znajomych – że przy kręceniu »Wniebowziętych« Janek po wypiciu poważniejszej ilości alkoholu miał zapaść i zawieziono go na pogotowie. Dostał jakieś zastrzyki i powoli odzyskiwał przytomność. W tym czasie lekarze i pielęgniarki wydali z okazji wizyty artystów stosowny bankiet. Spirytus płynął jak rzeka. W pewnej chwili kierowca, też już zamroczony, przypomniał lekarzowi o zgłoszonym z miasta pół godziny wcześniej przypadku sinicy. Lekarz spojrzał na zegarek i machnął ręką, że już za późno. Bankiet dalej się rozwijał. W pewnej chwili Janek sztywno jak dziecko Frankensteina usiadł na stole, złapał stojącą z boku szklankę spirytusu, wypił i stracił przytomność. Lekarz rzucił się go ratować. Bankiet na chwilę przerwano".

Obaj stali się legendą, snobowano się na znajomość z nimi, ale „na widok artystów ich wielbiciele najczęściej przechodzili na drugą stronę ulicy albo chowali się w bramach". Wielbiono ich, ale na ogół na odległość, opowiadano o nich najrozmaitsze anegdoty, ale większość narratorów wcale nie chciałaby osobiście uczestniczyć w opisywanych wydarzeniach.

„Mamo, w sobotę przyjedzie do nas pan Maklakiewicz z panem Himilsbachem na weekend – opowiadał jeden z ich kumpli od kieliszka. – Matka zachwycona, bo nie znała realiów. […] Siedzimy rano w sobotę, jemy śniadanie, okno szeroko otwarte, piękna willa, piękny ogród. […] A pod oknem słychać nagle tak: »A ja ci, k…., mówię, że to jest tu«. »A ty mi nie p……, bo to nie jest tu«. Matka mówi: »Jacku, chyba przyjechali panowie, węgiel przywieźli«. A ja na to: »Nie, to przyjechał pan Himilsbach z panem Maklakiewiczem«". ©℗

eprasa.pl 847107cd88

FOT. ADOBE STOCK

WYSYŁAJĄ MISJĘ OBWE DO POLSKI

Parlament Europejski znów niepokoi się o los Polski. Tym razem Europejska Partia Ludowa, S&D, frakcja Odnowić Europę, Zieloni i Lewica zgłosili i przeforsowali w głosowaniu rezolucję, by zwrócić się do Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie o misję obserwacyjną w trakcie nadchodzących wyborów parlamentarnych w naszym kraju. „Musimy zadbać o to, aby jesienne wybory były wolne i uczciwe" – napisała na Twitterze S&D, okraszając to zdjęciem socjalisty Juana Fernando Lópeza Aguilara z jego cytatem o tym, że PiS przez osiem lat prowadzi wojnę przeciw regułom prawa i fundamentalnym prawom w Polsce.

REFORMA SĄDÓW PO IZRAELSKU

Premier Izraela przeforsował ustawę, która ogranicza uprawnienia Sądu Najwyższego do unieważniania decyzji podejmowanych przez rząd, ministrów i „innych wybranych urzędników ustanowionych przez prawo". Mieszkańcom kraju nie bardzo spodobało się to, że politycy chcą się ustawowo wyjąć spod kontroli sądów. Ruszyli więc do ogromnych protestów. W ubiegłym tygodniu ludzie zablokowali autostrady. Doszło też do starć z policją.

DYPLOMACI ZŁAPANI NA UŻYWANE BMW

Kilkudziesięciu dyplomatów różnych krajów z ambasad na Ukrainie padło ofiarą rosyjskich hakerów. Przechwycili oni prawdziwe ogłoszenie polskiego dyplomaty z Kijowa, który sprzedawał używane bmw, i dodali do niego oprogramowanie szpiegowskie. Hakerzy ustawili tak atrakcyjnie niską cenę, że odbiorcy wiadomości chętnie otwierali załączoną „galerię zdjęć". Ta infekowała ich komputery.

WSZYSTKIE NARKOTYKI LEGALNE

Szkockie władze uznały, że warto zalegalizować wszystkie istniejące narkotyki. Fakt, że posiadanie takich substancji nie będzie nielegalne (nielegalny nadal byłby handel nimi), zdjęłoby „łatkę przestępców" z narkomanów. Nie ścigano by ich, a zaoszczędzone na tym pieniądze miałyby być przeznaczone na leczenie uzależnionych. Rzecznik premiera Wielkiej Brytanii stanowczo stwierdził, że taki pomysł nie zostanie wdrożony.

ŚMIERTELNY TREND NA TIKTOKU

Tiktokerzy mają nową zabawę. Oznaczają hasłem #Boatjumping nagrania, na których wyskakują z pędzących motorówek do łodzi. Tym razem tiktokowy „trend" okazał się nie jak większość z nich żenujący, ale śmiertelnie niebezpieczny. W Alabamie w USA nagrywanie takich filmów zakończyło się już śmiercią czterech osób. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

„Obrotowy Mark" odchodzi

Premier Holandii Mark Rutte – to ten, który tak się niepokoił o „stan praworządności" w Polsce, że poświęcał cenny czas na połajanki skierowane do Polaków, widocznie zaniedbując Niderlandy, targane kryzysami politycznymi, a nawet aferą, podczas której parlamentarna holenderska speckomisja stwierdziła „bezprecedensowe naruszenie zasad praworządności" – w ubiegłym tygodniu podał się do dymisji, bo jego rząd nie był w stanie porozumieć się w sprawie polityki migracyjnej.

Czy to już koniec „obrotowego Marka"? Nie wiadomo. Wprawdzie polityk, który rządził Niderlandami nieprzerwanie od roku 2010, ogłosił, że odchodzi z polityki, ale przez lata dał się poznać jako człowiek o... bardzo giętkim kręgosłupie.

Ta niezwykle potrzebna politycznym koniunkturalistom cecha pozwoliła mu sprawować władzę w czterech rządach i w najróżniejszych konfiguracjach politycznych: jego liberalna Partia Ludowa wchodziła w koalicję zarówno z chadekami, jak i z populistami z Partii na rzecz Wolności (PVV) Geerta Wildersa czy Partią Pracy (PvdA), której wówczas przewodził kolejny zagorzały wróg reform w Polsce... Frans Timmermans. Gdy PvdA dostała od wyborców po uszach, Rutte znów stworzył koalicję z chadekami i populistami, do której dołączył socjaliberałów i konserwatywnych chadeków. W 2021 r. koalicyjne partie dostały jednak za mało głosów, przez co tworzenie nowego rządu trwało aż 274 dni, czyli najdłużej od zakończenia drugiej wojny światowej.

Wybory w Holandii odbędą się jesienią. Rutte ma kierować rządem do czasu, gdy władzę obejmie nowy gabinet. Czy „obrotowy Mark" rzeczywiście zrezygnuje z władzy? Zobaczymy.

eprasa.pl 847107cd88

Lider VOX Santiago Abascal jest obecnie najbardziej rozsądnym przywódcą w Hiszpanii – mówi Herman Tertsch FOT. MARCOS CEBRIAN/AP/EAST NEWS

Z europosłem hiszpańskiej partii VOX, publicystą Hermannem Tertschem *rozmawia Olivier Bault*

Nie będzie prawicowego rządu bez VOX

OLIVIER BAULT: Premier Pedro Sánchez zwołał na 23 lipca przyspieszone wybory po porażce obozu lewicy w wyborach autonomicznych i lokalnych 28 maja. Czy Hiszpanie mają dość polityki tej lewicy, którą Ursula von der Leyen nazwała w rozmowie z Sánchezem „demokratycznym centrum"?

HERMANN TERTSCH: Rzeczywiście Hiszpanie mają coraz bardziej dość partii socjalistycznej (PSOE) i nadużyć socjalizmu w tym sojuszu, który rządzi Hiszpanią od pięciu lat. To jest sojusz socjalistów, komunistów, katalońskich i baskijskich separatystów oraz bardzo radykalnych grup. Wszystkimi nimi kieruje lider Pedro Sánchez, który ma bardzo wyraźny rys psychopatyczny. Trzeba nazywać rzeczy po imieniu. To człowiek, który zaprzecza rzeczywistości. Ciągle kłamie. Potrafi nawet zaprzeczyć temu, co powiedział wczoraj, choć zostało to nagrane i wygłoszone w telewizji przed milionami ludzi. Te cechy osobowości Sáncheza są naprawdę niepokojące.

Dlatego też Sánchez generuje odruch odrzucenia, którego nikt inny nie budził w Hiszpanii w czasach demokracji. Nawet Zapatero, który również był osobą bardzo pogardzaną, socjalista, poprzednik Sáncheza, rewanżysta, blisko związany z Wenezuelą, z Hugonem Chávezem. Obecnie jest to człowiek, który bardzo pomaga Maduro oraz innym kryminalistom z Forum Sao Paulo, ale nawet on nie był tak bardzo odrzucany przez ludzi.

Dlatego też socjaliści byli zaskoczeni skalą porażki. Stracili miasta i regiony, w których rządzili przez kilka ostatnich dekad. Tysiące ludzi straciły pracę z powodu Sáncheza i pod koniec maja wyszli oni na ulice. To ludzie, którzy zawsze pracowali dla aparatu socjalistycznego. Ma to duży oddźwięk psychiczny i społeczny.

W niektórych wspólnotach autonomicznych [regionach – przyp. red.] i w wielu gminach centroprawicowa Partia Ludowa (PP) nie może rządzić jednak bez wsparcia VOX po wyborach 28 maja. W jednej wspólnocie autonomicznej, Kastylia i Leon, koalicja Partii Ludowej PP z VOX rządzi już od roku, a kilka dni po wyborach 28 maja taki koalicyjny rząd został również ogłoszony we wspólnocie autonomicznej Walencji. W innych wspólnotach autonomicznych negocjacje były znacznie trudniejsze, czasami wręcz niemożliwe. Jak to się dzieje, że w niektórych miastach i regionach PP może utworzyć rząd z partią VOX, a w innych nie chce tego zrobić?

eprasa.pl 847107cd88

Trzeba by o to zapytać lidera PP Alberto Núñeza Feijóo, ale w rzeczywistości PP nie wie, czego chce. Niektórzy ich regionalni przywódcy zareagowali szybko i realistycznie, zawierając porozumienie z VOX, tak jak w Walencji, a później także na Balearach. Zdarzały się jednak przypadki, w których zarówno Feijóo, który jest liderem krajowym, jak i liderzy regionalni, przyjmowali postawę klasyczną dla Partii Ludowej. Polega ona na tym, że tak naprawdę chcą być blisko lewicy. To tak, jakby zawsze potrzebowali lewicy, aby ta ich w czymś legitymowała. Z tego właśnie wyrosła partia VOX. Wyłania się jako partia konserwatywna, która nie przeprasza za bycie konserwatywną, która broni konserwatywnych postulatów stanowczo, dobitnie i nie chce układów z socjalistami. Nie chce się przebić przy akceptacji socjalistów, ale chce z nimi wygrać. Tymczasem PP zawsze chce szukać jakichś formuł współpracy z socjalizmem. I zawsze w końcu internalizuje, przyjmuje i akceptuje ideologiczne postulaty socjalizmu. Dlatego, gdy PP rządziła samodzielnie z premierem Rajoyem na czele, mając większość bezwzględną w parlamencie, nie zrobiła nic, aby znieść ustawy LGBT, toksyczne ustawy w Katalonii, ustawę o pamięci historycznej, która tylko generuje nienawiść i wolę odwetu, a także wiele socjalistycznych ustaw, które wprowadził Zapatero. Rząd Rajoya utrzymał w mocy wszystkie socjalistyczne ustawy. VOX natomiast chce je znieść.

Trzeba w Hiszpanii usunąć wiele ustaw, m.in. tę, która zezwala dzieciom na poddanie się operacji zmiany płci bez zgody rodziców

Jeśli więc po 23 lipca powstanie prawicowy rząd koalicyjny na szczeblu krajowym, to PP będzie zmuszona znieść te przepisy? Czy będzie to swego rodzaju czerwona linia dla partii VOX?

To jest dla nas czerwona linia. Wszystko będzie oczywiście zależeć od siły każdej partii w następnych wyborach. Jednak dla nas priorytetowym celem jest demontaż przepisów, takich jak: dotyczące przemocy wobec kobiet, które łamią równość między płciami; prawo „tylko »tak« znaczy »tak«", na mocy którego gwałciciele mogli wychodzić na wolność [z powodu złagodzenia wyroków, ze względu na wyeliminowanie czynnika obciążającego, którym jest użycie przemocy, gdy nie ma zgody na współżycie seksualne – przyp. red.]. To ustawa o „zgodzie seksualnej", ale podobnie jak inne prawa socjalistyczne jest to ustawa ideologiczna mająca na celu ograniczenie wolności. Kolejną ustawą do usunięcia jest prawo „o rzeczywistej i skutecznej równości osób transseksualnych oraz o zagwarantowaniu praw osób LGBTI", która zezwala dzieciom na poddanie się operacji zmiany płci bez zgody rodziców. Wprowadzono potworne uregulowania prawne, które odbierają rodzicom władzę nad ich dziećmi. Istnieją też złe przepisy, które uniemożliwiają ludziom studiowanie w języku hiszpańskim w Katalonii lub w innych regionach, jak np. w Galicji, gdzie rządzi Partia Ludowa.

Pierwszą rzeczą, którą udało nam się osiągnąć w Walencji po majowych wyborach, jest wolność wyboru przez dzieci i ich rodziców języka nauczania w szkole (między hiszpańskim a lokalnym językiem regionalnym). Po raz pierwszy od prawie 30 lat dzieci w regionie Walencji będą mogły znowu uczyć się w szkole w języku hiszpańskim.

Przepisów do usunięcia jest znacznie więcej. Istnieje wiele ideologicznych ustaw w Hiszpanii. Na przykład ustawa o pamięci historycznej pozwala karać ludzi za mówienie prawdy, choćby za mówienie pozytywnie o okresie między wojną a 1975 r., czyli okresie, w którym rządził Franco. Nagromadziło się wiele tych ideologicznych ustaw lewicy, których Partia Ludowa nigdy nie zniosła, kiedy była u władzy. My chcemy to zrobić.

Przepisy legalizujące eutanazję i aborcję też chcecie znieść?

Oczywiście.

Santiago Abascal powiedział, że głosowanie na PP jest jak kupowanie „jajka niespodzianki". Feijóo mówi bowiem głośno, że po 23 lipca chce rządzić samodzielnie, nawet jeśli PP nie będzie miała bezwzględnej większości w parlamencie. A zatem głosując na PP, hiszpański wyborca nie wie, czy będzie ona rządzić z VOX czy też poprosi PSOE Sáncheza o wstrzymanie się od głosu w zamian za ustępstwa programowe, aby ułatwić formowanie rządu mniejszościowego bez VOX.

Cóż, już poprosił, ale wie, że PSOE tego nie zrobi. To zresztą dość dziwna prośba. Jeśli mówisz, zresztą słusznie, że socjaliści zniszczyli Hiszpanię i wprowadzili toksyczne ustawy, ale że chcesz rządzić za przyzwoleniem socjalistów, to oznacza to przecież, że nie pozwolą ci oni zmienić tych ustaw. To dość żałosne. Jak już powiedział Santiago Abascal, VOX podtrzymuje wolę współpracy, ale robimy to z szacunkiem dla naszych wyborców. Ktokolwiek głosuje na VOX, wie, że głosuje na VOX. Kto chce, abyśmy oddali głosy na PP, niech zagłosuje bezpośrednio na PP, ponieważ VOX nie odda jej żadnych głosów.

Czy byłoby możliwe jedynie programowe porozumienie z VOX bez tworzenia rządu koalicyjnego, jeśli PP tego nie chce?

Trzeba zobaczyć, jak będzie wyglądała sytuacja po wyborach. Zależy to

eprasa.pl 847107cd88

od tego, ilu posłów będzie miała każda partia, ale co do zasady VOX nie zamierza oddawać głosów Partii Ludowej ani nikomu innemu w zamian za nic.

A czy nie uważa pan, że niedawny wybuch przemocy we francuskich miastach ze strony młodych ludzi ze środowisk imigranckich może pozytywnie wpływać na wynik VOX w wyborach z 23 lipca, jako że jest partią, która w Hiszpanii najbardziej sprzeciwia się niekontrolowanej imigracji?

Uważam, że cała rzeczywistość sprzyja partii VOX. Musimy jednak pamiętać, że VOX jest przedmiotem brutalnej kampanii ze strony wszystkich mediów, wszystkich innych partii, wszystkich dużych firm i wszystkich elit w kraju. W stosunku do nas nękanie, dyskredytowanie i manipulacja są czymś nagminnym. Naszym podstawowym sojusznikiem jest jednak rzeczywistość. Jesteśmy jedynymi, którzy opisują rzeczywistość i proponują rozwiązania dla problemów tej rzeczywistości. W pierwszym tygodniu lipca, kiedy oficjalnie rozpoczęła się kampania wyborcza, przedstawiliśmy nasz program gospodarczy, ale w kwestii imigracji jesteśmy również jedynymi, którzy mówią, jak sytuacja wygląda w rzeczywistości.

Rzeczywistość jest bardzo uparta, a ponieważ jest naszym głównym sojusznikiem, prędzej czy później wygramy. Wygramy, aby zrealizować wszystkie nasze cele. Oni wymyślają fałszywą rzeczywistość, aby oszukać elektorat i wzbudzić w nim strach przed nami, podczas gdy należy bać się tych, którzy niszczą bezpieczeństwo Hiszpanii polityką prowadzącą nas tą samą drogą, którą podąża Francja.

W innych krajach konserwatywna prawica, którą media głównego nurtu nazywają „skrajną", aby ją zdyskredytować, cieszy się rosnącym poparciem wśród wyborców, a w ubiegłym roku weszła nawet do rządów koalicyjnych w niektórych krajach: we Włoszech, w Szwecji, w Finlandii...

Byłem w pierwszym tygodniu lipca w Warszawie podczas szczytu Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, w którym uczestniczyli szefowie rządów Włoch i Polski – Giorgia Meloni i Mateusz Morawiecki. Jest nas coraz więcej u władzy: w Finlandii, w Szwecji, a także w Czechach w rządzie jest Fiala z ODS, a w najbliższej przyszłości odniesiemy sukces w wielu innych krajach. Mam też oczywiście nadzieję, że w Polsce PiS wygra wybory w październiku. Uważam to za pewne, ponieważ dane gospodarcze i sytuacja w Polsce, w tym i pod względem bezpieczeństwa, są bardzo dobre w porównaniu z innymi krajami europejskimi.

VOX jest przedmiotem brutalnej kampanii ze strony wszystkich mediów, wszystkich innych partii, wszystkich dużych firm i wszystkich elit w kraju

Jednak wierzę też, że także we Francji wiele się zmieni, gdyż zawiodła polityka Macrona. Także w Niemczech polityka pani Merkel w jej czasach, a następnie nieprzytomna polityka rządu Olafa Scholza w koalicji z Zielonymi, wyrządziła wiele szkód Europie z powodu gazu i ich inwestycji Nord Stream 1 oraz Nord Stream 2. Najpierw zdali nas na łaskę Rosjan, a teraz wprowadzają reformy, głosząc powrót do natury. Jest to barbarzyństwo atakujące cały sektor rolniczy, hodowlę zwierząt, nasz sposób życia. Ten cały Zielony Ład to zamach na całe regiony. Atakowane są sektor rolniczy i kopalniany, a także atakowane są małe firmy.

Wszędzie odczuwa się skutki polityki ingerencji, inżynierii społecznej, przepisów ograniczających wolność, szantażu i socjalistycznej depresji, która wychodzi z Brukseli i krajów rządzonych przez tego typu rządy. W tym sensie trudno mi wskazać różnicę między Europejską Partią Ludową a socjalistami, ponieważ nawet jeśli od czasu do czasu EPL głosuje z nami, z EKR, w rzeczywistości z reguły oddaje głos za wszystkimi najgorszymi przepisami, które są szkodliwe dla Europy i Europejczyków. EPL przegłosowała wszystkie te przepisy razem z socjalistami, liberałami Macrona, Zielonymi i komunistami. Razem zbudowali większość, którą ja nazywam socjaldemokratycznym konsensusem i która okazała się szkodliwa. Jedyną alternatywą jesteśmy my.

Mimo to czy widzi pan możliwość koalicji z hiszpańską Partią Ludową, która na poziomie europejskim jest członkiem EPL?

Tak, jeśli zgodzą się na program koalicyjny, który będzie dla nas do zaakceptowania. Nie będziemy prosić o więcej, niż możemy sobie pozwolić ze względu na wyniki wyborów. Santiago Abascal jest obecnie najbardziej rozsądnym, racjonalnym i realistycznym przywódcą w Hiszpanii i jednym z najbardziej rozsądnych w Europie. Nie będzie prosić o niemożliwe i nie będzie prosić o nic, co wykracza poza to, co sam może dać. Ale jeśli będziemy wystarczająco silni, aby być częścią takiego programu rządowego, to będziemy domagać się, aby była w tym programie przynajmniej część tego, co narzucilibyśmy, gdybyśmy rządzili samodzielnie. Tak naprawdę to nie tylko Feijóo, lecz także my chcemy rządzić samodzielnie. Natomiast my jesteśmy też gotowi szukać formuł współpracy z Partią Ludową dla dobra Hiszpanii.

Zamierzacie w ten sposób zmusić ich do prowadzenia prawicowej polityki, tak?

Jasne, że tak. Dodam, że jedyna możliwość istnienia rządu, który będzie prowadził prawicową politykę w Hiszpanii, to rząd kierowany przez VOX lub z jego udziałem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Hermann Tertsch – europoseł VOX, wiceprzewodniczący grupy Europejskich Konserwatystów i Reformatorów oraz wiceprzewodniczący Delegacji do Europejsko-Latynoamerykańskiego Zgromadzenia Parlamentarnego (DLAT). Z zawodu dziennikarz. W latach 80. korespondent hiszpańskiej agencji prasowej w Wiedniu zajmujący się Europą Środkową i Wschodnią, a następnie korespondent „El País" w Bonn i Warszawie. Od lat 90. do 2019 r. współpracował z wieloma dużymi hiszpańskimi mediami, m.in. przez wiele lat z dziennikiem „ABC". Aktualnie jest publicystą prawicowego portalu La Gaceta de la Iberosfera.

eprasa.pl 847107cd88

Gambit Erdoğana

Prezydent Turcji Recep Tayyip Erdoğan FOT. AA/ABACA/PAP

Jacek Przybylski

Ankara nie będzie dłużej blokować przyjęcia Szwecji do sojuszu – ogłosił przy okazji szczytu NATO w Wilnie prezydent Recep Tayyip Erdoğan. W zamian uzyskał od Zachodu wiele ustępstw, które już wzmacniają geopolityczną pozycję Ankary. Turcja chce też wznowienia rozmów o członkostwie w UE

W ubiegłym tygodniu prezydent Recep Tayyip Erdoğan oznajmił, że zanim turecki parlament zaakceptuje prośbę Szwecji o członkostwo w NATO, Unia Europejska powinna otworzyć drogę do członkostwa Turcji w bloku 27 europejskich państw. Większość sojuszników w sojuszu północnoatlantyckim jest bowiem jednocześnie członkami Unii Europejskiej. Turcję i kraje UE łączą też wspólne problemy, jak choćby miliony uchodźców z Bliskiego Wschodu i Afryki.

PÓŁ WIEKU U DRZWI UNII

– Turcja czeka u drzwi Unii Europejskiej już od ponad 50 lat – podkreślał w ubiegłym tygodniu przywódca tego kraju Recep Tayyip Erdoğan. – Zwracam się do tych państw, które przez ponad 50 lat trzymały Turcję u bram Unii Europejskiej: otwórzcie drogę do członkostwa Turcji w UE. Gdy wy utorujecie drogę Turcji, my utorujemy drogę Szwecji, tak zrobiliśmy to w przypadku Finlandii – ogłosił prezydent Erdoğan, odnosząc się do wniosków o członkostwo w NATO, które Finowie i Szwedzi złożyli po rozpoczęciu wielkoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę w lutym 2022 r. Finlandia jest już członkiem sojuszu, ale władze w Sztokholmie od kilkunastu miesięcy mają formalną zgodę wszystkich parlamentów krajów NATO poza dwoma: węgierskim i tureckim.

Turcja to nie tylko druga pod względem liczby żołnierzy armia w NATO. To również kraj o ogromnym potencjale gospodarczym, który o wejście do bloku europejskich państw stara się już od ponad pół

eprasa.pl 847107cd88

wieku – od 1963 r. Turcy mają bowiem status członka stowarzyszonego Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. Formalny wniosek o członkostwo w Unii Europejskiej władze w Ankarze złożyły zaś w roku 1987. Od niemal ćwierć wieku Turcja ma już formalny status kraju kandydującego do UE (dokładnie od roku 1999). Na szczycie w grudniu 2004 r. Rada Europejska stwierdziła, że Turcja w wystarczającym stopniu spełnia już kryteria rozpoczęcia negocjacji akcesyjnych. Same negocjacje ruszyły zaś w październiku 2005 r. Rozmowy utknęły jednak w martwym punkcie. Bruksela zaczęła oskarżać Ankarę o łamanie zasad demokracji i praworządności. Negocjacje utrudniały również spory Turcji z władzami należącego do Unii Europejskiej Cypru.

Rozmowy toczyły się wyjątkowo powoli, za co obie strony wzajemnie się obwiniały. Otwarto zaledwie 16 z 35 tzw. rozdziałów negocjacyjnych, które musi zamknąć każdy kraj członkowski. Dotyczą one m.in. kwestii praworządności, wolności mediów, regulacji prawnych, przepisów budżetowych, polityki finansowej etc. Przedstawicielom Turcji i UE – rozmowy najczęściej toczone są na szczeblu ministrów i wiceministrów – udało się zamknąć zaledwie jeden rozdział negocjacyjny: o nauce i badaniach.

OBRONA DEMOKRACJI

W nocy z 15 na 16 lipca 2016 r. w Turcji doszło do próby wojskowego zamachu stanu. Na ulice Stambułu oraz Ankary zbuntowani wojskowi wyprowadzili czołgi oraz żołnierzy, ogłaszając, że „tureckie siły zbrojne całkowicie przejęły kontrolę nad administracją kraju, by zapewnić porządek konstytucyjny, prawa człowieka i wolności, zasady prawa i ogólne bezpieczeństwo, które było naruszone". Samozwańcza Rada na rzecz Pokoju w Ojczyźnie zapowiedziała usunięcie urzędujących władz w obronie demokracji, konstytucji i świeckiego charakteru państwa. W Turcji armia kilkukrotnie wcześniej z sukcesem występowała przeciwko władzy cywilnej (gdy w 1960 r. wojsko przejęło władzę, pierwszy premier wybrany w wolnych wyborach Adnan Menderes został osądzony i stracony; wojsko interweniowało również w proces rządzenia Turcją w latach 1971, 1980 oraz 1997). „Gdyby nie te wszystkie pucze, bardzo prawdopodobnie już bylibyśmy członkiem Unii Europejskiej" – mówił jeden z tureckich dyplomatów, cytowanych przez magazyn „Politico".

„Gdyby nie te wszystkie pucze, najpewniej już bylibyśmy członkiem Unii Europejskiej" – przekonywał niedawno w „Politico" jeden z tureckich dyplomatów

Tym razem doszło jednak do niespodziewanej klęski puczystów. Gdy wojsko ogłosiło zamach stanu, Erdoğan – po którego lecieli już zbuntowani komandosi – błyskawicznie przerwał urlop, poleciał do Stambułu i łącząc się przez smartfon z dziennikarką CNN Turk, zaapelował do swoich zwolenników, aby masowo wychodzili na ulice. Ci posłuchali apelu swojego przywódcy. Pucz potępiły również partie opozycyjne. Demonstrantów protestujących przeciw obalaniu przez wojsko demokratycznie wybranych władz wspierały jednostki resortów wewnętrznych, a także te jednostki wojskowe, które pozostały wierne Erdoğanowi. W brutalnych starciach zginęło ok. 250 cywilów, a kilka tysięcy zostało rannych.

„Wieczorem 15 lipca 2016 r. Organizacja Terrorystyczna Fethullaha Gülena (FETO) zainicjowała krwawą próbę przewrotu wymierzoną w ludność i rząd mojego kraju. Celem terrorystów było ustanowienie radykalnego, fundamentalistycznego reżimu, lojalnego tylko wobec ich prowodyra Fethullaha Gülena" – pisał szef tureckiej dyplomacji Mevlüt Çavuşoğlu, apelując do społeczności międzynarodowej o solidarność z Turcją „w walce z terroryzmem". Prezydent Recep Tayyip Erdoğan przekonywał ówczesnego wiceprezydenta USA Joe Bidena, że muzułmański kaznodzieja Fethullah Gülen – oskarżany przez Turcję o zorganizowanie antydemokratycznego puczu – „zarządza swoją organizacją terrorystyczną z terytorium Stanów Zjednoczonych". Prosił jednocześnie o jego ekstradycję do Turcji, gdzie miałby zostać osądzony.

Prośba władz w Ankarze nie została spełniona. Osiemdziesięciodwuletni obecnie Fethullah Gülen – który od 1999 r. przebywa na dobrowolnym uchodźstwie w amerykańskiej Pensylwanii – zaprzecza udziałowi w zamachu stanu. Po zmianie władzy w Waszyngtonie gen. Michael Flynn opublikował na łamach portalu The Hill tekst, w którym pisał, że „główną kością niezgody między Stanami Zjednoczonymi a Turcją jest Fethullah Gülen, szemrany islamski mułła mieszkający w Pensylwanii, którego były prezydent Clinton nazwał kiedyś swoim przyjacielem". I zaapelował do władz o przekazanie go Turkom. Ekstradycji Gülena do Ankary odmówił w 2018 r. również prezydent Donald Trump, mimo wielokrotnych deklaracji o swojej przyjaźni z prezydentem Erdoğanem. Przedstawiciele Departamentu Stanu wielokrotnie informowali zaś reporterów o ponawianych cyklicznie przez Turcję prośbach o ekstradycję Gülena. Do dziś muzułmański kaznodzieja mieszka spokojnie w USA. Jego zwolennicy mogą zaś liczyć na prawną ochronę w krajach Unii Europejskiej.

KONIEC EPOKI PUCZÓW

Nieudany wojskowy zamach stanu umocnił pozycję w kraju demokratycznie wybranego prezydenta Erdoğana, który ogłosił dzień 15 lipca – a więc dzień, w którym udało się pokonać puczystów – świętem narodowym obchodzonym jako Dzień Upamiętnienia Męczenników. Antygulenowska retoryka stała się zaś częstym elementem przekazu w prorządowych mediach w Turcji, w których religijny ruch Gülena określany jest jako FETO (Organizacja Terrorystyczna Fethullaha Gülena) lub po prostu „sekta terrorystyczna". Według władz członkowie ruchu przeniknęli bowiem nie tylko do armii, lecz także do szkół, prywatnych firm czy mediów, planując przejęcie władzy w kraju.

Tureckie władze rozpoczęły masowe aresztowania w armii oraz w aparacie państwowym. Tysiące osób, w tym oficerów i pilotów sił powietrznych, skazano m.in. za „próbę obalenia porządku konstytucyjnego" czy „usiłowanie zabójstwa prezydenta" na kary dożywotniego więzienia. Zdaniem analityków represje zakończyły „epokę zamachów stanu" w Turcji i sprawiły, że wojskowi – przez lata uważający się za strażników zasad założyciela repu-

eprasa.pl 847107cd88

bliki Mustafy Kemala Atatürka – przestali odgrywać rolę w polityce wewnętrznej.

Jednocześnie zastosowane przez rząd w Ankarze polityczne represje sprawiły, że w listopadzie 2016 r. UE zamroziła negocjacje z Ankarą. W czerwcu 2018 r. Rada Europejska stwierdziła oficjalnie, że negocjacje akcesyjne z Turcją utknęły w martwym punkcie, kraj ten coraz bardziej oddala się od UE i nie można już nawet rozważać zamykania już otwartych rozdziałów negocjacyjnych czy otwierania kolejnych. Europosłowie dyskutowali również nad przestrzeganiem praw człowieka w Turcji, a w październiku 2019 r. potępili turecką operację militarną w północno-wschodniej Syrii. W przyjętym w maju 2021 r. sprawozdaniu Parlament Europejski uznał, że stosunki między UE a Turcją znalazły się na historycznie niskim poziomie. Sam Erdogan nie wykazywał też wówczas specjalnej woli politycznej do słuchania upomnień ze strony Brukseli czy aktywistów nazywających go sułtanem i ostrzegających, że rządzony przez niego kraj zmierza nieuchronnie w kierunku autokracji. Turcja nie wykonuje również wyroków Europejskiego Trybunału Praw Człowieka.

LOJALNOŚĆ WOBEC SOJUSZNIKA

„Nieudany pucz był punktem zwrotnym w historii naszej demokracji" – przekonują tymczasem przedstawiciele władz w Ankarze. W ubiegłym tygodniu Turcy zorganizowali w Szwecji, Niemczech, Belgii, we Francji, w Serbii oraz w Bośni i Hercegowinie cykl międzynarodowych konferencji mających przekonać opinię międzynarodową o prawdziwej naturze puczu z 2016 r. i zwrócić uwagę świata, że mieszkańcy Turcji mimo różnic poglądów zjednoczyli się wówczas, aby bronić demokracji.

Władze w Ankarze konsekwentnie zwracają też uwagę, że wojskowi, którzy aktywnie uczestniczyli w próbie zamachu stanu, otrzymali azyl w kilku krajach zachodnich, co – jak podkreśla Ankara – narusza prawo międzynarodowe.

Turecki sprzeciw wobec rozszerzenia NATO o Szwecję podczas trwania konfliktu rosyjsko-ukraińskiego wywołał irytację wielu zachodnich polityków i publicystów. Ankara wywalczyła jednak podpisanie jeszcze podczas ubiegłorocznego szczytu w Madrycie porozumienia z Finlandią oraz Szwecją, w którym oba kraje nordyckie zobowiązały się m.in. do współpracy z Ankarą w zakresie zwalczania terroryzmu, uznania za organizacje terrorystyczne PKK oraz FETO, a także niewspierania bojowników. W zamian Turcy zgodzili się na politykę otwartych drzwi NATO i na formalne zaproszenie do sojuszu Finlandii i Szwecji.

Władze w Ankarze od kilkunastu miesięcy symbolicznie blokowały jednak szwedzkie aspiracje do członkostwa w NATO, zarzucając rządowi w Sztokholmie nie tylko zbyt pobłażliwe traktowanie manifestantów publicznie palących Koran na ulicach szwedzkiej stolicy, lecz także brak lojalności w kwestii współpracy w walce z terroryzmem. Chodzi o liberalne podejście Szwecji (i niektórych innych krajów UE) do zwalczania sympatyków Partii Pracujących Kurdystanu (PPK) – która w Turcji uważana jest za organizację terrorystyczną – oraz do członków ruchu Fethullaha Gülena (tzw. FETO), który zdaniem tureckich władz stoi za antyprezydenckim puczem, a jego zwolennicy są uznawani przez Ankarę za terrorystów stanowiących istotne zagrożenie dla bezpieczeństwa kraju. W ubiegły czwartek szwedzki Sąd Najwyższy odrzucił wnioski o ekstradycję dwóch Turków poszukiwanych przez władze w Ankarze za członkostwo w ruchu Fethullaha Gülena, a także korzystanie z aplikacji na smartfony używanej przez członków FETO. Szwecja odmówiła wydania mężczyzn, ponieważ jej kodeks karny nie penalizuje czynu, o który mężczyźni są oskarżeni. Taki wyrok zapadł, mimo że w maju obecnego roku Szwecja – licząc na zyskanie przychylności Turcji – zaostrzyła swoje prawo antyterrorystyczne, zgodnie z którym osobom należącym do organizacji ekstremistycznych, których celem jest promocja, wzmacnianie lub wspieranie tych organizacji, grozi kara do czterech lat więzienia.

BROŃ I PIENIĄDZE

Sojusznicy w NATO zdają sobie sprawę z politycznego znaczenia Turcji i jej strategicznego położenia, co ma kluczowe znaczenie zwłaszcza w okresie wojny rosyjsko-ukraińskiej i zaostrzającej się rywalizacji między Stanami Zjednoczonymi a Chinami. Nie bez znaczenia są też relacje gospodarcze. Unia Europejska jest największym rynkiem eksportowym Turcji, a Turcja szóstym co do wielkości partnerem handlowym Unii Europejskiej (w 2022 r. aż 41 proc. eksportowanych towarów tureckich trafiało na unijny rynek, a 26 proc. tureckiego importu pochodziło z krajów UE). Od rosyjskiej agresji na Ukrainę Turcy dyskretnie wspierają więc Ukrainę (m.in. poprzez dostawy słynnych już dronów Bayraktar), nie chcąc jednak palić mostów w relacjach z Rosją. Ankara, podobnie jak przywódcy w stolicach zachodnich, ma świadomość tego, że konflikt rosyjsko-ukraiński będzie długotrwały. Zarówno Turcja, jak i jej zachodni sojusznicy są więc gotowi do podjęcia kolejnej próby polepszenia relacji.

Według analityków brukselskiego instytutu Eurointelligence za ustępstwo w sprawie Szwecji, poza zobowiązaniem się Sztokholmu do zwalczania terroryzmu, Turcy sfinalizowali już z USA umowę na 40 samolotów F-16, a także ponad 900 rakiet powietrze-powietrze oraz 800 bomb. Erdoğan wynegocjował też zniesienie barier eksportowych na sprzedaż broni przez Kanadę.

PARLAMENT NA WAKACJACH

Przewodniczący Rady Europejskiej Charles Michel zapowiedział zaś ożywienie rozmów między Ankarą a Unią Europejską. „Przeanalizowaliśmy szanse na dodanie wagi naszej współpracy i ożywienie naszych stosunków" – głosił post umieszczony przez Michela na Twitterze. Co to konkretnie oznacza? Jeszcze nie wiadomo. propozycja powiązania zgody na akcesję Szwecji do NATO ze wstąpieniem Turcji do UE zaskoczyła wszystkich. Według magazynu „Politico" nie ma mowy o tym, by Unia szybko rozszerzyła się o Turcję, ale za to liderzy UE już stali się otwarci na ocieplenie relacji z Ankarą.

Erdoğan zbyt długo pozostaje na szczytach władzy, aby oddać tureckiego asa tylko w zamian za miłe słowa od innych prezydentów na szczycie w Wilnie. Po tym, jak w poniedziałek wieczorem na wieść o tureckiej zgodzie na przyjęcie Szwecji do NATO w zachodnich stolicach wystrzeliły korki od szampanów, dwa dni później przywódca Turcji zauważył na konferencji prasowej w Wilnie, że jego kraj formalnie może nie być w stanie ratyfikować szwedzkiego wniosku o członkostwo w sojuszu aż do jesieni ze względu na letnią przerwę w obradach tureckiego parlamentu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 847107cd88

Sekretarzem generalnym NATO do października 2024 r. pozostanie Jens Stoltenberg. Wśród tych, którzy mogą zająć jego miejsce, wymienia się szefową KE Ursulę von der Leyen

FOT. THIERRY MONASSE/GETTY IMAGES

Dama na manewrach

Jan Bogatko z Berlina

Przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen ma szansę zostać szefową sojuszu północnoatlantyckiego. Czy będzie to oznaczało wzmocnienie NATO czy raczej jego osłabienie?

Cztery lata temu rozgorzała w Brukseli walka o obsadzenie fotela przewodniczącego Komisji Europejskiej. Dwoje kandydatów stanęło do pojedynku. Przeciwnikiem niemieckiej minister obrony z Berlina został wielki przyjaciel Polski, a ściślej – opozycji totalnej w Polsce, Franciscus Cornelis Gerardus Maria Timmermans (dla przyjaciół Frans), lewicowy polityk z Królestwa Niderlandów. Między Ursulą von der Leyen a Franciscusem czworga imion Timmermansem toczyła się zacięta walka. Oboje mieli swych stronników przed szczytem Unii Europejskiej, przy czym za faworyta w wyścigu do fotela szefa Komisji Europejskiej powszechnie uważano Holendra rodem z Maastricht.

Latem 2019 r. decyzja zapadła. Kandydatów na najwyższe stanowiska w Unii Europejskiej uzgodniono (czyli w zasadzie nominowano). Nie Timmermans, lecz von der Leyen wyznaczono na przewodniczącą Komisji Europejskiej. Dlaczego? Ponieważ państwa Grupy Wyszehradzkiej (Polska, Czechy, Węgry i Słowacja) zablokowały nominację holenderskiego marksisty.

Warszawa nie kryła zachwytu. Paweł Mucha, wówczas sekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta, nie mógł się nacieszyć w wywiadzie radiowym z solidarności Grupy Wyszehradzkiej, „która w polityce europejskiej odgrywa bardzo ważną rolę". I z osoby jedynej kandydatki na przewodniczącą Komisji Europejskiej, Ursuli von der Leyen. Ona – kontynuował Mucha w Polskim Radiu – „dobrze zna sprawy polskie" i „wspiera wschodnią flankę NATO. Mucha podsumował słowami, że wypowiedzi Ursuli von der Leyen dotyczące współpracy transatlantyckiej to „głos w polskim duchu".

I nie był to wcale jedyny głos zachwytu w sferach rządowych w Warszawie. Także Piotr Gliński, minister kultury w randze wicepremiera, stwierdził nie bez dumy, że „osiągnęliśmy swoje cele" (rozmowa w radiowej Trójce). Ryszard Czarnecki, europoseł z ramienia PiS, w PR24 stwierdził wprost, że kandydatura Ursuli von der Leyen to wyraźny po-

eprasa.pl 847107cd88

stęp z porównaniu z Fransem Timmermansem. I dodał – warto to zapamiętać – że Ursula von der Leyen była zawsze przewidywalna w kwestiach stosunków z NATO i opowiadała się za bliskimi relacjami z USA. Czarnecki podkreślił wówczas, że delegacja polska na szczycie w Brukseli wywarła realny wpływ na zablokowanie kandydatury niechętnego Polsce holenderskiego polityka lewicy. Timmermans – mówił Czarnecki – swą polityczną karierę budował na atakowaniu Polski, Węgier i Czech, a zamykał oczy np. na brutalne ataki policji we Francji. Jego konkluzja: żaden polityk, który atakuje Polskę, nie ma szans na karierę międzynarodową.

Także Polski Instytut Spraw Międzynarodowych (PISM) pisał w lipcu 2019 r., po zatwierdzeniu kandydatury Ursuli von der Leyen na stanowisko szefowej Komisji Europejskiej, że nie doszłoby to tego bez poparcia PiS. Politycy lewicy byli wściekli. Czy można z tego wyciągnąć wniosek, że Ursula von der Leyen okaże wdzięczność Polsce? Pochodzi ona z rodziny polityków. Wie zatem, że w polityce nie ma wdzięczności. Są tylko interesy i wyłącznie one się liczą.

POLITYK OD KOŁYSKI

Kim jest Ursula Gertrud von der Leyen? Urodziła się w Belgii, w Ixelles jako Ursula Gertrud Albrecht, w 1958 r. Do 1971 r. mieszkała w Brukseli. Jest politykiem od kołyski. Politykę poznała od podszewki jako córka Ernsta Albrechta, swego czasu premiera rządu krajowego w Dolnej Saksonii. Pracował on (ostatnio na stanowisku dyrektora generalnego) we Wspólnocie Europejskiej. W tym środowisku dorastała przyszła przewodnicząca Komisji Europejskiej. Zanim weszła do wielkiej polityki, szkoliła się w niej na szczeblu lokalnym: jako minister spraw socjalnych, do spraw kobiet i rodziny oraz zdrowia w Dolnej Saksonii z ramienia CDU, następnie – już szczebel wyżej – jako szefowa resortu do spraw rodziny, seniorów, kobiet i młodzieży w rządzie federalnym, potem została federalnym ministrem pracy i spraw socjalnych i wreszcie ministrem obrony. W tym samym czasie pięła się też w górę we władzach partii, pełniąc w latach 2010–2019 funkcję wiceprzewodniczącej CDU.

Kiedy w wyłanianiu kandydata na stanowisko szefa Komisji Europejskiej (a miał nim zostać przecież Frans Timmermans) pojawił się impas, prezydent Francji, Macron, wprowadził do gry Ursulę von der Leyen. Sama opowiadała później, że telefon z Brukseli ją zaskoczył. Jednak na odpowiedź nie kazała długo czekać. Genderowsko poprawny Bankier.pl opowiada o Ursuli von der Leyen: „Lekarka, polityczka, arystokratka. Kim jest Ursula von der Leyen?". Lekarką jest. Ma specjalizację z ginekologii i doktorat. W sprawie doktoratu zarzucono jej plagiat. Owszem, wiele przepisała bez podania źródeł, ale nie tak dużo, jak jej kolega z klubu poselskiego CDU/CSU, minister obrony Karl-Theodor baron zu Guttenberg. Były doktor zu Guttenberg upadł, a doktor Ursula von der Leyen wspięła się na wyższy szczebel politycznej kariery. No więc lekarka i polityk – zgoda. Ale skąd ta arystokratka? W pozbawionej szlacheckich elit po latach 1939–1945 Polsce każde „von" czy „de" przed nazwiskiem uważano błędnie za arystokratyczny tytuł. Tymczasem mimo rasowego wyglądu prezydent Francji, Valéry Giscard d'Estaing, był mieszczuchem (w przeciwieństwie do prezydenta Sarkozy'ego, w którego żyłach płynie jakże cenna dla snobów „błękitna krew"). Mieszczką jest także (z urodzenia) panna Albrecht. Po mężu natomiast jest świeżej daty szlachcianką. Jednak okazuje się, że szlachetne urodzenie odgrywa dzisiaj wcale nie mniejszą rolę niż dawniej. Jej mąż, Heiko von der Leyen, pochodzi z pruskiej rodziny fabrykantów jedwabiu z Krefeld, uszlachconej dopiero w XVIII w. Nie ma ona nic wspólnego z arystokratyczną familią von der Leyen, wygasłą w 1971 r. w osobie Ferdinanda Marii księcia von der Leyen. Niejednemu psu Burek zatem. Jednak nobles jak zawsze oblige.

NA TERENIE WOJSKOWYM

Ostatni (na razie) szczebel rządowej drabiny w Berlinie. Resort obrony. Kanclerz Angela Merkel, szefowa rządu wielkiej koalicji – jak nazywano sojusz prawicy z lewicą (CDU/CSU/SPD) – powołała po raz pierwszy Ursulę von der Leyen na stanowisko ministra obrony 17 grudnia 2013 r. Nominacja wywołała w Berlinie, zwłaszcza w środowisku Bundeswehry, poważne kontrowersje. Eufemizmem byłoby stwierdzenie, że była nielubiana. Przy stammtischach (knajpianych stolikach zarezerwowanych dla stałych gości) blisko koszar prowadzono gorące dyskusje na temat nowej pani minister. Nadaje się, nie nadaje? Przecież nie była w wojsku. Nawet tzw. telewizyjni generałowie, jak były inspektor generalny Harald Kujat, przystąpili do medialnego ostrzału minister z bezpiecznej ambony. Powodem irytacji korpusu oficerskiego było stwierdzenie von der Leyen, że zapuszczone koszary, niewietrzone sale i język z lat 70. XX w., którym posługiwali się wojacy, nie przyczynią się do podniesienia atrakcyjności armii w oczach młodych, zdolnych ludzi. I kolejny zarzut: na szefową zaopatrzenia von der Leyen wybrała Katrin Suder. I tak zlikwidowała ona za jednym zamachem utrzymujące się od dziesiątek lat relacje armii z gospodarką. Była to największa

eprasa.pl 847107cd88

w Niemczech ofensywa w zakresie zaopatrzenia armii od zakończenia zimnej wojny.

Von der Leyen okazała się wbrew obawom wielu żelaznym generałem. Wygrywała bitwę po bitwie. Budżet resortu obrony, atakowanego przez lewicę jako niepotrzebny relikt zimnej wojny, w czasach von der Leyen wzrósł o jedną trzecią – z początkowo 32 mld do 43. Tandem pań von der Leyen i Suder zainwestował ponad 12 mld euro więcej niż w czasach, kiedy na czele resortu stali baron Guttenberg z CSU czy de Maizière z CDU, w pojazdy, broń i amunicję. Dostrzegli to w końcu krytyczni wobec von der Leyen generałowie, aczkolwiek słowa uznania spłynęły na atrakcyjną sekretarz stanu, nie zaś na chłodną raczej w obejściu minister.

Nie przysporzyła też minister popularności wśród żołnierzy decyzja o wycofaniu popularnego karabinku G36 firmy Heckler & Koch (z powodu niskiej celności), za którym oni jednak z nieznanych powodów przepadali. Plastikowe cudo okazało się w praktyce niewypałem, bo G36 ma wadę konstrukcyjną. Jak podała niemiecka telewizja, testy porównawcze wykazały, że po wystrzeleniu czterech magazynków ogniem ciągłym średni punkt trafienia zmienia się o 1,2 m na 100 m! Innymi słowy, po zużyciu czterech magazynków z G36 nie można trafić w przeciwnika oddalonego od strzelca zaledwie o 100 m. „Tagesschau", program informacyjny niemieckiej TV, w 2015 r. informował, że ze 176 tys. sztuk karabinka „znaczną część" oddano Kurdom, walczącym z terrorystami Państwa Islamskiego, uzbrojonymi w niezawodne automaty Kałasznikowa. Jak sobie z nimi radzą, o tym niemieckie media wówczas nie informowały.

To tylko przykłady z licznych problemów, z którymi musiała się uporać Ursula von der Leyen po objęciu teki resortu obrony. Jedna trzeba przyznać, że nie robiła sobie wiele z krytyki. Niezrażona stawiała na przychylnych jej oficerów i żołnierzy „odkurzonej" Bundeswehry. I na międzynarodową politykę bezpieczeństwa, czego wynikiem było postrzeganie Niemiec przez partnerów w NATO jako sojusznika, któremu można zaufać. Czy skutkiem tego nie jest ostatnia propozycja ze strony Stanów Zjednoczonych, dotycząca przewodnictwa w sojuszu północnoatlantyckim? Liczba międzynarodowych manewrów z udziałem Bundeswehry jest niezwykle długa. Von der Leyen – czego nie dostrzegają często niemieccy wojskowi – wiele zrobiła dla wzmocnienia partnerstwa transatlantyckiego i wsparcia sąsiadów na wschód od Odry i Nysy. Ci, a zwłaszcza Polska, podziękowali jej, wspierając jej kandydaturę na funkcję przewodniczącej Komisji Europejskiej, o czym wyżej.

KARAĆ POLSKĘ

Czy Warszawa ma powody do zadowolenia z polityki „swej kandydatki" w Brukseli? Czy spełniła ona oczekiwania, które w niej pokładano? I tak, i nie. Jednak oceniając jej dokonania (czy ich brak), stale musimy pamiętać o tym, że Ursula von der Leyen nie jest polskim politykiem z obozu partii rządzącej nad Wisłą, lecz niemieckim, z ostro skręcającej w lewo partii CDU, która znajduje się w opozycji do ultralewackiej w swej ostatecznej wymowie koalicji rządzącej kanclerza Olafa Scholza (SPD/Zieloni/FDP) w Berlinie. Widać w poparciu dla Ursuli von der Leyen ze strony Polski nie zaszkodziły zbytnio słowa minister obrony w Berlinie, wypowiedziane z końcem 2017 r. W programie telewizyjnym ZDF (drugi program niemieckiej publicznej TV) von der Leyen powiedziała, że ważnym zadaniem jest wspierać „zdrowy demokratyczny opór" polskiego młodego pokolenia (chodziło o lewackie demonstracje). Na zaskakującą wypowiedź niemieckiej minister obrony zareagował ówczesny szef dyplomacji w Warszawie, Witold Waszczykowski, ogólnie stwierdzając, że niemieccy politycy powinni unikać prób dyscyplinowania Polski, a resort obrony w Warszawie stwierdził, że to niedopuszczalne, kiedy rząd obcego państwa wzywa obywateli drugiego do działań antyrządowych. To mnie więcej tak, jakby Warszawa miała popierać chuligańskie burdy „rewolucyjnego 1 maja" w Berlinie czy w Hamburgu, kiedy to lewaccy trampkarze wznosili barykady i podpalali samochody. Resort w Berlinie w odpowiedzi na krytykę wypowiedzi minister w programie TV podkreślił, że partnerstwo z Polską ma wyjątkowe znaczenie, a w ogóle to wiele hałasu o nic, ponieważ słowa minister wyrwano z kontekstu i przekręcono w mediach społecznościowych.

Czy Warszawa ma powody do zadowolenia z polityki „swej kandydatki"? Czy spełniła oczekiwania, które w niej pokładano?

Kiedy w Parlamencie Europejskim rozpoczęły się z końcem 2020 r. negocjacje w sprawie nowego mechanizmu praworządności w UE (oczywiście socjalistycznej praworządności), dwaj niemieccy posłowie do tego parlamentu – z ramienia Zielonych i liberałów – wywierali presję na przewodniczącą KE, Ursulę von der Leyen, by ten mechanizm twardo wdrażać. Lewicowy magazyn „Der Spiegel" walkę z reliktami suwerenności Polski i Węgier w Unii Europejskiej nazwał przesadnie walką o ratowanie praworządności w Europie. Ten nowy mechanizm miał zezwolić UE na zawieszenie (obligatoryjnych, a nie uznaniowych) płatności na rzecz państw członkowskich, które sprzyjają korupcji lub ograniczają niezawisłość sądownictwa według przyjętej definicji.

Jest oczywiste, że Daniel Freund z Zielonych i Moritz Körner nie wpadli na to sami, lecz za głośnym podszeptem posłów polskiej totalnej opozycji w PE. Zarzucili oni von der Leyen, że propozycja karania nie idzie wystarczająco daleko, czym – jak podaje „Der Spiegel" – poirytowali szefową KE. Chcąc uniknąć konfliktu, ustąpiła. Freund zagroził zgoła pozwaniem KE, kiedy von der Leyen nie reagowała na ich szantaż. Doszło do tego w październiku 2021 r. I tak von der Leyen zeszła z obranego początkowo kursu, a KE zamroziła środki z KPO. W rezygnacji z tego kursu, przed czym się długo opierała, niestrudzenie pomagają jej opozycyjny FJN w Polsce i jego zagraniczni sojusznicy. W innych państwach Unii Europejskiej jest to nie do pomyślenia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 847107cd88

Warszawscy słudzy Kijowa

Maciej Pieczyński

Można odnieść wrażenie, że w Polsce panują bardziej proukraińskie nastroje niż na samej Ukrainie. Nad Wisłą nie wypada krytykować władz w Kijowie, bo to „służy Moskwie". Dotyczy to zarówno sprawy Wołynia, jak i bieżącej polityki. Tymczasem sami Ukraińcy nie mają żadnego problemu z wytykaniem błędów swoim rządzącym czy z obroną swoich interesów kosztem Warszawy

W ocenie ludobójstwa wołyńskiego w ukraińskiej opinii publicznej dominuje fałszywe przekonanie o symetrii win między Polakami a Ukraińcami, którzy traktowani są jako dwie równorzędne strony „konfliktu partyzantek", „obopólnych czystek etnicznych", czasem ze wskazaniem na większą odpowiedzialność strony polskiej. Po raz kolejny przekonaliśmy się o tym przy okazji 80. rocznicy „krwawej niedzieli". Niestety, ten punkt widzenia przyjął również prezydent Andrzej Duda. Niczym innym jak właśnie symetrią win była treść oświadczenia, opublikowanego przez głowy obu państw po wspólnych „obchodach" w Łucku: „Razem oddajemy hołd wszystkim niewinnym ofiarom Wołynia! Pamięć nas łączy". Nie wiadomo, którym i czyim ofiarom. W domyśle – tym po obu stronach. Można jeszcze zrozumieć (ale nie usprawiedliwić) takie słowa w ustach Wołodymyra Zełenskiego. Jednak polski prezydent, dający się przekonać do zafałszowanej optyki swojego ukraińskiego kolegi, to już skandal. Bezwarunkowa kapitulacja (a może nawet niechęć do podjęcia zdecydowanych działań) na polu walki o polski interes, a także o prawdę historyczną.

Językiem ukraińskich fałszerzy przeszłości mówi też szef polskiej dyplomacji. Zbigniew Rau oddał hołd „bezimiennym ofiarom tamtejszych wydarzeń". Minister rządu, sformowanego przez koalicję, mającą w nazwie „prawicę". W zasadzie trudno się dziwić, że w tej atmosferze tchórzostwa polskich władz ambasador Wasyl Zwarycz oddał hołd „obywatelom RP, pomordowanym na okupowanych przez III Rzeszę terenach podczas drugiej wojny światowej". A przecież obywatelami RP byli również banderowcy… Łatwo sobie wyobrazić reakcję Kijowa, gdyby polski dyplomata dla odmiany oddał hołd ofiarom wojny na Ukrainie, nie wskazując, kto był tej wojny sprawcą. Jednak na skandaliczny wpis Zwarycza nikt z polskich władz oficjalnie nie zareagował.

Rzecz jasna, bezkrytycznie proukraińska postawa w jeszcze większym stopniu występuje w szeregach lewicowo-liberalnej opozycji, od której jednak nie ma powodu, by się spodziewać obrony dobrego imienia Polski. Krzysztof Śmiszek stwierdził, że Wołyń to „skomplikowana historia", a ludobójstwo nie wzięło się znikąd, tylko odzwierciedliło napięcie, które trwało od kilkuset lat. Radosław Sikorski zasugerował, że Polska powinna przyznać się do zbrodni, których dokonywała szlachta na ukraińskich chłopach w XVII w., zamiast epatować Wołyniem. Podobnego bicia się we własne piersi ze świecą szukać w ukraińskich mediach czy w wypowiedziach ukraińskich polityków.

KULT ZEŁENSKIEGO

Andrzej Duda nie tylko w sferze polityki historycznej udowadnia, że mentalnie i uczuciowo bliżej mu do Kijowa niż do Warszawy. Dowiódł tego podczas ostatniego szczytu NATO. Najpierw publicznie zapewnił, że Polska nie załatwia nic dla siebie, a jedynie dba o interesy państw wschodniej flanki sojuszu oraz Ukrainy. Następnie skrytykował deklarację NATO w sprawie aspiracji akcesyjnych Kijowa. Nazwał ją „absolutnie niewystarczającą". Nic nie wiadomo o tym, żeby Ukraińcy równie bezkompromisowo walczyli po stronie „polskich przyjaciół" na arenie międzynarodowej. Przeciwnie – Kijów realizował swój własny interes narodowy. Niemców ganił, gdy nie chcieli dać broni, i chwalił, gdy tę broń dali. Tymczasem Warszawa wyraża pod adresem Berlina permanentne święte oburzenie. Gdy w odpowiedzi na zalew polskiego rynku ukraińskim zbożem technicznym Warszawa zablokowała jego import i porozumiała się w tej sprawie z Brukselą, ukraińskie władze ostro zaprotestowały. Gdy stało się jasne, że w Przewodowie dwóch obywateli polskich zabiła (przypadkowo, ale jednak) ukraińska rakieta, Zełenski szedł w zaparte, a Warszawa to nieprzejednane stanowisko zaakceptowała. Sprawę zamieciono pod dywan, a nikt ze strony Kijowa nie przeprosił. Dopominanie się o jakikolwiek gest w tej dość oczywistej sytuacji nad Wisłą bywało często krytykowane jako „wpisywanie się w narrację Kremla". Podobnie zresztą jak w przypadku domagania się od Ukraińców prawdy o Wołyniu. Żałośnie w tym świetle wyglądają wypowiedzi

eprasa.pl 847107cd88

polskich elit rządzących, porównujące Buczę do Katynia, a zniszczony Mariupol do zburzonej w 1944 r. Warszawy. Polska nazywa Buczę ludobójstwem, a Ukraina nazywa Wołyń „tragedią"...

Ocena polityki Kijowa jest u nas często oparta nie tyle na chłodnych analizach, ile na myśleniu życzeniowym, ukształtowanym przez sympatię dla południowo-wschodniego sąsiada. Polskie władze – a także spora część klasy politycznej i medialnej – nieprzejednanie stoją na stanowisku, że wojna musi zakończyć się pełnym i niepodważalnym zwycięstwem Ukrainy, które oznaczałoby odzyskanie wszystkich okupowanych terytoriów, łącznie z Krymem. Krytykowane są jakiekolwiek propozycje negocjacji, porozumienia czy najmniejszych choćby ustępstw wobec agresora. Rzeczywiście, Ukraińcy wciąż nie są gotowi do jakichkolwiek rozmów z Moskwą. Z czasem jednak ta sytuacja może się zmienić, również pod wpływem Zachodu, który często daje sygnały, że kiedyś trzeba będzie tę wojnę zakończyć. Ciekawe, czy i wówczas Polska będzie bardziej antyrosyjska niż sama Ukraina. Ponadto od pierwszych miesięcy wojny nad Wisłą panuje niepoprawny hurraoptymizm. Wszelkie głosy wątpiące w to, że Ukraina wygrywa, poddawane są ostracyzmowi. Nawet komentatorzy, którzy z troską stwierdzali, że Kijów przegrywa, ale że właśnie dlatego potrzebuje większej pomocy od Zachodu, otrzymywali łatki „ruskich onuc".

Polskę, podobnie jak kraje Zachodu, ogarnął kult Zełenskiego. Podziw dla silnego polityka, odważnego i sprawnego wizerunkowo, jest zrozumiały. Nad Wisłą jednak przybrał irracjonalny charakter. Jakakolwiek krytyka pod adresem ukraińskiego prezydenta postrzegana jest jako działanie na korzyść „ruskich". Swoją drogą to pogardliwe określenie też robi u nas wielką karierę. Mało kto zdaje sobie sprawę, że nazywając Rosjan „ruskimi", używa się ich własnej, agresywnej retoryki. Absurdem jest już natomiast powszechna moda na nazywanie pierogów ruskich „ukraińskimi". Choć przecież ta tradycyjna nazwa odsyła do Rusi, a nie do Rosji.

Zełenski po 24 lutego próbuje skupić w swoich rękach jak największą władzę, korzystając z tego, że podczas wojny kraj potrzebuje jedności. Rada Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony wyłączyła nadawanie trzech kanałów telewizyjnych związanych z Poroszenką. Zatrzymany przez SBU prorosyjski działacz Wiktor Medwedczuk złożył zeznania obciążające byłego prezydenta, w których z pewnością jest sporo prawdy, niemniej trudno nie dostrzec w całej sprawie politycznych intencji. Opozycja skupiona wokół Poroszenki, przed 24 lutego nieprzejednanie wroga Zełenskiego, w obliczu agresji Rosji złagodziła swój ton, ale z krytyki całkowicie się nie wycofała, uderzając częściej jednak w partię Sługa Narodu niż w samego prezydenta, którego popularność na Zachodzie była i jest istotnym kapitałem w walce z najeźdźcą. Jednak nawet w ramach tej bardziej stonowanej retoryki padały bardzo ostre zarzuty, m.in. o to, że Zełenski zlekceważył rosyjskie zagrożenie i zaniedbał przygotowania do obrony. Opozycyjny dziennikarz śledczy Jurij Butusow stwierdził nawet, że z powodu uspokajających „kłamstw" prezydenta zginęły dziesiątki tysięcy ludzi, nieświadomych nadciągającego niebezpieczeństwa.

Ostatnio opozycja atakuje Zełenskiego również za nieskuteczność w relacjach z Zachodem. Poroszenko publicznie stwierdził, że wileński szczyt NATO był dla Ukrainy nieudany, bo nie uzyskano żadnych wiążących deklaracji w sprawie przystąpienia do sojuszu. Tymczasem polska opinia publiczna w tej sprawie albo pomstuje na Zachód i solidaryzuje się z Zełenskim, albo twierdzi, że mimo wszystko odniósł w Wilnie sukces. Głosy krytyczne są w mniejszości.

Nad Wisłą jakakolwiek krytyka głowy państwa ukraińskiego była często odbierana jako wpisywanie się w narrację Kremla. W afrontach, które od czasu do czasu spotykały Warszawę ze strony Kijowa, wielu naszych ekspertów do spraw wschodnich skłonnych było widzieć rękę jeśli nie Moskwy, to przynajmniej poprzedniej ekipy rządzącej. Co złego, to Petro Poroszenko. Najzabawniejsze, że ci, którzy takie tezy formułowali, przed dojściem Zełenskiego do władzy głosili zupełnie odmienny pogląd. Podczas kampanii wyborczej w 2019 r. stawiali na Poroszenkę, w jego rywalu widząc „ruskiego agenta", który będzie chciał ustąpić Pu-

eprasa.pl 847107cd88

Nikt w Polsce nie zareagował na skandaliczny wpis ambasadora Ukrainy Wasyla Zwarycza w sprawie zbrodni na Wołyniu

FOT. PAWEŁ SUPERNAK/PAP

Polskę, podobnie jak kraje Zachodu, ogarnął kult Zełenskiego. Nad Wisłą jednak przybrał on irracjonalny charakter

tinowi. A skoro tak, to już lepiej trzymać kciuki za prozachodniego neobanderowca. Wniosek nasuwa się oczywisty – owi komentatorzy stali po stronie ukraińskich władz walczących z Rosją, jakie by te władze były. Gdy Zełenski, zamiast „onucą", okazał się „młotem na Moskali", stał się idolem, nad Wisłą uwielbianym bardziej niż jego poprzednik.

WEWNĘTRZNY FRONT

Niewątpliwie problemem wizerunkowym już w pierwszym roku wojny okazała się korupcja na szczytach władz. Poleciało parę głów, w tym także bliskich współpracowników prezydenta. Stanowisko stracili nawet szef SBU oraz prokurator generalna. Oficjalnie z powodu licznych przypadków zdrady państwa w kierowanych przez nich instytucjach. Spekulowało się jednak, że prawdziwym celem „czystek" była konsolidacja władzy w rękach części obozu rządzącego. Co i rusz okazywało się, że bogaci ukraińscy politycy, urzędnicy czy oligarchowie podczas wojny relaksują się w ciepłych krajach, kupują sobie drogie posiadłości po zaniżonych cenach albo rozbijają się po ulicach miast luksusowymi samochodami.

W Polsce do tego typu rewelacji publicznie odnoszono się w trzech przypadkach: albo (rzadziej) przedstawiano je jako argument na rzecz tezy o „upadłym państwie Ukraina", albo (dużo częściej) jako dowód, że Zełenski bohatersko walczy z patologiami na szczytach władzy, albo (najczęściej) przekonywano, iż samo mówienie o problemach na Ukrainie jest na rękę propagandzie Putina. Wniosek był prosty: kto wspomina o korupcji nad Dnieprem, ten ruski agent. Tymczasem o tych wszystkich problemach pisały same ukraińskie media. I to bynajmniej nie prorosyjskie, ale patriotyczne, bez żadnych wątpliwości zainteresowane zwycięstwem w wojnie z Rosją. Absolutna większość portali i gazet piętnowała korupcję i nadużycia władzy. Oczywiście w największym stopniu czyniły to media związane z opozycją. Na ten temat nie milczały jednak również środki przekazu przychylne władzy.

Nie było w tym jednak woli oczernienia władz czy kraju. Przeciwnie – akcentowano potrzebę oczyszczenia struktur państwa z patologii. Dziennikarz śledczy „Ukraińskiej Prawdy" Mychajło Tkacz, który ujawnił sporą część tych nadużyć, publicznie zwrócił się do prezydenta z prośbą o to, by zaangażował się w tę walkę na „wewnętrznym froncie" i pomógł w rozliczeniach. Wojna ukraińsko-ukraińska prowadzona jest dużo bardziej odpowiedzialnie i z dużo większym szacunkiem do państwa jako takiego niż wojna polsko-polska. Część naszych mediów, przyzwyczajonych do bezkrytycznego popierania jednej ze stron, swój uproszczony, zero-jedynkowy, upartyjniony sposób postrzegania świata projektuje na Ukrainę.

To dotyczy nawet stosunku do Rosji i rosyjskości. Oczywiście Kijów prowadzi bezwzględną i konsekwentną derusyfikację przestrzeni publicznej, czemu ciężko się dziwić. Jednakże największe media ukraińskie oferują czytelnikom serwisy internetowe zarówno w języku ukraińskim, jak i w języku rosyjskim. To zrozumiały pragmatyzm. Spora część Ukraińców, mając jednoznacznie patriotyczne poglądy, jednocześnie na co dzień wciąż posługuje się „językiem okupanta". Próby rugowania kultury rosyjskiej z przestrzeni publicznej w Polsce w tym kontekście wyglądają absurdalnie. Oczywiście w tej sprawie działają nie tylko bezkrytyczna sympatia do Ukraińców, lecz także tradycyjna nad Wisłą niechęć do Rosji i wszystkiego, co rosyjskie.

HURRAPROUKRAINIZM

Łukasz Jasina najwyraźniej dziś już by nie powtórzył swojej słynnej frazy: „Jesteśmy sługami narodu ukraińskiego". A jednak wielu Polaków wciąż pod taką deklaracją by się dziś podpisało. I to nie tylko lewica, która w Polsce z natury rzeczy więcej ma empatii dla Ukraińców niż dla Polaków. To jednak swoją drogą również ciekawy przypadek do porównania. Ukraińska lewica z reguły broni UPA, ponieważ traktuje ją jako słabszą mniejszość, walczącą z przeważającymi siłami wroga (ZSRS). Dobrym przykładem jest pisarka, feministka Oksana Zabużko. Czy można sobie wyobrazić, aby z podobną empatią o Żołnierzach Wyklętych wypowiadała się np. Olga Tokarczuk albo Krzysztof Śmiszek? No właśnie.

Generalnie rzecz ujmując, słuchając hurraproukraińskich wypowiedzi polskich polityków, publicystów czy nawet czytając takowe komentarze w Internecie, można odnieść wrażenie, że, paradoksalnie, mają oni bardzo niskie mniemanie o sile państwa ukraińskiego. Z jednej strony bowiem wierzą, że Ukraina odzyska Krym i doprowadzi do rozpadu Rosji. Z drugiej strony zdają się obawiać, że jakakolwiek krytyka ze strony Warszawy pod adresem Kijowa doprowadzi do zwycięstwa Putina nad Zełenskim. Ukraińcy odblokowują ekshumacje i potępiają UPA, a na drugi dzień Rosjanie zdobywają Charków. W Polsce ktoś pisze o korupcji na szczytach ukraińskich władz i chwilę potem czołgi Putina grzeją silniki pod Kijowem. Polska nie zgadza się na zalew technicznym zbożem ze wschodu i tydzień później banderowski Lwów staje się Lwowem stalinowskim. Naprawdę?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 847107cd88

Wiecznie wschodząca potęga

Jakub Wozinski

Od dłuższego czasu nie brak w Polsce wielkich nadziei, że jako kraj przyfrontowy staniemy się za sprawą Stanów Zjednoczonych gospodarczą potęgą

Klub najbogatszych krajów świata to bardzo hermetyczne środowisko, które nie dopuszcza do swojego grona nowych członków bez naprawdę ważkiego powodu. Zachód zbudował swoją zdecydowaną przewagę gospodarczą nad całą resztą świata jeszcze w XIX w. i od tego czasu jedynie nielicznym krajom udzielił licencji na bycie wysoko rozwiniętym państwem. Tego rodzaju łaska przypadła w udziale przede wszystkim rajom podatkowym, petrodolarowym państwom arabskim, Izraelowi oraz przyfrontowym państwom, mającym zgodnie z wizją Waszyngtonu stanowić kapitalistyczną zaporę dla komunistycznej nawały.

Reprezentantami ostatniej z wymienionych tu kategorii były m.in. Tajwan i Korea Południowa, a w znacznej mierze także Republika Federalna Niemiec oraz Japonia. Zarówno Niemcy, jak i Japończycy posiadali już wprawdzie doskonale rozwinięte gospodarki od wielu lat, ale po zakończeniu drugiej wojny światowej zapewniono im wręcz szklarniowe warunki do rozwoju, a na dodatek zdjęto z nich ciężar odpowiedzialności materialnej za popełnione zbrodnie i dokonane zniszczenia.

Strategia budowania przyfrontowych i lojalnych wobec siebie potęg gospodarczych nasyconych wielką liczbą inwestycji okazała się dla Stanów Zjednoczonych niezwykle udana, gdyż z jednej strony umożliwiła znaczną ekspansję ich własnego kapitału, a z drugiej strony była dużo bardziej wydajną metodą konfrontacji ze światem komunistycznym. W ostatecznym rozrachunku system sowiecki rozpadł się w znacznej mierze właśnie dlatego, że materialny dostatek krajów „wolnego świata" stał się dla spauperyzowanych mieszkańców krajów komunistycznych najsilniejszym z argumentów przemawiających za odrzuceniem marksistowo-leninowskiej wizji ułożenia stosunków gospodarczo-społecznych.

Rosyjska agresja przeciwko Ukrainie sprawiła, że wizja przekształcenia się w nowy Tajwan czy RFN zyskała w Polsce na szczególnej popularności. Wielkie nadzieje z tym związane żywi przede wszystkim obóz rządzący, który w ostatnich amerykańskich inwestycjach na terenie Polski widzi zapowiedź jeszcze większego zaangażowania kapitałowego

eprasa.pl 847107cd88

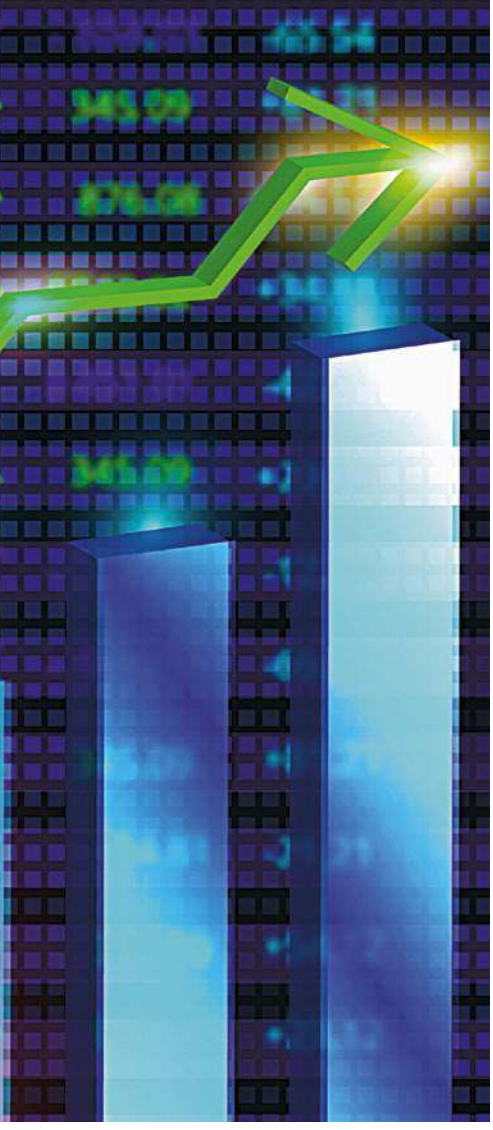

FOT. ADOBE STOCK

największego mocarstwa świata w naszą gospodarkę. Głównym przedmiotem kwietniowej wizyty premiera Morawieckiego w Waszyngtonie były w zasadzie rozmowy na temat przyciągnięcia kolejnych inwestycji nad Wisłę.

LIDER EUROPY Z DRUGORZĘDNĄ INWESTYCJĄ

Zaledwie dwa tygodnie po wybuchu wojny Alphabet ogłosił w Warszawie projekt o wartości 700 mln dol., w którym zatrudnienie ma znaleźć 2,5 tys. osób. Już po powrocie premiera zza oceanu Visa obwieściła plany stworzenia globalnego centrum technologicznego i produktowego dla 1,5 tys. pracowników. I wreszcie na początku czerwca Intel przedstawił projekt budowy fabryki półprzewodników na Dolnym Śląsku o wartości 20 mld zł, który został przez premiera przyjęty z wielkim entuzjazmem jako największa inwestycja w dziejach Polski.

Inwestycja Intela jest jak na polskie warunki rzeczywiście imponująca. W mediach rzadziej mówiło się jednak o innej inwestycji amerykańskiego potentata, która najlepiej podsumowuje nasz rzekomo wyróżniony status „nowej potęgi" i „lidera Europy". Zaledwie 400 km na zachód od proponowanej polskiej lokalizacji fabryki Intela w Magdeburgu powstanie kilkukrotnie większa jednostka o wartości 33 mld dol., czyli ponad siedmiokrotnie większej niż ta zarezerwowana na inwestycje na Dolnym Śląsku.

Rozmach amerykańskiej inwestycji w byłym NRD najłatwiej uświadomić sobie poprzez to, że odpowiada ona wartości połowy wszystkich inwestycji amerykańskich w Polsce przeprowadzonych do 2020 r. Amerykanie nie są najwidoczniej nazbyt szczególnie obrażeni na Niemców za ich postawę w stosunku do Chin oraz niespieszne zrywanie więzów z Rosją, skoro zdecydowali się obdarzyć ich tak istotną z punktu widzenia światowych łańcuchów dostaw inwestycją. Jednocześnie wybór Niemiec, a nie Polski pokazuje najlepiej, ile w praktyce znaczy rytualne klepanie nas po plecach i wygłaszanie frazesów o przesuniętym środku ciężkości oraz „nowym przywództwie" w Europie. Brutalne dla nas fakty są takie, że Niemcy, opierając się na niezwykle długich tradycjach kontaktów biznesowych, jeszcze bardzo długo będą preferowanym kierunkiem amerykańskich inwestycji. W najbliższych latach można się wręcz spodziewać, że niemiecka gospodarka będzie chłonąć ich szczególnie dużo ze względu na narastające własne technologiczne zapóźnienie względem światowych liderów.

Mimo że na papierze Polska pozostaje wraz z Wielką Brytanią i Ukrainą najlepszym sojusznikiem militarnym i politycznym USA w Europie, trudno dopatrzyć się tego, w jaki dokładnie sposób miałaby odebrać Niemcom ich ugruntowany już niemal 80-letnią współpracą status gospodarczego partnera klasy premium. Osobom marzącym o osiągnięciu statusu gospodarczej potęgi trudno niestety przychodzi zrozumienie tego, że Polska ma co najmniej kilku poważnych rywali do tego, aby stać się „nowym Tajwanem". Ewentualny deszcz wielkich inwestycji może się więc najzwyczajniej w świecie rozproszyć i spaść na nawet kilkanaście państw naszego regionu.

GLOBALIŚCI WSKRZESZĄ UKRAINĘ?

Wielkim konkurentem w tym zakresie może się także stać dla nas Ukraina, która obecnie wciąż stanowi przedmiot zmasowanych ataków rosyjskiej armii, lecz już za jakiś czas może znacząco zmienić swój charakter. Prezes BlackRock Larry Fink obiecał przecież, że po wojnie Ukraina stanie się światową „latarnią kapitalizmu". Całkowicie zdane na zachodnie finansowanie ukraińskie państwo już teraz przyjęło wiele rozwiązań prawnych, podatkowych i organizacyjnych, które mogą je w przyszłości uczynić światowym ulubieńcem międzynarodowych korporacji i wielkiego kapitału.

Scenariusz „latarni kapitalizmu" do pewnego stopnia już się właściwie realizuje, o czym świadczy choćby to, że takie firmy jak Carlsberg i Philip Morris ogłosiły niedawno nowe inwestycje w Kijowie i we Lwowie. W czasie niedawnej konferencji w Londynie wolę odbudowy Ukrainy zadeklarowało już ponad 400 firm o globalnym znaczeniu. Przy współpracy z bankiem JP Morgan i BlackRock trwają również prace nad uruchomieniem Funduszu Rozwoju Ukrainy, który ma pomóc sfinansować wiele kluczowych inwestycji. Wielki wysiłek lobbystyczny prowadzony przez Ukraińców w USA jeszcze przed wybuchem obecnej wojny zademonstrował, że nasi wschodni sąsiedzi mają (głównie dzięki oligarchom żydowskiego pochodzenia) dużo większe wpływy w Waszyngtonie i Nowym Jorku niż Polska.

Ewentualne przekierowanie wielkiego kapitału do Ukrainy po wojnie byłoby tym bardziej naturalne, że świat zasadniczo nie wie o polskim zaangażowaniu w wojnę. Ukraina zalicza właśnie najbardziej spektakularną medialną kampanię wizerunkową w swoich dziejach i w razie korzystnego dla niej rozstrzygnięcia konfliktu z pewnością spieniężу wartość swojej PR-owskiej marki. Jeśli świat wielkiego biznesu przeznaczał w ostatnich latach miliardy na tęczową i neomarkistowską propagandę w ramach raportowania ESG, to nie będzie dla niego problemem przerzucić się w ramach

eprasa.pl 847107cd88

nowej mody na finansowanie nawet tak ryzykownego przedsięwzięcia jak odbudowa Ukrainy.

BEZ WŁASNYCH MAREK

Istotną przeszkodą dla przekształcenia się Polski w nową potęgę gospodarczą na wzór Korei Południowej pozostaje także tradycyjnie słaba pozycja rodzimego biznesu i przemysłu. Gdy po drugiej wojnie światowej Stany Zjednoczone tworzyły dla namaszczonych przez siebie państw szklarniowe warunki do wielkiego wzbogacenia na międzynarodowych rynkach, można się było jeszcze dość swobodnie rozpychać. Globalne marki nie dominowały jeszcze tak jak dzisiaj i dzięki temu Korea była w stanie wypromować Samsunga, LG czy Hyundaia.

Prognozy roztaczające wizję przyszłej potęgi i bogactwa tradycyjnie łechcą polskie ucho

Pomimo tego, że wartość polskiego eksportu bije właśnie wszelkie dotychczasowe rekordy, nie przekłada się to w żaden sposób na podbój światowych rynków przez rodzime marki. Nasze największe firmy są wciąż skromne pod względem kapitalizacji i pozycji rynkowej nawet jak na europejskie warunki. Długofalowo zaś jeszcze żadnemu krajowi nie udało się uzyskać statusu prawdziwej potęgi gospodarczej, nie wspierając się na sile rodzimego biznesu. Rozkładanie przed Intelem czerwonego dywanu pokazuje natomiast, że wśród rządzących nadal dominuje błędne przekonanie, że dobrobyt da się zbudować głównie w oparciu o zagraniczne inwestycje.

Rządzący przybliżyliby nas do statusu rzeczywistego tygrysa gospodarczego, gdyby zamiast wpatrywać się w dające dość mylny obraz rzeczywistości wskaźniki rosnącego eksportu, PKB czy też stale niskiego bezrobocia, skupili się wreszcie na dopieszczeniu sektora rodzimych przedsiębiorstw. Tymczasem w ostatnim czasie uderzono w niego Polskim Ładem, a w szczególności nowym podatkiem zwanym dla niepoznaki składką zdrowotną. Nieprzewidywalność polskiego prawa podatkowego w połączeniu z forsowaną ideą opierania życia gospodarczego na dominacji spółek Skarbu Państwa sprawiają, że szanse na wykształcenie się „polskiego Samsunga" spadają niemal do zera.

POLSKA BĘDZIE POTĘGĄ?

W wydanej w 2009 r. książce „Następne 100 lat" George Friedman po raz pierwszy rzucił hasło „Polska będzie potęgą". Amerykański politolog powtarza swoje prognozy ku uciesze części polskiej opinii publicznej co kilka lat, lecz mało kto zwraca dziś jeszcze uwagę na to, że argumentacja Friedmana sprzed 14 lat nie różni się co do istoty od obecnych oczekiwań względem nowego geopolitycznego rozdania. Już wtedy bowiem założyciel ośrodka Stratfor przekonywał, że Polska będzie wspierana przez USA niczym Izrael na Bliskim Wschodzie i dostąpi dzięki temu zaszczytu bycia liderem całego bloku państw Europy Środkowo-Wschodniej. Kilka lat temu Friedman podał nawet dokładny horyzont czasowy, w jakim Polska osiągnie status potęgi. W świetle tej prognozy nasze państwo miałoby być regionalnym mocarstwem jeszcze przed połową wieku.

Na ewentualne spełnienie się tej przepowiedni przyjdzie oczywiście jeszcze poczekać, ale uwagę zwraca przede wszystkim to, że tezy Friedmana bazują niezmiennie na rzekomym wyjątkowym statusie Polski wśród amerykańskich sojuszników na kontynencie, który z kolei miałby stać się główną przyczyną sprawczą wielkiego deszczu inwestycji. W tym sensie wojna na Ukrainie niczego tak naprawdę nie zmieniła, gdyż teoretycznie zajmujemy wysoką pozycję na amerykańskiej liście priorytetów już od wielu lat. Czy rzeczywiste działania Stanów Zjednoczonych potwierdzają jednak tę tezę? Można w to co najmniej powątpiewać.

O wiele bardziej prawdopodobna jest niestety teza, że pochlebne opinie i wizje przyszłej potęgi to narzędzie, przy pomocy którego wymusza się na Polsce określoną postawę. W efekcie funkcjonujemy jako wiecznie wschodząca potęga, która żyjąc nadzieją przyszłej chwały, robi, co może, aby zasłużyć na wielkie inwestycje. Dyrektor generalny Intel Pat Gelsinger w czasie ceremonii otwierającej inwestycję na Dolnym Śląsku stwierdził nawet, że „Polska była bardziej głodna tej inwestycji niż inni". To szokujące stwierdzenie obrazuje niestety idealnie postawę rządu, który goniąc wiecznie za mirażem potęgi z amerykańskiego nadania, jest w stanie upokorzyć się przed globalną marką.

Wariant wielkiego wzbogacenia w oparciu o szczególne znaczenie dla amerykańskiego systemu politycznego jest również zawodny dlatego, że w gruncie rzeczy powinniśmy zaliczyć ogromny awans materialny już po 1989 r. Z pewnością minione 34 lata dźwignęły nas na zdecydowanie wyższy poziom, ale nie staliśmy się przecież bogaci niczym Niemcy, Japończycy czy Koreańczycy. Pomimo wielu korzystnych efektów związania się z obozem zachodnim jeszcze wiele lat nie będziemy w stanie opuścić poczekalni krajów rozwijających się (o ile kiedykolwiek ją opuścimy). Na dodatek niezwykle wysoki entuzjazm wobec Stanów Zjednoczonych w polskim społeczeństwie (jeden z najwyższych na świecie) jedynie umocnił naszych partnerów zza Atlantyku w przekonaniu, że najważniejszy cel został osiągnięty i nie trzeba go szczególnie umacniać ponadnormatywnie wysokim poziomem inwestycji. Nasza proamerykańskość ma niekiedy dobre strony, ale jednocześnie niweluje potrzebę cementowania więzi politycznych twardymi gospodarczymi argumentami.

Prognozy roztaczające wizję przyszłej potęgi i bogactwa tradycyjnie łechcą polskie ucho, a wyjątkowe wzmożenie cmokających z zachwytu nad naszym rozwojem think tanków i publicystów sprawiło dodatkowo, że przedstawiciele obozu rządzącego jeszcze bardziej podkręcili w ostatnim czasie narrację o szybkim doścignięciu zachodniego poziomu życia. Rozbudzone oczekiwania nie znajdują jednak pokrycia w rzeczywistości, która jest dużo bardziej prozaiczna, niż się może wydawać. Pod względem aktywności przy wspieraniu amerykańskich planów obrony Ukrainy rzeczywiście „wysunęliśmy się na pierwszy plan" i „przesunęliśmy polityczny środek ciężkości" w stronę Europy Środkowo-Wschodniej, lecz w danych ekonomicznych zupełnie tego nie widać.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 847107cd88

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Konfederacja powyżej 20 proc.?

Blady strach padł na anty-PiS. Myśl, że PiS rządzi – i to już drugą kadencję – jest straszna; myśl, że PiS mógłby rządzić jeszcze jedną, czyli już aż trzecią – i to z rzędu – kadencję, jest jeszcze straszniejsza, lecz myśl, że PiS mógłby rządzić razem z Konfederacją albo przy jej choćby cichym wsparciu, jest po prostu nie do wytrzymania.

A co dopiero, gdyby Konfederacja, która chyba już na trwałe (na tyle, na ile w polityce cokolwiek może być trwałe) przekroczyła 10 proc. poparcia, a w ostatnich dniach przekroczyła 15 proc. – nadal pięła się w górę i zaczęła się zbliżać do 20 proc.? A potem – za kilka–kilkanaście kwartałów – przekroczyła 20 proc. i nadal szła w górę? Z szansą na sformowanie rządu?

No, po prostu strach się bać. Konfederacja bowiem to dla anty-PiS diabeł wcielony. To samo zło w najczystszej postaci, to skaza na honorze Polski i Polaków. A jej rządy byłyby niczym czarny sen.

Czy można bowiem tak bezceremonialnie, tak obcesowo stawiać interes Polski na pierwszym miejscu? I w dodatku tak głośno o tym rozpowiadać? Czy można – i to aż tak otwarcie – nie chcieć gościć w Polsce tych migrantów, którzy nie tyle nie służą, ile wprost szkodzą polskim interesom – bez skrupułów żyjąc na koszt polskich podatników? A także zbyt dużej liczby tych migrantów, którzy co prawda w małej liczbie wspierają naszą gospodarkę, lecz w zbyt dużej liczbie – pochodząc z jednego kraju – mogliby zagrozić stabilności jednonarodowego państwa? I w dodatku domagać się cofnięcia socjalu dla wszystkich migrantów, a zagwarantowania dostępu do niego wyłącznie dla obywateli Polski?

Czy można tak jasno – bez jakichkolwiek hamulców – deklarować, że bogactwo całego narodu i każdego obywatela państwa z osobna bierze się wyłącznie z pracy, a nie z zasiłków, które w dodatku – i na domiar podkreślać to po stokroć – zabijają naturalną przedsiębiorczość ludzi, skłaniając ich do lenistwa i życia na cudzy koszt?

No toż to przecież horrendum do kwadratu, to rzecz nie do pojęcia i nie do przyjęcia dla wszystkich pozostałych – tych jawnie lewicowych i tych mniej czy bardziej udanie udających nielewicowe – partii politycznych.

Dla ich liderów i świadomych wyborców najpierw ewentualne przekroczenie przez Konfederację 20 proc. albo i więcej poparcia, potem zdobycie 20 proc. albo i więcej głosów w wyborach do Sejmu i Senatu, a na końcu sformowanie rządu oznaczałoby – nie inaczej – koniec świata. Bo to byłby ich koniec świata – koniec ich świata. Który wszelako zapewne nie nadejdzie, zważywszy na skłonność aż tak wielu Polaków do życia na koszt innych Polaków, czemu dają wyraz podczas kolejnych wyborów. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Fałszywy dogmat

Za członkostwem Ukrainy w NATO jest dziś ogromna większość mieszkańców tego kraju: 89 proc. Nawet na wschodzie wskaźnik jest bardzo wysoki: 79 proc. Polacy natomiast są sceptyczni, gdy idzie o szybkie przyjęcie naszego sąsiada do sojuszu. 47,7 proc. badanych nie chce natychmiastowego wejścia Ukrainy do NATO. Innego zdania jest 40 proc.

Co nam to mówi? Po pierwsze – jak rozpowszechnione jest myślenie życzeniowe, głównie na Ukrainie, ale też w Polsce. Najwyraźniej 40 proc. badanych kompletnie nie rozumie konsekwencji, jakie niosłoby za sobą włączenie Ukrainy do NATO w tym momencie. Te osoby nie rozumieją również, że jest to całkowicie nierealne. Sojusz nie przyjmuje krajów, które toczą wojnę, czy nawet takich, które mają nieuregulowany status terytorialny (Turcja z konfliktem cypryjskim to inna sprawa, wraz z Grecją przystąpiła w całkiem innych realiach, jeszcze w 1952 r.).

Czy niewejście Ukrainy do NATO zmniejszałoby jej determinację w przeciwstawieniu się Rosji? Bynajmniej

Zadziwiające jest jednak, jak gładko przyjęto ogólny cel – którym jest członkostwo Ukrainy w NATO – jako dogmat. Tymczasem bilans takiego kroku, nawet w dalszej przyszłości, nie jest bynajmniej oczywisty. Owszem, jest poważny argument za, który mówi, że Rosja nie zaatakuje kraju NATO, a więc po zakończeniu (zamrożeniu) obecnej wojny dołączenie Kijowa do przymierza dałoby gwarancję, iż atak się nie powtórzy. Jest też jednak argument odwrotny: przyjęcie Ukrainy będzie wymuszało na Rosji kolejny atak na ten kraj, stawiając ją przed wyzwaniem z jej punktu widzenia egzystencjalnym, a taki atak będzie oznaczał wciągnięcie Zachodu do wojny tym razem gorącej. Polska będzie na pierwszej linii. Ten punkt widzenia nie jest w ogóle w dyskusjach uwzględniany.

Czy niewejście Ukrainy do NATO zmniejszałoby jej determinację w przeciwstawieniu się Rosji? Bynajmniej. Powrót do jakiejś formy odprężenia między tymi dwoma krajami – a cóż dopiero do zwrotu Ukrainy na wschód – wydaje się niemożliwy przez dekady. Po co zatem brać na siebie jednoznaczne (na ile jednoznaczny jest art. 5. Traktatu Północnoatlantyckiego) zobowiązania tworzące dla nas realne ryzyko? Wypracowana w Wilnie formuła partnerstwa powinna wystarczyć. W polityce międzynarodowej nie ma dogmatów. ©℗

eprasa.pl 847107cd88

Radosław Wojtas

Yerba biało-czerwona

Budynki Museo Histórico Juan Szychowski FOT. MUSEO HISTORICO JUAN SZYCHOWSKI

Syn młynarza z Borszczowa nie miał wykształcenia, ale nie brakowało mu talentu, dyscypliny i determinacji. Tysiące kilometrów od ojczystej ziemi stworzył przedsiębiorstwo, które przetrwało już ponad 100 lat. To za jego sprawą jedna z najpopularniejszych dziś na świecie marek yerba mate jest biało-czerwona

Amanda. Tę markę kojarzy chyba każdy miłośnik yerba mate na świecie. „Jest dobra, choć nie powalająca […]. Mate codzienna, w dobrej cenie i jakości, ale bez pretensji do czegoś więcej” – wyczytałem w jednej z recenzji. Przykuwa uwagę opakowaniem. W wersji klasycznej całe jest biało-czerwone. Wersje smakowe mają inne warianty kolorystyczne, ale jedną cechę wspólną – zawsze czerwone logo umieszczone jest na białym tle.

To nie przypadek. Marka Amanda ma bowiem polskie korzenie. A raczej twórca tej marki ma polskie korzenie. Ta opowieść jest o polskim królu argentyńskiej yerba mate, jego rodzinie i biznesowym imperium, które przetrwało do dziś.

KROPLE W WIELKIEJ FALI

Gdy tydzień temu wspominałem o pierwszych Polakach wyprawiających się do Ameryki Północnej, pisałem, że opuszczali oni Polskę u szczytu jej potęgi. Mężczyzna, od którego zaczyna się ta opowieść, wyruszył w podróż przez Atlantyk, gdy Polski od ponad wieku nie było na mapie.

Przełom XIX i XX w. to czas dużych migracji na całym świecie, w poszukiwaniu lepszego życia wyjeżdżają również Polacy. Popularnym celem ich wędrówki jest Ameryka Łacińska, w tym Argentyna. Kraj, który dziś nie kojarzy nam się z celem migracji ekonomicznej, ale wówczas było to państwo stabilne gospodarczo. W roku 1900 kilka kropel w wielkiej fali migracji nosiło nazwisko Szychowski. Ileż determinacji musiał mieć w sobie młynarz Julian Szychowski z Borszczowa (dziś na Ukrainie), by wspólnie z żoną Karoliną i kilkorgiem ich dzieci wyprawić się za ocean, trafić do Buenos Aires, popłynąć tysiąc kilometrów w górę rzeki Parana, by stamtąd wyruszyć w trzytygodniową pieszą podróż ku wyznaczonemu miejscu zasiedlenia w Apóstoles!

Argentyna przeżywa wówczas trudności demograficzne, kusi więc cudzoziemców, ułatwia im start, ale mimo tego nie jest to kraina mlekiem i miodem płynąca. Rodzina Szychowskich jak wielu migrantów trafia w Buenos Aires do Hotel de los Inmigrantes (Hotelu Imigrantów), gdzie mają zapewnione miejsce do spania, wikt, opierunek i opiekę lekarską, ale już docelowe miejsce osiedlenia nie jest tak przyjazne. Zwłaszcza pierwsze lata spędzone w Argentynie nie należą do łatwych. Dlatego też główny bohater naszej opowieści, jeden z synów Juliana Szychowskiego o imieniu Jan, który w momencie wyjazdu z Borszczowa ma zaledwie 10 lat i ukończonych kilka klas szkoły powszechnej, nie może kontynuować edukacji. Jednak – jak się miało okazać – w niczym mu to nie przeszkodziło.

Muzeum Jana Szychowskiego istnieje od 1997 r. FOT. MUSEO HISTORICO JUAN SZYCHOWSKI

CZŁOWIEK WIELU TALENTÓW

Juan, jak go tam nazywają, to ambitny chłopiec. Nie pobiera klasycznego wykształcenia, co nie znaczy, że się nie uczy. Praktykuje u miejscowego kowala, ale szybko idzie na swoje. W wieku 18 lat otwiera własny zakład i zajmuje się tym, czego nauczył się jako czeladnik – wykonuje wszelkie prace przy wozach. Chłopak jest zdolny, zmyślny i ciągle się rozwija. Jeśli brakuje mu do naprawy nietypo-

eprasa.pl 847107cd88

wej śrubki – to robi ją sobie sam. Brak konkretnego narzędzia? Żaden kłopot, Jan wykonuje je własnoręcznie. Także te bardziej skomplikowane. Syn młynarza z Borszczowa jest konstruktorem pierwszej zbudowanej w Argentynie tokarki. Wszystkie wcześniejsze pochodziły z importu. Żeby wykonać takie urządzenie z metalu, najpierw konstruuje tokarkę drewnianą i dopiero za jej pomocą przez trzy lata buduje tokarkę metalową. Determinację miał widać we krwi.

Konstrukcje bardziej skomplikowanych mechanizmów podpatruje podczas pobytu do Buenos Aires. To tam ogląda pierwsze maszyny tokarskie. Chłopak pojechał do stolicy Argentyny z ojcem w poszukiwaniu dobrze płatnej pracy, by zebrać pieniądze na wyjazd z kraju. Rodzina chce wrócić do Europy, myślą też o Ameryce Północnej. Jednak wtedy Stary Kontynent ogarnia wielka wojna i Szychowscy muszą zarzucić pomysł powrotu przez ocean. Opuszczają stolicę i na dobre osiadają w Apóstoles.

Jan od 1911 r. ma własną rodzinę. Poślubił wtedy Bronisławę Kruchowską, która przyjechała do Argentyny w tej samej co Szychowscy grupie polskich rodzin. Po zarzuconej próbie wyjazdu wie, że musi ułożyć sobie życie na miejscu. Bogatszy o doświadczenia przywiezione z Buenos Aires świetnie odnajduje się jako konstruktor. Zanim stworzył tokarkę, skonstruował kierat, który zaopatrywał jego warsztat w energię. Kiedy to przestaje wystarczać, Polak uzyskuje stosowne pozwolenia, projektuje i buduje tamę w pobliskiej dolinie, zagradzającą drogę wodom potoku Chimiray, i tworzy sztuczne jezioro. Spiętrzona woda wykopanym przez Szychowskiego kanałem pokonuje 700 metrów, dociera do jego fabryki i napędza najpierw młyńskie koło, a później turbinę Kaplana. Wytworzony prąd służy nie tylko jego maszynom, korzysta z niego cała polska diaspora. Zresztą nie tylko z prądu, bo i ze zbudowanej przez Jana linii telefonicznej.

Narzędzia, mechanizmy i urządzenia różnego rodzaju przynoszą Juanowi – Don Juanowi, jak go zwano w Argentynie – coraz większy rozgłos, a on sam pracuje z coraz większym rozmachem. Wymyślona przez niego maszyna do czyszczenia ryżu ma rozmiary kolejowego wagonu. Polak buduje też m.in. urządzenie do wytwarzania skrobi maniokowej. Również te konstrukcje służą nie tylko prężnie rozwijającemu się przedsiębiorstwu La Cachuera, lecz także całej osadzie.

Jan Szychowski z żoną Bronisławą, która przyjechała do Argentyny w tej samej co on grupie polskich rodzin FOT. NAC

Ważną datą w tej historii jest rok 1936, kiedy to potomek młynarza z Borszczowa uruchamia maszynę do sortowania i cięcia yerba mate. Ze swoją konstruktorską smykałką szybko i w znacznym stopniu automatyzuje mozolny proces pozyskiwania i przetwarzania rośliny. Maszyny Szychowskiego działają na niemal każdym etapie produkcji yerby – sortują, ucierają liście i gałązki, ubijają i pakują. Yerba mate, czyli ostrokrzew paragwajski, to zarówno wtedy, jak i dziś jedna z najpopularniejszych roślin uprawnych w Argentynie, a napar z niej to wręcz napój narodowy. Nic dziwnego, że Polaka – tu przerzucamy sporo kartek w kalendarzu – lokalny rząd odznaczył w 1960 r. Orderem Yerba Mate (to głównie za sprawą ulepszenia maszyny pakującej, pracującej teraz z niespotykaną wówczas wydajnością do 500 funtowych opakowań na godzinę). A jak już jesteśmy przy orderach i podróżach w czasie, to wymieńmy w tym miejscu najważniejsze z odznaczeń, które w 1936 r. Szychowskiemu nadały władze odrodzonej Polski, nagradzając go brązowym Krzyżem Zasługi.

KRÓL YERBY

Mając do dyspozycji takie wynalazki i solidnych pracowników polskiej diaspory, La Cachuera wyrasta na jednego z czołowych producentów yerba mate w Argentynie. Jan Szychowski umiera w wieku 70 lat w 1960 r. Biznes przejmują jego synowie (miał czterech synów i tyleż samo córek). Zmieniają nazwę marki i „polska" yerba z Argentyny zdobywa sławę na świecie jako Amanda. Nowi właściciele wprowadzają zmiany, rozszerzają działalność, także z dala od Apóstoles, ale szanują tradycję. Biało-czerwone opakowania są ich znakiem rozpoznawczym do dziś. Znanym na całym świecie, bo firma ta jest drugim co do wielkości eksporterem herbaty w Argentynie.

Nie tylko to prężne przedsiębiorstwo jest pomnikiem Jana Szychowskiego. W miejscu, gdzie wszystko się zaczęło, od 1997 r. istnieje Museo Histórico Juan Szychowski. Muzeum otwarto w stulecie przybycia pierwszych osadników z Polski i ziem dzisiejszej Ukrainy do prowincji Misiones, w której położone jest miasto Apóstoles. Historię przedsiębiorstwa, rodziny Szychowskich i polskiej diaspory opowiadają liczne fotografie, które oczywiście najlepiej oglądać, popijając Amandę. W muzeum zgromadzono liczne narzędzia i urządzenia wykonane przez Don Juana, w tym osławioną tokarkę, a także np. dziecięce łóżeczko.

A będąc już w regionie, warto rozejrzeć się za innymi miejscami związanymi z Polakami, bo w kraju, w którym decyzją Kongresu Narodowego z 1995 r. 8 czerwca jest Dniem Osadników Polskich, znajdziemy ich niemało.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

„Don Juan" rozpoczynał karierę od wykonywania okuć wozów
FOT. MUSEO HISTORICO JUAN SZYCHOWSKI

Oryginalne narzędzia i urządzenia konstrukcji założyciela La Cachuera można dziś oglądać w poświęconym mu muzeum
FOT. MUSEO HISTORICO JUAN SZYCHOWSKI

eprasa.pl 847107cd88

SEAT ARONA FR

FOT. JACEK PRZYBYLSKI

To jeden z najlepszych modeli na bardzo zatłoczonym i wyjątkowo konkurencyjnym rynku kompaktowych SUV-ów. Atrakcyjnie wygląda, zwłaszcza jeśli z czarnym dachem połączy się czerwony lakier. Jeździ bardzo ekonomicznie, a równocześnie dynamicznie, dzięki czemu zwłaszcza w wersji FR potrafi dać zaskakująco dużo frajdy z jazdy.

Jak przystało na stosunkowo niewielką „miejską terenówkę", auto w ogóle nie występuje w ofercie w opcji z napędem na cztery koła. Jeśli jednak nie ma się w planach prawdziwego błotnego safari, to nie jest to żadna przeszkoda – Arona pod wysokie krawężniki podjeżdża sprawnie, a i na leśnych duktach spokojnie daje radę.

W usportowionej wersji FR crossover szybko pokazuje hiszpański pazur. Aroną z przyjemnością można się więc wybrać w daleką trasę i bez żadnych skrupułów przemieszczać się lewym pasem autostrad.

Oczywiście nie jest to rajdowy hot hatch (od zera do setki rozpędza się w 8,2 s), ale mocy do dynamicznego przyspieszania mu nie brakuje, a siedmiostopniowa skrzynia DSG sprawnie przechodzi z oszczędnego żeglowania do żwawego wyprzedzania. Trzeba jedynie przywyknąć do tego, że niektórzy zakompleksieni posiadacze BMW nie potrafią ze spokojem znieść, iż wyprzedził ich właśnie niezbyt duży crossover. Na ekspresówkach i autostradach dobrze sprawdzają się też m.in. aktywny tempomat oraz system utrzymania pasa ruchu, co pozwala kierowcy nieco odetchnąć. Dobry układ kierowniczy pozwala zaś sprawnie pokonywać górskie serpentyny.

Auto nadaje się do dalekich podróży, tym bardziej że jest niesamowicie ekonomiczne. Średnie spalanie w cyklu mieszanym (miasto, trasa, autostrada, ekspresówka) wyniosło podczas testu równo 6 l/100 km. Na zwykłej trasie poza miastem bez trudu można obniżyć tę średnią do 5,2 l/100 km. 400-litrowy bagażnik spokojnie wystarczy, by pomieścić walizki na weekendowy wypad. Jak na niewielkich rozmiarów crossover Arona jest więc nie tylko łatwa do zaparkowania, lecz także na tyle praktyczna, że może aspirować do miana niewielkiego auta rodzinnego.

A co z wnętrzem? W centralnym punkcie deski rozdzielczej umieszczony jest kolorowy ekran o przekątnej 9,2 cala, a przed oczami kierowcy zainstalowano wirtualny kokpit z możliwością wyboru tego, jakiego rodzaju informacje chce się akurat widzieć. Na szczęście pokrętła od klimatyzacji pozostały analogowe (co docenia się zwłaszcza w czasie upałów). Wnętrze wykończone jest praktycznie, choć twardych plastików mogłoby być troszeczkę mniej.

Seat Arona w wersji FR z ręczną skrzynią biegów i silnikiem 1,0 TSI o mocy 110 KM kosztuje co najmniej 105,4 tys. zł. Za auto z tym samym silnikiem i automatyczną siedmiobiegową skrzynią DSG trzeba zapłacić 115,1 tys. zł, a cena najmocniejszej wersji, w której siedmiobiegowa skrzynia DSG połączona jest z 1,5-litrowym silnikiem o mocy 150 KM, zaczyna się od 123,7 tys. zł. Cena egzemplarza testowego: 142,3 tys. zł. ©℗

SAMSUNG HW-Q930C

Realistyczny, przestrzenny dźwięk, czyste brzmienie, mocne basy, brak konieczności kładzenia kabli oraz łatwość konfiguracji – to największe zalety soundbaru z bezprzewodowym subwooferem i dwoma tylnymi głośnikami południowokoreańskiej firmy Samsung.

Telewizory w polskich domach od kilku lat rosną jak na drożdżach. Jednak nawet największy ekran nie zapewni wrażeń niczym z kina, jeśli do płaskiego telewizora nie dołoży się porządnego zestawu do nagłośnienia.

Samsung HW-Q930C z całkowitą liczbą 17 głośników o mocy całkowitej 540 W to propozycja z górnej półki. Minimalistyczne wzornictwo sprawia, że testowany zestaw powinien pasować do większości nowoczesnych wnętrz. Soundbar z telewizorem łączy się za pomocą wi-fi lub Bluetooth. Zestaw podczas oglądania filmu otacza użytkowników dźwiękiem z każdej strony. Soundbar i subwoofer (o mocy 160 W) z jednej strony pokoju oraz dwa bezprzewodowe głośniki ustawione za kanapą lub fotelami robią wrażenie. Oznaczenie 9.1.4 oznacza, że przestrzeń wokół domowych kinomaniaków otacza brzmienie aż z dziewięciu kanałów przednich, jednego niskotonowego (kanał subwoofera) oraz czterech kanałów, które skierowane są w górę. Dzięki kanałom skierowanym do góry dźwięk nie tylko otacza siedzących na kanapie, lecz także odbija się od sufitu, potęgując wrażenia kinowe. Q-Symphony odpowiada zaś za harmonijne brzmienie soundbara i telewizora.

Wysoką jakość dźwięku ma zapewnić bezprzewodowa technologia Dolby Atmos. I rzeczywiście brzmienie jest czyste, żywe i pełne szczegółów. HW-Q930C został też uzbrojony w funkcję analizy sygnału dźwiękowego, która automatycznie dostosowuje brzmienie tak, aby było jak najbardziej optymalne niezależnie od tego, czy ogląda się filmy, seriale, kanały informacyjne czy pojedynki sportowe. Dzięki funkcji adaptacji dźwięku oraz aktywnemu wzmacniaczowi głosu (AVA) testowany zestaw pozwala usłyszeć nawet to, co w filmach mówią polscy aktorzy młodego pokolenia, i to bez potrzeby pauzowania lub szybkiego zwiększania głośności. Jakość dźwięku zadowoli też raczej większość miłośników konsoli, bo urządzenie oferuje specjalnie zaprojektowany tryb gry pro. Testowany soundbar jest prosty w obsłudze i kompatybilny m.in. z AirPlay2, Spotify Connect, a także z kodekami AAC, WAV, FLAC, AIFF, MP3, OGG oraz ALAC.

Wady? Niektórym może brakować obsługi HDMI 2.1 (jest HDMI 2.0). Jak przystało na zestawy typu premium, największym minusem jest jednak wysoka cena. Za HW-Q930C trzeba zapłacić ok. 3,5 tys. zł (a to i tak sporo taniej niż tuż po premierze, gdy był wyceniany na 4,3 tys. zł). ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 847107cd88

RYS. MART

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Jam Zapolski, pierwszy triumf nad Moskwą

Jam Zapolski, wieś pod Pskowem, niedaleko Wielkich Łuk, to miejsce wielkiego triumfu Rzeczypospolitej nad Moskwą. Tutaj 15 stycznia 1582 r. podpisano rozejm, na którego mocy polsko-litewskie państwo odzyskało Inflanty i Połock, zagarnięty przez cara. Było to ukoronowanie kampanii króla Stefana Batorego, jego przemyślnej strategii i wojskowego planowania, aby zadać Moskwie cios tam, gdzie bolało najbardziej – w „miękkie" zaplecze prowincji zajętych pięć lat wcześniej. W wyniku ataku wojsk cara Iwana Groźnego na posiadłości inflanckiego Zakonu Kawalerów Mieczowych, którego ostatni wielki mistrz Gotthard Kettler złożył hołd lenny królowi Zygmuntowi Augustowi.

Negocjacje rozpoczęły się 13 grudnia w sytuacji niełatwej dla armii Rzeczypospolitej. Wojsko, zdziesiątkowane i wygłodniałe, oblegało Psków, który bronił się zaciekle, dodatkowo piechota i jazda mierzyły się ze sławną moskiewską zimą. Wysłane na wschód zagony pustoszyły Wielkie Księstwo, zagrażając nawet samemu carowi. Król Stefan Batory odjechał do Wilna, aby zebrać posiłki i fundusze na wojsko, co niektórzy panowie polscy poczytywali nawet za zdradę. Pod miastem pozostał hetman Jan Zamoyski, próbując utrzymać wojsko w dyscyplinie.

Iwan przysłał posłów – kniazia Dymitra Jeleckiego i Romana Ołfierowa – a także kilku mniej znacznych bojarów. Posłowie polscy – Albrycht Radziwiłł, Michał Haraburda i Krzysztof Warszewicki – mieszkali w Jamie Zapolskim, którego nazwa oznaczała miejsce,

FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

gdzie można było wynająć podwody – „jamszczików", stąd „jam", miejsce, gdzie mieszkali woźnice. Moskiewscy posłowie zatrzymali się w niedalekiej Kiwerowej Horce. Tutaj stanął także papieski legat Antonio Possevino, u którego spotykali się na rozmowach.

A te były trudne i chaotyczne. Batory zażądał całych Inflant, do rokowań próbował wtrącać się Zamoyski, co z kolei budziło sprzeciw posłów polsko-litewskich; wszak otrzymali oni od króla własne instrukcje. Moskale nie byli skłonni do ustępstw i próbowali grać na czas. Ostatecznie 19 grudnia Zamoyski zrzekł się dopiero co zdobytych w zeszłym roku Wielkich Łuk. Possevino, który był jednym z pierwszych w historii pożytecznych idiotów, żądał, aby posłowie zrzekli się także Dorpatu, co doprowadziło do awantury z hetmanem. Sytuacja armii pod Pskowem stawała się rozpaczliwa; na szczęście można było zagrozić carskim posłom możliwością powrotu króla Batorego na czele nowej armii. W razie niepowodzenia rozmów Zamoyski rozważał nawet, czy nie zabrać wojska spod Pskowa i nie zaatakować niedalekiego Nowogrodu Wielkiego. Na szczęście 4 stycznia żołnierze koronni odparli wycieczkę pskowian, zadając im ciężkie straty, co nieco przeraziło Moskali.

Kolejnym przedmiotem sporu stała się tytulatura Iwana Groźnego, który żądał, aby w dokumentach nazywano go cesarzem, wielkim panem i wielkim księciem. Kiedy nie zgodził się na to Possevino, posłowie zażądali, aby tytułować go carem Kazania i Astrachania. Kolejnym problemem okazała się próba manipulacji historycznej. Otóż Moskale chcieli zawrzeć w dokumencie stwierdzenie, że książę przekazuje królowi Polski także Rygę i kilka zamków kurlandzkich, które nigdy nie znalazły się pod moskiewskim panowaniem. Ten prawny paradoks mógł zostać wykorzystany w przyszłości – jako pretekst do rozpętania nowego konfliktu. Ostatecznie ustalono spis miast oddanych Rzeczypospolitej przez cara i 15 stycznia podpisano i zaprzysiężono rozejm na 10 lat. Inflanty i Połock wracały do Korony i Litwy, a spośród zdobyczy Batorego jedynie Wielkie Łuki, Zawołocze i Krasny Horodek zostały zwrócone carowi. Moskwa została odcięta od Bałtyku, dopiero ponad 140 lat później tereny te zajmie Piotr I, łamiąc zresztą układ sojuszniczy z królem Augustem II Sasem, który chciał odzyskać tę prowincję, aby uczynić z niej lenno zarządzane przez jego syna.

Na koniec układów, podczas składania przysięgi, wydarzyła się rzecz znamienna – Michał Haraburda, poseł królewski, który był prawosławny, pocałował krzyż Antonia Possevina, papieskiego legata, a nie ten, który posłowie carscy dostali od swego księcia, aby nie okazywać żadnej podległości Moskwie. ©℗

eprasa.pl 847107cd88

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Budujmy odporność

Nad budowaniem naszej odporności często zastanawiamy się dopiero jesienią, kiedy dopadają nas pierwsze przeziębienie czy grypa. Według naturoterapeutów i znawców TMC, czyli tradycyjnej medycyny chińskiej, jest już wówczas zdecydowanie za późno. Budowanie odporności to proces, który trwa nawet kilka tygodni, więc dlatego warto zacząć już teraz, w samym środku lata.

My sami mamy ogromny wpływ na nasze zdrowie i naszą kondycję poprzez odpowiednie odżywianie. Według pani doktor Aleksandry Gnyszki, naturopaty i znawcy TMC, autorki książki „Immunbook", powinniśmy się odżywiać przede wszystkim lokalnie, sezonowo i na ciepło. Latem w Polsce dostępność owoców i warzyw jest ogromna, a ich wsparcie w budowaniu naszej odporności jest nieocenione. Szczególnie cenne i bardzo zdrowe są owoce jagodowe: maliny, borówki, czarne jagody, truskawki to bogactwo polifenoli, które działają na organizm jak tarcza antywirusowa.

Zadbajmy więc teraz o to, aby nasz talerz był barwny i różnorodny. Szczególnie różnorodność warzyw w największym stopniu wspiera nasze bakterie jelitowe. Każde warzywo buduje nas inaczej. Jedzmy owoce i niekoniecznie zawsze na surowo, gotujmy z nich kompoty z przyprawami, które nieco zmieniają termikę wychładzającą owoców i są lepiej przyswajalne, szczególnie przez małe dzieci i osoby starsze.

Doskonałą propozycją na letnie obiady są warzywa duszone z dodatkiem przypraw i świeżych ziół. Leczo to idealny pomysł na upały, może być tylko wegetariańskie, a możemy dodać trochę mięsa, będzie wówczas bardziej odżywcze i budujące krew i – co ważne – będzie nas nawadniać, bo warzywa zawierają dużo wody.

LECZO WEGETARIAŃSKIE

• 2 spore cukinie – zielona i żółta • 2 młode cebule • 3 ząbki czosnku • 2 papryki, żółta i czerwona lub dowolnie • 1 marchewka • 5–6 pieczarek • 2–3 plasterki imbiru • 3–4 łyżki przecieru pomidorowego lub ½ butelki passaty pomidorowej • 1/3 szklanki oliwy z oliwek lub oleju kokosowego • 1 szklanka wody • świeże zioła: oregano, bazylia, estragon• przyprawy: sól ziołowa, czerwona słodka papryka, pieprz

Wszystkie warzywa myjemy. Cebulkę obieramy i kroimy w kosteczkę, czosnek przeciskamy przez praskę. Pozostałe warzywa również kroimy w większą kostkę, marchewkę w plasterki. Imbir ścieramy na tarce. W garnku z grubszym dnem podgrzewamy oliwę i podsmażamy cebulkę z czosnkiem, aż się zeszkli, dodajemy marchewkę, chwilę podsmażamy, następnie dodajemy wszystkie pozostałe warzywa i imbir. Podlewamy wodą, dodajemy przyprawy. Dusimy na małym ogniu ok. 30 min, na koniec dodajemy przecier pomidorowy lub passatę, przyprawy i świeże zioła. Możemy podawać z ziemniakami, ryżem, kaszą lub bez niczego. Smacznego! ©℗

FOT. ADOBE STOCK (X2)

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Mango

Wiele lat temu przez trzy lata mieszkaliśmy na tropikalnej wyspie Puerto Rico. Powiedzieć wyspa to za mało – Puerto Rico to kraj zrzeszony ze Stanami Zjednoczonymi. Ma własną flagę, amerykańskie paszporty, dolar jako walutę. Kraj na tyle zrzeszony, by mieć niewiele obowiązków, ale otrzymywać hojną pomoc od zamożnego partnera. Po tym pobycie została mi niechęć do upału, tropikalnych plaż oraz owoców mango.

Było tak. W naszej miejscowości na zachodzie tej karaibskiej wyspy drogi obsadzone były mangowcami. Były to dzikie drzewa, z owocami niepodobnymi do tych, które rozpowszechniły u nas markety. Drobne i żółte. Mango w ich botanicznym habitacie nikt nie cenił, rosły tak jak u nas mirabelki – dziko. Owoce opadały i nikt ich nie zbierał. Nikt poza nami, dwojgiem cudzoziemców, którzy uważali, że nie można pozwolić, żeby te egzotyczne owoce gniły na ziemi. Nasz entuzjazm trwał krótko. W końcu i nam się znudziło – jak wiadomo, nic, co łatwo dostępne, nie jest atrakcyjne. Owoce gniły na ziemi, wydając nieprzyjemny zapach, który do dziś przypomina mi te lata spędzone na Karaibach. Ale ten zapach na zawsze obrzydził mi mango.

Właśnie przeczytałam, że dzięki czerwcowym i lipcowym upałom tegoroczny zbiór mango na Florydzie jest wyjątkowo obity. Drzewa są obsypane wspaniałymi owocami, tymi najsmaczniejszymi – czerwono-zielonkawymi. Nasiona mangowców przywieźli na Florydę w kieszeniach emigranci z Bahamów i Kuby, dla których ten owoc jest częścią ogrodniczej i żywnościowej kultury.

W tym roku mango jest królem Miami. Owoców jest tyle, że podobnie jak w Puerto Rico opadłych na ziemię nikt nie zbiera. To dla mieszkańców Florydy nagroda za cierpienia skwaru, wilgotności i niebezpieczeństwa sezonu huraganów. „Będziemy jeść dżem z mango przez najbliższe pięć lat" – mówią mieszkańcy wielokulturowego miasta emigrantów. Dla przybyłych do Ameryki mieszkańców południowo-wschodniej Azji, Jamajki, Bahamów, Ameryki Łacińskiej mango jest tym, czym dla nas jabłko.

Pierwsze mango jadłam w Meksyku na początku lat 80., kiedy my, emigranci z zimnego kraju, znaleźliśmy się w subtropikalnej krainie. Co wtorek chodziłam po zakupy na targ w dzielnicy Colonia Roma. Tam poznałam smak mango, ananasa (świeżego, nie z puszki), awokado. I niezrównanej papai – nieznanej u nas odmiany „papaya de Acapulco" – ogromnej, krwistoczerwonej w środku. Nie ma jej nigdzie poza Meksykiem.

Wróciliśmy do kraju jabłek, truskawek i buraków. Nie mniej smacznych niż tamte owoce, za którymi wcale nie tęsknię. Ich mdła słodycz jest nudna. ©℗

eprasa.pl 847107cd88

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Samoobsługowa cenzura

No to mamy to. 25 sierpnia kończą się dorzynane wolne media w Europie i nie tylko. Thierry Breton, europejski komisarz od rynku wewnętrznego i usług, ogłosił tę datę jako dzień wejścia w życie Digital Services Act (DSA), który ma regulować m.in. odpowiedzialność za szerzenie określonych treści. Mechanizm jest samoobsługowy, bo niepożądane treści mają być tropione i wycinane przez samych właścicieli platform internetowych.

Co wchodzi w zakres tej cenzury? Mowa nienawiści, umawianie się na protesty (zapewne określone, bo np. na tęczowe to sami podwiozą) oraz informacje uznane za terroryzm. Mowa nienawiści to może być wszystko, tak jak terroryzm, od kiedy terrorystami okazali się być ogłoszeni nimi przez państwo kanadyjskie kierowcy ciężarówek stojących na placu w Ottawie. I teraz najciekawsze – egzekwować to będzie sam podmiot medialny i sam musi sobie wyobrazić, co ustawodawca ma na myśli, określając te gumowe zakresy. A więc szykuje się nadgorliwość.

Przyspieszenie wprowadzenia DSA jest podejrzanie powiązane z pretekstem, jaki Francji dają zamieszki. Sprzedawane jest to wraz z pokazywaniem palcem, że takie rzeczy to przez tę źle pojętą wolność mediów. Ale tu wyraźnie chodzi o coś innego. W czasie zamieszek we Francji to prezydent Macron musiał na piechotę prosić każde medium, by się powstrzymywało od publikacji zdjęć i kadrów z jakichś pomijalnych pożarów. Miało być: „Francuzi – nic się nie stało". Teraz, po wejściu tego prawa, to się nawet taki Macron nie będzie musiał ruszać z fotela. Spanikowane groźbą już nie grzywny, ale zamknięcia media społecznościowe same dopilnują roboty, empatycznie antycypując, co tam się będzie podobało w pałacach.

Problem ten nie dotyczy samej Francji, bo regulacja DSA jest unijna i dojdzie również do nas. Mało tego – w tym zakresie Unia mocno współpracowała z NATO i przejmą to wszystkie państwa sojuszu militarnego, a więc zakres będzie prawie że światowy. Śmiechem historii jest to, że ten model cenzury nie obejmie krajów uznawanych za autorytarne – np. Rosji czy Chin. Ci to muszą mieć bekę z takich posunięć „byłego wolnego świata".

Jak człowiek wspomni czasy, że z powodu propozycji podobnej, acz znacznie bardziej liberalnej regulacji ACTA odbyły się 10 lat temu masowe uliczne protesty w całej Europie, to przychodzi tylko gorzki śmiech. Dziś nikt się nie ruszył, nie pisnął. Na bank mamy tu do czynienia z NOP, niepożądanym odczynem pocovidowym. Pandemia odarła nas z podstawowych instynktów samozachowawczych. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Dogmat, cenzura, zamordyzm

Zablokowanie kanału Afirmacja.tv na YouTube to kolejny akt cenzury, a ponieważ takich przypadków jest wiele, dyscyplinarny knebel przestaje już kogokolwiek dziwić.

Powodem interwencji jest nasza rozmowa z Agnieszką Marianowicz-Szczygieł z cyklu „Kino NIE-letnie", w której opowiadamy o filmie „Sacrificial Virgins – The Dangers of the HPV Vaccination" z 2017 r., autorstwa Andi Reiss i Joanny Shenton. Sam film jest dostępny w serwisie YouTube od pięciu lat, ma 38 tys. wyświetleń. Tajemnicą natomiast pozostanie, dlaczego rozmowę o nim uznano za tak groźną, że trzeba było ją zablokować. Lakoniczna odpowiedź serwisu jest w zasadzie kalką tych, które niezależni autorzy kwestionujący program szczepień przeciw COVID-19 dostawali w czasie tzw. walki z pandemią. Administrator YouTube uznał ją za „mogącą stanowić poważne zagrożenie ze względu na rozpowszechnianie nieprawdziwych informacji o obecnie stosowanych szczepionkach, które zostały zatwierdzone i uznane za bezpieczne oraz skuteczne przez lokalne instytucje zdrowia publicznego i Światową Organizację Zdrowia (WHO)".

Skoro tak, to dlaczego pokazana w omawianym filmie 16-letnia Rubi jest prawie zupełnie sparaliżowana? Podobnie jak u wielu innych nastolatek, paraliż wystąpił u niej po szczepionce przeciw HPV.

Przypominamy ten film dlatego, że od 1 czerwca Ministerstwo Zdrowia prowadzi w całej Polsce program bezpłatnych szczepień preparatami, których ofiary pokazane są w dokumencie. Z całego świata napływa coraz więcej ostrzeżeń przed niepożądanymi skutkami szczepionek przeciw HPV. Podważane są ich bezpieczeństwo i skuteczność, a także zasadność. Grupą ryzyka są bowiem prostytutki i osoby często zmieniające partnerów seksualnych. Po co więc szczepić dywanowo 12–13-latki w kraju, gdzie wiek inicjacji seksualnej należy do najwyższych w Europie?

Wszystkie wyrażone w trakcie rozmowy wątpliwości dotyczą przypadków dobrze udokumentowanych naukowo. Tylko że próba argumentowania i obrony racji jest naiwnością. Powinniśmy przyjąć do wiadomości, że wśród dogmatów, których kwestionowanie jest zbrodnią, jednym z najważniejszych jest sprawa szczepień. Już nie tylko COVID-19, lecz także wszystkich innych. W ostatnich tygodniach przyspieszyły przygotowania globalnego porozumienia antypandemicznego, jako wiążącego aktu prawa międzynarodowego, a jednocześnie zapowiedziano wprowadzenie obowiązku elektronicznej karty szczepień. Zatem objęcie ścisłą cenzurą wszelkich sceptyczno-szczepionkowych treści dowodzi, jak ważnym narzędziem mają być szczepienia w planach globalistów. ©℗

eprasa.pl 847107cd88

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Ile musi zarabiać mężczyzna?

Nie wiadomo, czy w wolnej Polsce po wyborach całe miasta nie będą siedzieć. Stop. Przedsiębiorcy z Krynicy Morskiej obrazili się publicznie – czy państwo rozumieją (?) – publicznie! – na Donalda Tuska, który podał Krynicę jako przykład wakacyjnej drożyzny. „U nas nie ma drogich hoteli, akurat jesteśmy fajnym kurortem" – odpowiedzieli bezczelnie szefowi Platformy, zapewne bojąc się egoistycznie o utargi. Stop. Jak jest PiS-drożyzna to jest PiS-drożyzna i nie ma co, Krynico, dyskutować! Stop. Po której wy jesteście stronie, Krynico Morska? Stop. Po wyborach to się może to PiS-owskie miasto otoczy jakimś kordonem, żeby miało czas na refleksję! Stop.

Business Insider Polska: naukowcy twierdzą, że łysi mężczyźni są uznawani przez otoczenie za dominujących i skutecznych. Stop. Poza tym według naukowców wyglądają na inteligentniejszych i bardziej męskich. Stop. Naukowcy są jak dzieci, potrzebują lat zabawnych badań, żeby wiedzieć to, co dla prawdziwych mężczyzn jest oczywiste. Stop.

Na Twiterze ogłoszono słowa Sławomira Sierakowskiego, który od dwóch dekad jest nadzieją młodej lewicy. Stop. Sławek powiedział: „Wołyń był czystką etniczną, nie ludobójstwem". Stop. Pod tymi słowami swoje słowa ogłosiła lewicowa posłanka Anna Maria Żukowska: „Czystki etniczne to właśnie ludobójstwo". Stop. Pozamiatane.

Szokujące pytanie zdobyło Internet i wywołało tsunami dyskusji. Stop. Pytanie brzmi: „Ile musi zarabiać mężczyzna, żeby był przystojny?". Stop. Nie ma prostej odpowiedzi.

Miss Holandii została osobopostać, która urodziła się mężczyzną. Stop. Jak sama podała, dopiero pół roku przed wyborami na najpiękniejszą Holenderkę osoba zrobiła sobie chirurgicznie różne takie cięcia. Stop. Faktem bezsprzecznym jest, że transkobieta była po prostu mniej urodziwa niż inne startujące kobiety, a ten fakt wywołał wiele dyskusji. Stop. Jedna z internautek stwierdziła: „Transkobieta to kobieta", na co doczekała się błyskawicznej odpowiedzi: „A cinquecento z kratką to ciężarówka". Stop.

Niemiecka policja podała alarmujące dane. Stop. Otóż w kraju będącym wzorem demokracji odnotowano gwałtowny wzrost przemocy domowej, zwłaszcza gwałtów, napaści seksualnych i przypadków wykorzystania seksualnego, których dopuszczają się sprawcy przemocy w rodzinie. Stop. Prawdopodobnie winne jest globalne ocieplenie. No bo co innego?

Portal Onet.pl opublikował materiał pod słodkim tytułem: „Polscy mężczyźni nie nadają się do związku. Brudni, nudni, skąpi". Pod adresem redaktorów pracujących w Onecie pojawiło się wiele pytań dotyczących nie tylko higieny. Stop. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Czucie czy rozum?

Po Polsce krąży strach, z wielkimi, kocimi oczami. W sieciach społecznościowych poważne, acz przerażone damy wymieniają się ratującymi życie radami. Nie chodzi oczywiście o nie same – swoje losy położyły już dawno na ołtarzu spraw wyższych, jedne – ojczyzny, inne – sztuki, jeszcze inne – tolerancji i dążenia do Europy. Plotka o tajemniczej chorobie, która w niespełna 40-milionowym kraju położyć miała trupem aż… kilkanaście kotów, przeszła przez wielkomiejskie środowiska rodzimej „inteligencji" niczym pożar przez afrykańską sawannę. Kocie „mamy" odwołują z jej powodu wakacyjne wyjazdy, wprowadzają domowe lockdowny, ze zgrozą obserwują przelatujące ptaki.

Że do strachu można się przyzwyczaić, dowiedzieliśmy się dawno. Za strachem można też tęsknić. Pieścić dłonią, w przeczuciu pożegnania, ukochanego futrzaka, drugą zaś kłaść już zapobiegliwie na stosie odłożonych „na czarną godzinę" maseczek. Znowu się boję, więc znowu czuję, że żyję?

Jednym z animatorów poszukiwania tak zabójczego dla mruczków wirusa ptasiej grypy okazał się niezastąpiony prof. Krzysztof Pyrć. Od kiedy ustała covidowa gorączka, profesor zajął się inną, popularną wśród dawców grantów dziedziną – zmianami klimatycznymi. Natura ciągnie jednak wilka do lasu. Na pierwszy zew narastającej w Internecie histerii profesor ożywił się i zaapelował do zbolałych kocich „wdów" o dostarczenie do badań pozostawionej karmy. W niej – a konkretnie w jednej próbce – odnalazł „ptasią grypę". Wystarczyło to, by zaapelować do służb weterynaryjnych o masowe badanie drobiu za pomocą specjalistycznych testów. Co więcej, jak na Europejczyka przystało, zatroszczył się natychmiast o los narażonych na kontakt ze śmiercionośnym bakcylem cudzoziemców. „Warto wyobrazić sobie konsekwencje dla tego sektora gospodarki, jeżeli faktycznie okazałoby się, że skażone mięso znalazło się we Francji, Włoszech czy w Niemczech" – apeluje zatroskany profesor. Zwróćmy uwagę, jak „ostrożne procesowo" jest dziś wywoływanie histerii. „Warto wyobrazić sobie" coś, co byłoby, „jeżeli okazałoby się takim faktycznie".

Nabierająca rozpędu kampania wyborcza kładzie się ponurym cieniem nad marzeniami konkurentów polskiego drobiarstwa. Głosy polskich rolników są dla partii rządzącej dość cenne. W tej sytuacji Najwyższy Czynnik Polityczny musi dokonać wyboru. Czy iść za głosem serca i dla bezpieczeństwa kotków poświęcić głosy paru milionów rolników? Czy też, za wskazaniem rozumu, uruchomić żelazną wolę i zasugerować, komu trzeba, by się od kociej zarazy „odplumkał"? ©℗

eprasa.pl 847107cd88

WOJCIECH ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Bez granic

Granice są w życiu potrzebne. Nie po to, by ludzi dzielić, ale żeby ich łączyć w poczuciu porządku, żeby wiedzieć, gdzie coś się zaczyna, a co kończy, a także żeby rozróżniać jedno od drugiego. Na przykład byt od niebytu, ludzi od zwierząt, kobiety od mężczyzn, uchodźców od migrantów czy kulturę od chamstwa. W czasach postmodernizmu zacierane są granice pojęć, a prawdy nie odróżnia się od kłamstwa. Zapomina się w ogóle, że jakaś prawda istnieje. Skutki tego są opłakane.

Czasy nowożytne przyniosły nowoczesną organizację państwa, w której granice określały zasięg jurysdykcji władzy. Trudno zaprzeczyć, że granice porządkowały status państwa i obywateli. Wiadomo było, gdzie państwo się zaczyna, a gdzie kończy, a także kto jest obywatelem, a kto nie i jakie prawa z tego wynikają. Do niedawna więc państwa stanowiące Unię Europejską dbały o ochronę swoich granic, a wchodząc do Unii, określały wspólny zasięg terytorialny swojego prawa, stanowiąc urząd ochrony granic zewnętrznych. Urząd ten nazywa się Frontex, a jego siedziba główna znajduje się chyba w Warszawie. Chyba, bo ostatnio o urzędzie tym w ogóle się nie słyszy.

I przyszła epoka postmodernizmu realnego. Kraje Europy Śródziemnomorskiej nie potrafiły zwalczyć przestępczych działań gangów przemytników ludzi. Elity tych państw cierpiały z powodu wyrzutów sumienia za czasy kolonialne, ale zamiast pomóc dawnym koloniom na miejscu, postanowiły wypełnić luki na rynku pracy przez stworzenie swoistych kolonii wewnętrznych. Przez jakiś czas tworzono pozory zalet wielokulturowości i pozory ochrony granic, ale w końcu w 2015 r. pani Merkel machnęła ręką na te pozory i nie pytając nikogo o zgodę, zawołała willkommen! Niemcy bowiem muszą zawsze nadawać ton i stanowić swoje prawa, także innym krajom. Mają w tym względzie w XX w. sporą tradycję.

Polska jest krajem bardzo specyficznym. Nie mieliśmy kolonii, więc boleśnie odczuwając swoje zacofanie cywilizacyjne, część naszych elit stara się odnaleźć wzorce owych niegodnych praktyk na wsi

Fala migrantów zarobkowych ruszyła na Europę ze zdwojoną siłą pod hasłem uchodźców wojennych. Zadeptywano nie tylko place i chodniki państw europejskich, lecz także prawdziwych uchodźców wojennych. Elity europejskie wzruszyły się swoją dobrodusznością w pomocy biednym i poszkodowanym przez kolonializm i wojny, choć naprawdę pomagały handlarzom żywym towarem oraz nielegalnym migrantom, którzy łamali prawo. W Europie Zachodniej właściwie uznano, że migranci owi są nie tyle wyjęci pod prawa, ile prawo ich nie obowiązuje.

Lansowano „płynną rzeczywistość". Wszelkie granice okazały się płynne. Nie zważano na to, że od przekraczania granic są przejścia graniczne, pozwalano forsować granice na całej długości, a Węgrów karano za ochronę zewnętrznych granic Unii. Elity europejskie pod przewodem Berlina wywołały straszliwy chaos, a jego skutkami chciały podzielić się z krajami mniej entuzjastycznymi w tworzeniu postmodernistycznego bałaganu. Oczywiście w imię postępu i „wartości europejskich".

Polska jest krajem bardzo specyficznym. Nie mieliśmy kolonii, więc boleśnie odczuwając swoje zacofanie cywilizacyjne, część naszych elit stara się odnaleźć wzorce owych niegodnych praktyk na wsi. Nadrabiając owo subiektywnie odczuwane zacofanie, elity te pragną dogonić, a nawet przegonić postęp. W wulgarnej formie chcą eliminować obrońców zdrowego rozsądku, a w ramach doganiania „wartości europejskich" walczą z granicami, nawet dosłownie. Choć fale nachodźców zza granicy z Białorusią były w 2021 r. oczywistym przygotowaniem artyleryjskim Rosji do ataku na Ukrainę, to obrońców granic nazywano „śmieciami", „mordercami", a ich działania – „ludobójstwem". I nic ich za to nie spotykało – nadal chodzą w glorii autorytetów, lansowanych przez polskojęzyczne media. Wulgarny język w domenie publicznej jest nawet usprawiedliwiany przez niektórych uczonych lingwistów. Najwyraźniej dla sporej części przedstawicieli naszego społeczeństwa brak granic to nowy standard cywilizacyjny. Żeby tylko potem się nie zdziwili. ©℗

eprasa.pl 847107cd88

KOKAINA

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Prezydent Duda w wypowiedzi dla prasy niemieckiej („Bild") powiedział, że poparłby wysłanie polskich żołnierzy na Ukrainę w ramach misji NATO. Dla pełnej jasności dodam, że zapytano Dudę nie o wysyłanie wojska na aktywną wojnę, lecz dopiero po ewentualnym zawieszeniu broni. Czyli chodziło o jakiś rodzaj wojskowej misji pokojowej, niebieskie hełmy gwarant rozejmu; coś jak misje pokojowe na Bałkanach. Ale to są tylko moje domysły, a w myślach Dudy trudno się czyta.

Jestem natomiast w stanie odczytać słowa i ich znaczenie, a Duda powiedział tak: „Jeżeli będzie to decyzja NATO, to jako odpowiedzialny członek Sojuszu zastosujemy się do niej" – wypowiedź cytuję za „Rzeczpospolitą". Nigdzie nie znalazłem dementi, należy więc uznać, że Duda się wygadał, ale powiedział prawdę i nie ma tego jak cofnąć. Co z tej jego wypowiedzi wynika? Że Polska w NATO nie podejmuje decyzji, a jedynie popiera i wykonuje decyzje jakiegoś zarządu czy Komitetu Centralnego. Jesteśmy „odpowiedzialnym członkiem" który „zastosuje się" do decyzji.

Duda o tym wie i dlatego powiedział, że poprzemy decyzję. Czyjąś, ale nie naszą. POPRZEMY, a nie będziemy podejmowali wspólnie z innymi członkami Sojuszu.

Poprzemy decyzję NATO jako odpowiedzialny członek, bo zadanie odpowiedzialnego członka ogranicza się do popierania decyzji i musi je popierać, bo inaczej nie będzie odpowiedzialnym członkiem. Zwierzchnik sił zbrojnych RP wyśle polskie wojsko na Ukrainę, gdy ktoś za niego podejmie taką decyzję. Duda w tej wypowiedzi ani przez chwilę nie zachowuje się jak suwerenny podmiot.

***

Och, może Pan przesadza, może to tylko takie niezręczne sformułowanie, bo przecież wiadomo, że podejmujemy w NATO decyzje razem z innymi i wypracowujemy wspólne zdanie, a potem je lojalnie realizujemy.

Tak? A jakie było nasze polskie stanowisko w sprawie członkostwa Ukrainy w NATO? Przez 500 dni wojny powtarzaliśmy, że Ukraina musi być członkiem, i to szybko, i nie ma na co czekać. Gadał tak Duda i gadał to samo Morawiecki, i Błaszczaki, i inne takie osoby. A potem Biden pojechał do Londynu, gdzie obraził króla (łapał go za ramię, a potem obejmował w pasie), natomiast jedno mu w Londynie skutecznie wybili z głowy – członkostwo Ukrainy w NATO. I zaraz potem w Wilnie Biden trzymał już wspólny front z Brytyjczykami – że o żadnym prędkim członkostwie Ukrainy nie ma mowy.

Co zrobił Duda, gdy to usłyszał? Natychmiast zaczął powtarzać gadkę Bidena. Nieważne, że odwrotną do tego, co przez 500 dni wojny opowiadali wspólnie z Morawieckim. Obaj z dnia na dzień zmienili narrację na moim zdaniem bardziej rozsądną, cytuję: NATO nie może przyjąć do swego grona kraju, który toczy wojnę, bo to by oznaczało, że NATO oficjalnie wchodzi do tej wojny z chwilą przyjęcia Ukrainy w poczet członków. Duda tego nie wiedział przed wyjazdem do Wilna? Gadał, co mu kazali gadać, a teraz kazali gadać na odwrót, to gada na odwrót.

***

Rzućmy jeszcze okiem na to, co się dzieje w Białym Domu, bo Polska postawiła całe swoje bezpieczeństwo na jedną kartę – USA. Czyli jest dla nas ważne to, co się w USA dzieje teraz, co się stanie, kto wygra wybory…

Na terenie Białego Domu znaleziono kokainę. Ktoś wniósł i porzucił. To przestępstwo grubszego kalibru, a fakt, że komuś udało się wnieść coś takiego przez te wszystkie kontrole i bramki, psy i czujniki, to naruszenie bezpieczeństwa narodowego. Żaden woreczek białego proszku nie ma prawa się przedostać, bo zamiast kokainy mogła to być dowolna trucizna, a potem wystarczy to wrzucić do wody lub klimatyzacji i mamy trupy.

W Białym Domu jest 700 kamer, stado agentów, każda osoba wchodząca i wychodząca jest kontrolowana, spisywana i śledzona. Jest to najbardziej strzeżony budynek w USA, a być może na świecie. Jest lub… był kiedyś.

Kilka dni po znalezieniu kokainy służby skompromitowały się kolosalnie, bo ogłosiły, że „winowajca raczej się nie znajdzie". To zupełnie nieprawdopodobne, by służby nie umiały wykryć sprawcy. Nie w tym systemie ochrony. NIEMOŻLIWE. O co więc chodzi?

W Białym Domu zamieszkuje tylko jeden znany kokainista – syn prezydenta, Hunter Biden. Hunter ma wyroki w zawiasach (ugody sądowe) i gdyby go po raz kolejny złapano na łamaniu prawa (kokaina), wówczas trafi za kratki z powodu przestępstw wcześniejszych oraz dodatkowo z powodu wniesienia kokainy do Białego Domu.

Hunter załatwiał lewe interesy tatusia – brał w jego imieniu łapówki od Chińczyków, Ukraińców, Ruskich, brał w Kazachstanie, w Rumunii – lista jest długa, dowodów wiele, są nawet telefoniczne rozmowy Huntera, w których grozi swoim chińskim partnerom z partii komunistycznej, że jak nie zapłacą, to „mój Ojciec siedzi tutaj obok i wszystkiego słucha". Hunter miał z tatusiem Joe Bidenem wspólny rachunek bankowy i pokrywał wydatki ojca. Hunter mieszkał z ojcem, a teraz pomieszkuje w Białym Domu.

Jeżeli tatuś nie uratuje Huntera i nie zatuszuje jakoś sprawy z kokainą lub każdej innej sprawy sądowej (a Hunter ma ich wiele), wówczas istnieje zagrożenie, że Hunter zacznie sypać, bo to jego jedyna droga uniknięcia więzienia. Za samą kokainę grozi mu wiele lat za kratkami. Gdyby więc tatuś nie poratował, wówczas Hunter nie ma innego wyjścia, jak kolejna ugoda sądowa: dam wam dowody na kogoś większego w zamian za umorzenie moich spraw.

Co będzie dalej w USA? Najprostszym rozwiązaniem dla SYSTEMU byłoby, gdyby Hunter zginął. No np. przedawkował lub powiesił się w areszcie, lub cokolwiek, a Joe Biden wycofał z wyborów. Lewicowe media zaczęły właśnie gryźć Bidena i jego klan. ©℗

eprasa.pl 847107cd88

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

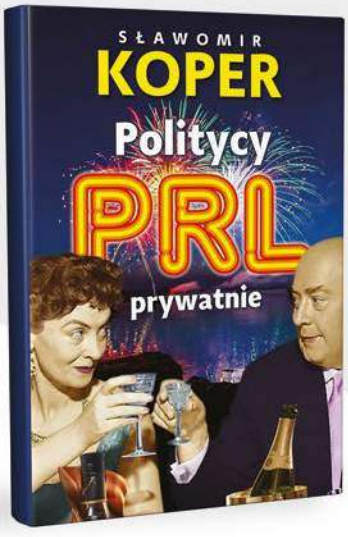

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

SŁAWOMIR KOPER:

„POLITYCY PRL PRYWATNIE"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~608~~ ZŁ

233,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 375ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 847107cd88

Przyszłość. Już dziś

Najbardziej regulowana giełda kryptowalutowa w tym regionie Europy,
która od 2014 roku łączy świat tradycji z cyfrową przyszłością

Dumny sponsor strategiczny
Rakowa Częstochowa

zondacrypto × RKS RAKÓW CZĘSTOCHOWA 1921

zondacrypto
Trade tomorrow, today

zondacrypto.com

eprasa.pl 847107cd88